WESOŁYCH ŚWIĄT

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 22.XII.1968 Nr 26 (407) R. XXXV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Z. Zugaj

Wesołych Świąt szczęśliwego Nowego Roku życzy „Kamena"

W numerze m. in.:
POLSKIE WIGILIE – M. Derecki, R. Dylewski, W. Gralewski, K. A. Jaworski, E. Wysocki • TAJEMNICA KAWIARNI „U AKTORÓW" – R. Bielski • IDZIEMY DO DRZEW – W. Kawalec • ZAMOŚĆ LITERACKI – J. Kołodziejczyk • OBLOSZENIE MATRYMONIALNE – H. Czarnecki

16 stron

Kto komu ma dziękować?

Alojzy Sroga

SŁYSZĘ czasem: a może by dość pisania o wojnie?

Na spotkaniach autorskich — na wsi, w szkołach i środowiskach górniczych, z piętnasto- i pięćdziesięciolatkami — obserwuję na twarzach rumieńce przejęcia. Czasem to są — u młodzieży — słowa najprostsze: „jeszcze, jeszcze proszę mówić". Dorośli zasypują pytaniami. O cenę odwagi i tchórzostwa. O strach i męstwo. O obżarstwo i głód. O wszy i troskę oficerów polityczno-wychowawczych o całe buty i spodnie. O ocenę dowódców i kolegów...

W Kołobrzegu i na Wale Pomorskim wielekroć miałem okazję śledzić krótkie, gwałtowne ruchy rąk, by rękawem jesionki, eleganckiej marynarki, dawnej żołnierskiej kurtki otrzeć — zda się niepostrzeżenie — tych kilka łez, które nie wołane zjawiły się na żołnierskiej twarzy. Znowu bowiem nastała pora konfrontacji własnych myśli, wspomnień z tym, co kiedyś było.

Niedawno znalazłem się pod Lenino, wśród trzech setek uczestników pociągu przyjaźni, z górą dwóch setek uczestników tej bitwy.

Najwięksi kpiarze udawali na polu bitwy, że łowią w nozdrze ostry, październikowy, białoruski wiatr. Najtęższi żartownisie mieli twarze skamieniałe, najrozmowniejsi — milkli, codziennym milczkom — rozwiązywały się języki.

„Tu byliśmy 25 lat temu... Tu moje moździerze wypuszczały raz po raz serię granatów. Tu się bałem. Tu wyciągałem śpiących kolegów z płonącej stodoły. Tu miałem przeczucie, że zginie mój rówieśnik z tej samej wsi."

Usiłowałem zachować spokój, obiektywizm, trzeźwość spojrzenia. Bo pod Lenino w walce nie byłem, ledwie przygotowuję dokumentalny materiał do monografii literackiej o tej bitwie. Chciałem więc mieć stosunek w miarę krytyczny, chciałem sprawdzać, ile jest prawdy w konfrontacji z terenem w tych opowieściach, które wcześniej — w pociągu czy wsiach, we własnych domach — snuli mi przedtem uczestnicy bitwy.

W pewnej jednak chwili złamał się i mój spokój. I ja byłem żołnierzem, tyle, że swoją wojenną kartę rozpocząłem w Lublinie i w Lublinie — prawie dwa lata później — ją zakończyłem. Znam jednak ból nóg i przestrzelonych rąk, pot cieknący z koszuli i zamróz przeszkadzający we śnie.

Mimo programowo założonej pozycji obserwatora — nie udało się w niej długo wytrwać.

Starałem się wczuć w ich sytuację, w ich myśli. Ich — żołnierzy 1 dywizji piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, którzy tu, na białoruskiej ziemi, tak życzliwej Polakom, przed 25 laty rozpoczynali drogę ku Warszawie i Berlinowi.

Oni to postawili pierwsze kroki na początku drogi...

* * *

Nie brak ich na Lubelszczyźnie i w Rzeszowskiem. Na Białostocczyźnie i — co prawda niewielu — w Kieleckiem. Od miesięcy odwiedzam tych byłych żołnierzy, często zapomnianych, żyjących w różnych warunkach. Jedni są pułkownikami — jak obecny szef Sztabu Wojewódzkiego w Lublinie płk Jan Piróg; pod Lenino otrzymał nominację na plutonowego w 3 pułku piechoty. Inni są inżynierami, jak Tadeusz Korsak w Świdniku. Trafi

Dokończenie na str. 3

Pierwszych dziesięciu...

Wacław Gralewski

POMIĘDZY Kalinowszczyzną i Białkowską Górą w Lublinie leży wysoki pagór. Przypomina stare grodziszcze. A może był nim kiedyś. Stary Lublin i jego przedmieścia kryją zapewne wiele tajemnic archeologicznych. Być może również, że pagór powstał wskutek erozyjnego działania wód dawnej Bystrzycy, której koryto biegło inaczej niż dziś i łączyło się z dużym jeziorem, okalającym wzgórza i wyniosłości. Wysychać zaczęło gwałtownie już w połowie XVI wieku. Pozostały po nim ślady takie jak ulica Nadstawna itp.

Już w XVI wieku na tym pagórze mieścił się cmentarz żydowski tak zwany kirkut. Zapewne w tym czasie posadzono (lub dziko wyrosły) liczne dęby i lipy. Tworzyły wspaniałe zadrzewione miejsce i dotrwały do połowy naszego wieku. Liczyły wówczas po kilkaset lat i stanowiły rezerwat zieleni o niezwykłej krajobrazowej urodzie, jakich tylko niewiele znajdowało się w miastach polskich. Z miejscem tym związało się wiele legend. Szczególnie ze średniowiecznych czasów, gdy miasto nawiedzały różne epidemie.

Nasze czasy nie znają morowego powietrza ani wielkich epidemii. Pokonaliśmy klęski cholery, moru i dżumy, ale na ich miejsce zjawiły się inne. Brunatna dżuma hitleryzmu przyszła do Polski i Lublina z zachodu i zniszczenia, jakie spowodowała, były na pewno znacznie większe niż dawniejsze.

9 listopada 1939 roku hitlerowcy dokonali w Lublinie licznych aresztowań. Wzięto zakładników dlatego, jak udało się ustalić, że w rocznicę odzyskania Niepodległości mogły w mieście wybuchnąć rozruchy. Chcieli się przed nimi zabezpieczyć. Najliczniejszą grupę wśród aresztowanych stanowili adwokaci, profesorowie KUL-u, pedagodzy. Początkowo Niemcy obchodzili się z zakładnikami dość uprzejmie. Np. gdy prezesowi Sądu Apelacyjnego, Bolesławowi Sekutowiczowi, zmarła matka, wypuszczono go na kilka dni. Wzięto tylko słowo honoru, że po uroczystościach pogrzebowych wróci do więzienia, co też uczynił.

Dokończenie na str. 9

POLSKIE WIGILIE

Za drutami obozu

Kazimierz Andrzej Jaworski

BEZTROSKIE wigilie mojego dzieciństwa z rozjarzoną od świeczek choinką, stosem zabawek i książek pod drzewkiem i pełnymi dobroci twarzami uśmiechniętych rodziców, wigilie czasów pierwszej wojny na Ukrainie ubożuchne i niewyraźne w ciężkich warunkach materialnych, ale przepełnione wiarą w rychły powrót do wolnej Polski. I późniejsze gwiazdki, też z choinką, pod którą z kolei mój malec odnajdywał różne niespodzianki. Ale obozowe wigilie w 1940 r. miały tak odrębny charakter, tak wyjątkową atmosferę grozy, smutku i rozpaczy, z domieszką jednak i nadziei, że nic mi ich nie wymaże z pamięci.

Od pół roku zamknięci za drutami, wątpiliśmy już o prędkim wyzwoleniu. Toteż święta Bożego Narodzenia postanowiliśmy w miarę swych mizernych możliwości wyróżnić, uczcić godnie i zaczerpnąć z nich otuchy i sił na dalszą walkę z okrutną rzeczywistością.

Na parę tygodni przed wigilią zaczęliśmy się przygotowywać do tego święta. Kolega Edward Janiuk z zapałem odbywał wieczorami próby z chórem, ćwiczącym kolędy. W słowach prostych i zrozumiałych dla wszystkich napisałem specjalnie na tę uroczystość wiersz „Wigilia obozowa".

Już w przeddzień świąt na placu apelowym ukazała się olbrzymia choinka z różnobarwnymi lampkami. Nie przeznaczono jej dla nas — to esesmanom miała ona stwarzać pozory Gemütlichkeitu. Nam tylko ironicznie przypominała rozłąkę z ukochanymi.

W dzień wigilijny nie odbywały się jednak popołudniowe prace. Ale wieczerza była skąpa i nietreściwa jak zwykle. Tylko niektórzy koledzy mogli urozmaicić ją zawartością paczek, które zdążyli już otrzymać z domu. Składaliśmy sobie na-

Dokończenie na str. 8

Fot. M. Ryczaj

teatrnn.pl

Kultura 1968

Zmarli

✠ Władysław Kędra, pianista-wirtuoz, laureat IV Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina, profesor PWSM w Łodzi, zasłużony propagator muzyki polskiej w kraju i za granicą, działacz społeczny i kulturalny, laureat Nagrody Państwowej, odznaczony wielokrotnie w PRL, m. in. Orderem Sztandar Pracy II klasy.

✠ Wiktor Grzegorz Ambroziewicz, b. dyrektor gimnazjum im. St. Czarnieckiego w Chełmie i b. kurator Okręgu Szkolnego Warszawskiego, zasłużony działacz oświatowy, organizator wielu instytucji oświatowych, odznaczony m. in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

✠ W wieku 67 lat Piotr Grochmalicki, długoletni nauczyciel w Chełmie, ostatnio kierownik szkoły podstawowej w Gdańsku-Wrzeszczu, b. więzień obozu w Sachsenhausen, zasłużony pedagog.

✠ 81-letni Arnold Zweig, urodzony w Głogowie na Dolnym Śląsku, jeden z największych pisarzy niemieckich. Światową sławę zyskał powieścią „Spór o sierżanta Griszę" (1928 r.), która stała się pierwszym ogniwem ogromnego cyklu „Wielka wojna białych ludzi".

Z cyklu wojennego najbardziej znana jest powieść „Topór z Wandsbeck" (1947) r.) — świetna analiza drobnomieszczaństwa niemieckiego w czasach hitlerowskich. Pisał także sztuki teatralne i eseje.

✠ W Moskwie 69-letni artysta malarz Wiktor Iwanow, z którego imieniem jest związana cała epoka — zwłaszcza w okresie ostatniej wojny — radzieckiego plakatu politycznego.

✠ 90-letni Upton Sinclair, znany amerykański pisarz proletariacki i działacz polityczny, autor ok. 80 książek. Pierwszą jego głośną powieścią było „Grzęzawisko" (1906 r.) — obraz skandalicznych warunków w chicagowskim przemyśle mięsnym. Rozgłos zdobyła powieść „Król węgiel" (1917 r.) i krótko potem „Nafta". W latach 1940—53 ogłosił kilkunastotomowy cykl, którego bohater jest świadkiem najważniejszych wydarzeń w świecie od wybuchu pierwszej do zakończenia drugiej wojny światowej.

Literatura

✠ Wydawnictwo MON wydało książkę Witolda Fillera „Teoria i praktyki paryskiej Kultury". Pokazuje ona formy działania oraz antypolskie orientacje reakcyjnych środowisk, skupionych wokół paryskiego tzw. Instytutu Literackiego.

✠ Prix Goncourt — najwyższą nagrodę literacką we Francji — otrzymał w drugim głosowaniu 45-letni Bernard Clavel za powieść „Owoce zimy". Głosowało za nim 5 jurorów (w tym przewodniczący), natomiast 5 innych uważało, że nagrodę powinien dostać Francois Nourissier. Nagrodzona powieść jest czwartym tomem cyklu „Wielka cierpliwość". Nagroda wynosi zaledwie 50 franków, ale nagrodzone powieści drukowane są w nakładach powyżej 100 tys., co zapewnia autorom duże dochody.

✠ Nagrodę francuską im. Renaudota otrzymał 28-letni dziennikarz, urodzony w Mali, Yambo Ouologuem za powieść „Obowiązek gwałtu", której akcja toczy się w Afryce.

✠ W Sofii odbyła się trzydniowa narada Związku Pisarzy Bułgarskich. Wygłoszono referaty „Poezja a współczesność", „Problemy bułgarskiej dramaturgii" i „Problem bohatera we współczesnej literaturze zachodniej". W pierwszym z nich stwierdzono m. in., że „obecnie każdy poeta odpowiedzialny jest za to, co się dzieje na świecie".

✠ Nakładem wydawnictwa moskiewskiego „Młoda Gwardia" ukazała się powieść Owidiusza Gorczakowa i Janusza Przymanowskiego „Kierujemy ogień na siebie". Jako film telewizyjny „Minerzy podniebnych dróg" oglądaliśmy ją w Polsce przed kilku miesiącami.

✠ Instytut Sztuk Współczesnych w Londynie z okazji 50-lecia śmierci Apollinaire'a wystawił montaż sceniczny o życiu i twórczości tego poety.

Teatr

✠ W warszawskim Teatrze Wielkim odbyła się polska prapremiera baletu Arama Chaczaturiana „Spartakus" w opracowaniu choreograficznym i reżyserii wybitnego artysty radzieckiego, Jewgienija Czangi, a pod kierownictwem muzycznym Antoniego Wicherka.

✠ Minęło 10 lat od chwili utworzenia w Słupsku drugiej stałej sceny Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Przed 3 laty placówka ta dorobiła się własnego budynku z salą na 380 widzów. Dużym powodzeniem cieszą się stale karnety dla załóg tamtejszych zakładów pracy.

✠ Na gościnnych występach w Bułgarii przebywał 60-osobowy zespół Teatru Polskiego z Bydgoszczy, prezentując „Krakowiaków i Górali" Bogusławskiego oraz „Ocean" Al. Sztejna w reżyserii Z. Wojdana. Kuplety w scenie finałowej „Krakowiaków i Górali" artyści polscy odśpiewali po bułgarsku.

Muzyka

✠ Tak więc przybył nam jeszcze jeden festiwal — tym razem Pieśni i Piosenki Górniczej. Finał z udziałem prawie tysiąca wykonawców odbył się na Śląsku w okresie Barburki.

✠ Kilkakrotnymi bisami i burzliwymi oklaskami zakończył się w Wiedniu występ zespołu krakowskiego Pro Musica Antiqua pod dyr. L. Laprusa.

✠ Opowiadanie Zofii Posmysz „Pasażerka", na którego kanwie powstał głośny film Munka, stało się obecnie źródłem inspiracji dla kompozytora radzieckiego M. Weinberga do napisania opery, noszącej taki sam tytuł. Weinberg jest absolwentem Konserwatorium Warszawskiego, napisał wiele kompozycji na kanwie utworów Mickiewicza, Broniewskiego i Tuwima.

✠ Paulos Raptis, Grek od wielu lat żyjący w Polsce, solista łódzkiego Teatru Wielkiego, wystąpił z dużym powodzeniem w „Łucji z Lammermooru" w Budapeszcie.

✠ Wspaniałe potwierdzenie olbrzymiego talentu, odkrytego w naszym kraju — taki był sens recenzji o koncertach pianisty francuskiego Pommiera w Moskwie. W 1962 r. Pommier jako 17-letni uczeń został laureatem międzynarodowego konkursu im. Czajkowskiego w Moskwie i ostatnio po raz czwarty odwiedził to miasto.

✠ Na XV międzynarodowym konkursie śpiewaczym w Tuluzie II nagrodę (I nie przyznano) zdobył Ryszard Arning, bas, solista Teatru Wielkiego w Warszawie. Natychmiast otrzymał zaproszenie na występy w Holandii i Kanadzie. Elżbieta Nizioł z Filharmonii Łódzkiej otrzymała srebrny medal.

Sztuka

✠ W przebudowanym budynku hotelowym z czasów Napoleona III w Genewie otwarto muzeum, poświęcone wyłącznie sztuce lat 1880—1920. W tej chwili muzeum składa się wyłącznie z eksponatów, stanowiących własność Oscara Gheza.

✠ Władze ZRA zobowiązały się pokryć trzecią część kosztów przeniesienia świątyń bogini Izis z wyspy Philae na Nilu w bardziej odpowiednie miejsce, resztę mają pokryć członkowie UNESCO. Świątynie, zwane perłą Egiptu, są obecnie zalewane wodą rzeki i po pewnym czasie mogą zostać całkowicie zniszczone.

Różne

✠ W Sofii pod koniec listopada odbyło się spotkanie ministrów kultury krajów socjalistycznych — Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Polski, Rumunii, Węgier i ZSRR. Ministrowie wymienili informacje o rozwoju życia kulturalnego w swoich krajach oraz poglądy na dalsze rozszerzenie kontaktów kulturalnych.

✠ Przeszło rok temu orkiestra naszej Filharmonii Narodowej została zaproszona na cykl koncertów w NRF. Tydzień przed wyjazdem zespołu władze zachodnioniemieckie odmówiły wydania wiz. Prezydium ZG Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków wyraziło protest i głębokie oburzenie.

✠ W Lozannie rozpoczął się proces przeciwko dyrektorowi tzw. Centrum Sztuki Dramatycznej Romańskiej Apotheozowi, którego Stowarzyszenie Autorów i Kompozytorów Dramatycznych oskarża o zniesławienie. Apotheoz publicznie oświadczył, że w czasie wojny Stowarzyszenie współpracowało z hitlerowcami, a obecnie tworzy gang, który nie dopuszcza młodych autorów na rynek.

✠ „Od przeszło 10 lat nic nie było tak źle dystrybutowane we Francji jak dobra kulturalne. Z jednej strony przeinwestowany kulturalnie Paryż, a z drugiej rachityczna prowincja" — oświadczył Emile Biasini. Był on założycielem pierwszych domów kultury, zbudowanych we Francji w ostatnich latach. Z 8 domów jednak połowa została już zamknięta z braku funduszów na ich prowadzenie, gdyż władze miejskie nie chcą finansować działalności kulturalnej, która — ich zdaniem — jest nie tylko liberalna, ale wprost lewicowa.

Film

✠ Na festiwalu w Kambodży pierwszą nagrodę za najlepszą rolę męską otrzymał Bruno O'ya za postać chorążego w filmie „Wilcze echa" reż. Ścibora-Rylskiego.

✠ Na XI Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych w Lipsku film reżyserów polskiego L. Perskiego i radzieckiego L. Machnacza „Za naszą i waszą wolność" otrzymał nagrodę „Złotego gołębia", a Romana Wionczka „Granica" w konkursie telewizyjnym otrzymała nagrodę im. E. Kischa i Ligi Przyjaźni między Narodami.

✠ Na ekrany niektórych kin nowojorskich, wyświetlających zwłaszcza utwory awangardy filmowej, wszedł dokumentalny film Jorisa Ivensa pt. „17 równoleżnik: Wietnam i wojna". Komentarz do filmu napisał znany w USA publicysta — David Schoenbrun. W jednej recenzji zamieszczonej w „New York Post" czytamy: „W filmie tym zgromadzono niezwykle silne argumenty przeciwko obecności Amerykanów w Wietnamie. Oczywiście, łatwo je zakwalifikować jako komunistyczną propagandę. Ale poza wyobraźnią i słowami są jeszcze fakty trudne do obalenia, niezależnie od jakiejkolwiek idei politycznej".

✠ Katarzyna Hepburn od 20 lat twierdziła, że jej największym marzeniem jest być reżyserem. I rzeczywiście ma być reżyserką filmu „Marta", opartego na dwóch powieściach Margery Sharpa.

Caroline Cellier przez kilka lat grała tylko w teatrze. Dopiero jej rola w „Pygmalionie" zwróciła na nią uwagę filmowców. Claude Lelouch dał jej główną rolę w filmie „Skazany na śmierć". W takim właśnie stroju ma go pocieszać w celi przed wykonaniem wyroku

Notes „Kameny"

Józef Barecki

Pieniądze i polityka

JUŻ DAWNO prasa zachodnioeuropejska nie witała świąt i końca roku w tak mizernym nastroju. Kryzys systemu walutowo-finansowego dotknął przede wszystkim szarego obywatela większości krajów EWG. *Skutki kryzysu odczują najboleśniej drobni ciułacze, ludzie o sztywno ustalonych dochodach, renciści i emeryci oraz w ogóle cała klasa robotnicza* — pisze prasa paryska. *Brytyjczycy stanęli w obliczu czarnych świąt Bożego Narodzenia* — wtórują jej dzienniki londyńskie. Podniecia oszczędnościowe rządu, przede wszystkim podwyżka cen wielu artykułów masowego spożycia, zostały przyjęte ze zgrzytem zębów. *Każdy spodziewał się przyciśnięcia* — pisał prawicowy „Daily Sketch" — *ale niczego tak obezwładniającego jak ten miażdżący ucisk...*

Nie wszędzie jednak świąteczne choinki jarzą się wśród tak posępnej atmosfery. Kryzys walutowy Europy zachodniej stał się zwycięstwem kraju, który ma wszelkie powody, by nie ukrywać swej radości. Długoletni proces przyniósł końcowy rezultat. Bank Niemiec zachodnich stał się wierzycielem wszystkich krajów świata, Niemcy stały się arbitrem sytuacji. *Deutsche Mark, Deutsche Mark ueber alles* — zachłystują się dzienniki zachodnioniemieckie.

W zamieszaniu, jakie kryzys walutowy wywołał w zachodnim świecie, rozważa się przede wszystkim ekonomiczne skutki powstałej sytuacji. Fachowcy obliczają straty Francji, szanse utrzymania pozycji funta i dolara, perspektywy gospodarcze Włoch, Belgii i innych krajów Wspólnoty Europejskiej. Publicyści przekładają to na język zrozumiały dla mas i odpowiadają na pytanie, w jaki sposób ten kolejny kryzys zaważy na poziomie życia zwykłego obywatela. To najbardziej interesuje opinię publiczną. Cień marki zachodnioniemieckiej odbija się przede wszystkim na budżetach francuskich i angielskich rodzin.

Nic dziwnego, że w takiej atmosferze do świadomości społecznej nie docierają jeszcze wszystkie elementy wytworzonej sytuacji. Triumf Niemiec zachodnich nie sprowadza się tylko do spraw ekonomicznych, kryzys walutowy nie ograniczył się do przewartościowania pozycji franka i marki, do ujawnienia tego, co w gruncie rzeczy wiadome było od dawna: faktu, że Niemcy zachodnie mają w kieszeni cały zachodni świat. Listopadowe trzęsienie ziemi na giełdach kapitalistycznych stolic odsłoniło nowe oblicze Niemiec zachodnich. Dotychczasowy olbrzym ekonomiczny okazał się również olbrzymem politycznym.

Bez względu na to — pisał publicysta „Washington Evening Star" — *jaki będzie zakres dewaluacji franka, Europa i świat nie będą pod względem ekonomicznym i politycznym takie same jak dotychczas. Stawiając skutecznie czoła naciskom ze strony USA, Francji i Anglii w kierunku zrewidowania kursu marki, NRF wykazała w sposób dobitny swą polityczną niezależność wobec zwycięzców z II wojny światowej.* A francuska AFP dodała: *Kryzys walutowy zmienił, zdaniem obserwatorów międzynarodowych, równowagę polityczną Europy i być może świata. Niemcy zachodnie ukazują się obecnie w nowym świetle, jako kraj, z którego decyzjami po raz pierwszy od zakończenia wojny muszą się liczyć poważnie główne mocarstwa zachodnie...*

Nietrudno sobie wyobrazić, co oznacza ten nowy etap emancypacji politycznej Bonn. Kiedyś jeden z generałów angielskich powiedział, że odbudowa siły zbrojnej Niemiec zachodnich przybrała tak zastraszające tempo, iż trudno sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli ten kraj postanowi działać na własną rękę. Generał miał na myśli sytuację, w której Niemcy zachodnie przeciwstawią się swoim patronom, wyłamią się spod ich rzekomej kontroli. Do niczego takiego nie doszło. Niemcy nie muszą przeciwstawiać się swym niedawnym zwycięzcom. Oni ich sobie podporządkowali.

Polityka NRF zakreśla sobie cele, które budzą w świecie czujność i nie pozwalają zapomnieć o niedawnej przeszłości. Powtarzanie, że jest to jedyny kraj w Europie, który zgłasza otwarcie pretensje do terytoriów należących do innych narodów nie może stracić swej ostrzegającej treści. Musimy to powtarzać, musimy bez końca o tym mówić, ponieważ Niemcy zachodnie stanowią najbardziej realną groźbę dla pokoju w Europie, ponieważ nie ukrywają, że celem ich wszystkich wysiłków jest odzyskanie terenów na wschód od Łaby. *Nasze żądania terytorialne* — powiedział niedawno von Hassel — *sięgają dalej, niż do linii Odry — Nysy. Chcemy z powrotem posiąść tereny dawnego panowania niemieckiego.* Z własnego doświadczenia wiemy, co w ustach Niemca oznaczają te słowa. Tereny panowania niemieckiego mają dla szowinisty niemieckiego walor obszaru bez granic. Są wykładnią ideologii, która nadała imperializmowi niemieckiemu agresywny, ludobójczy charakter, zrodziła „Drang nach Osten", Hakatę, V kolumnę i Hitlera.

Politycy zachodnioniemieccy, cały obóz niemieckiego nacjonalizmu, uosobiony przez państwo bońskie, nie ustaje w poszukiwaniu takich koncepcji politycznych, które by mogły zrealizować obłędne pragnienie skolonizowania wschodniej Europy, ideę przewijającą się tak uparcie poprzez całe dzieje Niemiec. Rzecz jednak w tym, że apetyt niemieckiego imperializmu nie ma granic. Każdy „Drang nach Osten" zagrażał jednocześnie Zachodowi. Pokazał to szczególnie konkretnie Hitler, który dotąd tolerował swoich zachodnich sojuszników, dopóki nie poczuł się na tyle silny, żeby móc pokusić się o podbicie całego świata.

Wzrost politycznego znaczenia Niemiec zachodnich zwiększa niebezpieczeństwo, jakie zagraża z ich strony krajom socjalistycznym. Bierzemy to stale pod uwagę w naszej polityce. Nowa rola Niemiec zachodnich zwiększa także niebezpieczeństwo, grożące Zachodowi. Czy Zachód zda sobie z tego sprawę zanim będzie za późno?

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie

Już 2300 studentów!

W DOTYCHCZASOWEJ polityce redakcyjnej sporo uwagi poświęcaliśmy problemom wyższych uczelni, czego dowodem liczne artykuły problemowe oraz relacje z dyskusji z udziałem wybitnych naukowców, organizatorów szkolnictwa akademickiego i studentów. Nie rezygnując z tego kierunku działania, w bieżącym roku akademickim będziemy zamieszczać na łamach „Kameny" krótkie artykuły informacyjne, prezentujące uczelniane aktualności. Oto wywiad z rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, doc. dr inż. Antonim Woźniackim.

— *Jak w nowym roku akademickim przedstawia się sytuacja uczelni w zakresie: liczby studentów, kadry naukowo-dydaktycznej oraz bazy materiałowo-technicznej?*

— W nowym roku akademickim uczelnia rozwinęła pełny cykl studiów stacjonarnych na kierunkach: filologii polskiej, matematyki, fizyki i wychowania technicznego; filologia rosyjska obejmuje cykl czteroletni (pełne studia są pięcioletnie). W ramach studiów dla pracujących prowadzimy pełny cykl na filologii polskiej i matematyce; cykl na filologii rosyjskiej, fizyce i wychowaniu technicznym zamkniemy za dwa lata. Liczba studentów wzrosła do 1 500 na studiach stacjonarnych i do około 800 na studiach dla pracujących.

Wykonanie poważnych zadań dydaktyczno-wychowawczych przypadnie kadrze o takiej liczebności i strukturze (z uwzględnieniem perspektywy): 10 docentów (licząc dwu pracowników samodzielnych ze Związku Radzieckiego), 18 wykładowców, 67 adiunktów i asystentów. W procesie dydaktyczno-wychowawczym uczestniczy ogółem ponad 130 pracowników, w tym bibliotekarze, oficerowie studium wojskowego, lektorzy, nauczyciele i personel naukowo-techniczny. Program dydaktyczny realizujemy wciąż jeszcze w trzech zastępczych obiektach, w których znajdują się sale wykładowe, seminaryjne, laboratoria — te ostatnie pomimo ciasnoty dość dobrze wyposażone. Warunki bytowe studentów są dobre, dysponujemy np. trzema domami studenckimi, każdy o 324 miejscach. Żywimy studentów w dwu stołówkach-restauracjach, przekazanych na ten cel przez władze miejscowe do czasu zbudowania własnego obiektu. Odpowiednie warunki rozwoju życia kulturalnego studentów zapewnia funkcjonalny lokal, w którym znajdują się pomieszczenia klubu studenckiego „Odmieniec".

— *Na czym — szczególnie — uczelnia skupi swoje wysiłki w bieżącym roku akademickim?*

— W myśl Tez i uchwał V Zjazdu uczelnia postawiła sobie ambitne zadanie — rozwinięcia szerokiej działalności wychowawczej, opartej o nowe zasady, a obejmującej w pełni życie studenta w domu akademickim, na uczelni i w środowisku miasta. Do tej działalności przygotowaliśmy też 100 aktywistów studenckich w czasie dwutygodniowego zgrupowania z obszernym programem prelekcyjno-dyskusyjnym. Chodzi nam o stworzenie, na nowych zasadach, studenckiego samorządu, integrującego działalność wszystkich młodzieżowych organizacji, który będzie mógł ponosić skuteczną współodpowiedzialność za pracę na uczelni.

Druga grupa zadań to dalsze wzmożenie i wzbogacenie działalności naukowej poprzez odpowiedni dobór tematyki prac realnych i użytecznych, stanowiących podstawy dalszych przewodów doktorskich i mających znaczenie dla nauki, kultury, przemysłu. Do tego też zmierzają próby podjęcia tematów z zakresu dydaktyki szczegółowej kierunkowych przedmiotów.

Dla lepszego wykonania tego programu rozpoczynamy w tym roku reorganizację struktury uczelni, czego przejawem będzie utworzenie międzyuczelnianego studium nauk politycznych, które obejmie i skoordynuje działalność obu rzeszowskich uczelni w zakresie przedmiotu tytułowego i innych, a także działalność OOM w zakresie wychowania obywatelskiego i pokrewnych przedmiotów w szkołach oraz studiach nauczycielskich

Wreszcie należy wymienić inicjatywę budowy własnych gmachów uczelni, w pierwszym etapie — budynku wychowania technicznego. **Jeszcze** w bieżącym roku kalendarzowym powinniśmy zrealizować zadania budowlano-montażowe i inne na sumę blisko 4 milionów złotych, w roku 1969 natomiast wystąpimy z planem inwestycyjnym w wysokości około 10 milionów złotych.

Zadania, jak widać, są rozległe i poważne. Wyrażam nadzieję, że im sprostamy, przy czym rolę zasadniczą odegra duże poparcie ze strony władz, zapał pracowników uczelni i zespołu studenckiego.

KALENDARZ LUBELSKI 1969

WŚRÓD wielu kalendarzy książkowych, publikowanych corocznie przez różne wydawnictwa w kraju znajduje się również „Kalendarz Lubelski". Ma on już swoją wyrobioną reklamę, stałych czytelników, którzy w bibliotekach domowych posiadają niemal wszystkie roczniki Kalendarza.

W najbliższych dniach w księgarniach „Domu Książki" oraz w kioskach „Ruchu" na Lubelszczyźnie ukaże się kolejny dwunasty (po wznowieniu) „Kalendarz Lubelski na rok 1969" *). Publikacja ta różni się od poprzednio wydanych przede wszystkim swą tematyką oraz licznymi, a zarazem ciekawymi ilustracjami. Zapewne niemało kłopotów miało kolegium redakcyjne (Ireneusz Caban, Lesław Gnot, Zygmunt Mańkowski) oraz redaktor prowadzący Barbara Słowikowska z właściwym doborem materiałów, dotyczących 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W publikacji tej znajdują się niejako cztery działy. W pierwszym z nich — „Po słowach Manifestu" ukazane są pierwsze lata po wyzwoleniu Lubelszczyzny. Drugi dział — „Powroty" zawiera materiały, ukazujące Lubelszczyznę w ostatnich miesiącach hitlerowskiej okupacji. Znajdują się tu ciekawe prace, przedstawiające wysiłek zbrojny Lubelszczyzny w walce z Niemcami oraz artykuły o ucieczkach więźniów z obozu koncentracyjnego na Majdanku i o wyzwoleniu tego obozu. W dziale trzecim — „Próba bilansu" ukazane zostały osiągnięcia i przeprowadzone konfrontacje 25 lat istnienia PRL. Ostatni, czwarty dział — „Ludzie, problemy, fakty" przedstawia wydarzenia ściśle związane z regionem.

Publikacja zawiera bogate kalendarium najważniejszych wydarzeń w okresie 25-lecia na Lubelszczyźnie.

Dobrze też się stało, że Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie zaleciło „Kalendarz Lubelski na rok 1969" do użytku szkolnego.

(Z. K.)

*) Kalendarz Lubelski 1969. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin, 1968, ss. 3 500, zł 15,—

Kto komu ma dziękować?

Dokończenie ze str. 1

się urzędnik i kierowca jak Mieczysław Maksym z Kielc. Emeryt — aż wierzyć się nie chce patrząc na jego posturę — Antoni Kaczan z Białegostoku, czy Jan Kisielew z Chełma. Ale przede wszystkim rolnicy, rolnicy. Polscy chłopi, którzy na kartach ojczystej historii zawsze zapisywali się tym, że „żywią i bronią", że swą miłość do ojczyzny potrafią oblekać w racjonalną szatę. Więc Jan Kocaj w Żmudzi pod Chełmem — dziś tam mieszkający i gospodarujący, więc inna wspaniała postać 65-letniego rolnika, kiedyś chwackiego kawalerzysty i zwiadowcy konnego Jana Pendraka w Ubrodowicach w powiecie hrubieszowskim, albo Jan Dul z Zabrni Górnych, już na rzeszowskiej, tarnobrzeskiej ziemi, albo taki ciągle czerstwy na twarzy, ciągle przechowujący portfel, sporządzony z tamtej, już dziś historycznej ładownicy spod Lenino, Władysław Bukrejewski ze wsi Mazurki koło Augustowa. Wreszcie — jeden z trzech braci Lenczewskich ze wsi Lence pod Białymstokiem. Jeden z nich, Stefan, zginął pod Lenino. Drugi, Jan, pracuje w Siedlcach. Ten trzeci, „mój" Stanisław, dostał się pod Lenino do niewoli, poznał całą gorycz braku żołnierskiego pasa i karabina...

Jeszcze ich jest we wschodnich województwach Polski kilkudziesięciu. Może stu. Może w całym kraju zbierze się półtora tysiąca — dwa, tych, którzy biegli wtedy przez bagniste nabrzeże Mierei ku wrogowi, którzy zataczali się od kul nad rzeką, którzy szturmowali dwa wzgórza 215 i 217, trwali — dniem i nocą — w niemieckich, lub w pośpiechu kopanych własnych okopach, zdobywali rany, głodowali, a potem jeszcze przez półtora roku szli, szli, i walczyli. I polski sztandar zatykali w Berlinie.

Wszakże codzienne troski i niemałe kłopoty, ludzkie zapomnienie o nich — to jedna strona szalki. Na drugiej spoczywa właśnie ta osobista cena, cena szturmu pod Lenino.

Błyszczą im oczy, rumieńce wchodzą na policzki, gdy zaczynam pytać „jak to było". A potem odprowadzają mnie do bitej drogi, gdzie pozostał samochód, do stacji kolejowej, trwają ze mną kilka godzin w poczekalni, potrząsają dłonią i oni mnie — co za paradoks — dziękują.

— Że ktoś o nas sobie przypomniał...

Kłaniam się wtedy w pas, po staropolsku, po chłopsku. Kto tu komu ma dziękować?

* * *

Pochodzi ze Stefankowic w hrubieszowskim, w swoim powiatowym mieście służył w 2 pułku strzelców konnych wtedy, gdy rodziła się znaczna część pokolenia, będącego dziś w pełni sił.

W 1940 roku — jak wielu — znalazł się w ZSRR. Rąbał las, puchły mu nogi, mimo to był stachanowcem w krainie białych nocy. Potem był Saratow, kołchoz i wreszcie — 1 dywizja. W niej — kawalerzysta — trafił do kompanii zwiadu, której przewodził przedwojenny marynarz, postać niesłychanie barwna, starszy sierżant, potem chorąży, porucznik, kapitan — Konstanty Minuczyc. Minuczyc, złoty człowiek — najgłośniej w dywizji wydawał komendy, uczył ich, że: „co to za zwiadowca, który pozwoli dać sobie w mordę. Niech nie wraca do kompanii. Zwiadowca musi być zawsze górą". Przydały się potem nauki Minuczyca.

Pod Lenino Jan Pendrak woził rozkazy do bohaterskiego 2 pułku piechoty, który — jako jedyny w dywizji — walczył przez cały bój bez zmiany. Nocą zwiadowca natknął się na radzieckie działa. Pobłądził. Raz i drugi. Zdał się na konia. Bezbłędnie dowiózł go z meldunkiem do sztabu dywizji. Jeździec odpoczywał w schronie. A koń — spuścił łeb i cicho, żałośnie rżał. Pendrak próbował go uspokoić.

— Czuje swoją śmierć — skwitował bardziej doświadczony kolega.

Dniem pojechał Pendrak z nowym rozkazem. Z góry sypał się deszcz bomb. Zginął kolega. Przy kolejnym wizgu Pendrak wskoczył do leja. Koń runął na niego, jeszcze go sobą nakrył, ochronił w przedśmiertnym dreszczu.

...Zaniósł więc puste siodło do kompanii.

Potem miał innego konia, maleńkiego „mongoła". Usiłował go kiedyś przehandlować na lepszego, większego. Piękny koń ochwacił się w mig, a sprzedany „Waśka" biegł truchtem, wyprzedził wszystkich.

Jan Pendrak, wówczas żołnierz kompanii zwiadu 1 dywizji piechoty, dziś rolnik we wsi Ubrodowice, pow. Hrubieszów.

Już więcej Pendrak końmi nie handlował. Za to na Pomorzu Zachodnim nieoczekiwanie przypomniał sobie nauki Minuczyca, gdy w sześciu brali do niewoli ponad 200 Niemców i nawet Niemka śmiała się ze swoich współbraci, wskazując na nielicznych polskich żołnierzy. Doprowadzili kolumnę jeńców.

Pendrak zaś w Berlinie, już w randze sierżanta, był zastępcą dowódcy plutonu.

Po wojnie przyjechał w rodzinne, hrubieszowskie strony. Była tu szczera, wypalona ziemia. Zahartowany mrozem i marszami, od nowa stawiał dom, uprawiał ziemię, liczył tylko na swoje żołnierskie ręce. Miał jedynie swój mundur.

Dobijał się świetnych plonów i własnego domu. Obok, po sąsiedzku, elektryfikowano wieś, przy wielkiej pomocy państwa. Jego zagroda stoi o kilkaset metrów z boku. Otrzymuje urzędowe i urzędnicze odpowiedzi: „nie opłaca się elektryfikować gospodarstwa obywatela".

— A walczyć opłacało się? — replikuje z żalem. — Ludzie gdzieś słuchają radia i telewizji, a ja ...ja siedzę przy naftówce.

Spróbowałem interweniować. Potok biurokratycznych odpowiedzi. Może i mieszczących się w kategoriach kalkulacji, nie mieszczących w kategoriach patriotyzmu, społecznej sprawiedliwości. Może wreszcie teraz się uda, gdy sprawą zainteresował się dr Jerzy Krupka, wiceprzewodniczący Prezydium WRN, który obok rachunku ekonomicznego uznaje jeszcze taki ludzki element jak sumienie?

Jakże by chciał 65-letni Jan Pendrak doczekać momentu, by w jego domu zaświeciła żarówka! Ta, o której opowiadali mu oficerowie polityczno-wychowawczy w roku 1943 nad rosyjską rzeką Oką...

* * *

Poszło ich na wojnę trzech jednego dnia: Jan, Stanisław i Stefan, wszyscy z Ałtajskiego Kraju, w którym znaleźli się tuż przed napaścią hitlerowców na ZSRR.

Najstarszy był w artylerii, najmłodszy w łączności, średni w 8 kompanii strzeleckiej 2 pułku piechoty.

Najmłodszy poległ od odłamka bomby pod Lenino. Najstarszy przetrwał. Średni...

Średni, Stanisław, jak i bracia niewielki wzrostem, przebiegł przez rzekę, skulił się przed hitlerowskimi pociskami, ale przecież nie ukląkł. Brał udział w szturmie na okopy, jak inni krzyczał „hurra" i strzelał. Jak inni pobiegł do przodu. Szczęknął zamek. Koniec amunicji. Obejrzał się do tyłu. Było ich dwóch czy trzech żołnierzy. Przed nimi i z boku — Niemcy. Jeszcze próbował odczołgać się do tyłu. Daremnie. Zjeżyły się przeciw niemu i dwóm, trzem kolegom hitlerowskie peemy.

Rozpoczął się gorzki, żmudny, jeniecki szlak. Kopanie okopów i głodówka, poniżenie, gdy jeden z polskich oficerów — niestety przedwojenny porucznik, którego Niemcy obwozili potem z triumfem po terenach „GG" — zdradził polską sprawę.

Była na drodze Lenczewskiego tułaczka i każde upadlające zajęcie. Praca w fabrykach i bombardowanie. Malaria i rozbiórka walących się domów. Wreszcie — wolność. Wrócił natychmiast, w 1945, do swoich macierzystych Lenców. Wrócił i pracuje, jak to w rolniczym fachu — ciężko, codziennie, nie oglądając się na niczyją pamięć. Gdy byłem u niego w letniej porze — około południa przyszedł na śniadanie. I to ściągnięty pokrzykiwaniem dzieci:

— Taaatooo! Jakiś pan do ciebie...

I nawet żona, którą poślubił po wojnie, nie wiedziała o jego żołnierskiej przeszłości. Gdyśmy wszakże zaczęli mówić o Lenino — i jemu błysnęły oczy.

— Pogoniliśmy wtedy, panie, kota hitlerowcom, pogoniliśmy...

* * *

Z tarnopolskiego — w trybie mobilizacji — trafił w czterdziestym pierwszym do Armii Radzieckiej, aż gdzieś pod turecką granicę. I gdy w Sielcach zobaczył, po raz pierwszy od 39 roku, polskiego oficera — płakał. Zwyczajnie, po dziecięcemu, choć lat liczył już wtedy 24.

Jeszcze i dziś, gdy o tym opowiada, nie potrafi być beznamiętnym relantem, jeszcze ciągle osobiście przeżywa ów piękny, życiowy moment. Potem trafił do baterii moździerzy 120 mm w 3 pułku piechoty.

— Dopiero po wojnie przestały mnie ręce boleć od wrzucania min do moździerza...

Mina zaś, która dziś urzędowo-wojskowo zwie się „granat", ważyła drobiazg... 16 kilogramów. Jan Kocaj miał — i ma do dziś — 1,75 m wysokości. Tedy uczyniono go ładowniczym, by wpuszczał miny „delikatnie jak święcone jajko", by za wcześnie nie odpaliła, nie rozerwała lufy, nie wybiła działonu, jak to przedtem zdarzyło się w 1 pułku piechoty.

...Przyszli pod Lenino jeszcze dniem. Nocą ryli stanowiska: głębokość 1,80 metra, średnica 3 metry. Dla każdego moździerza. Potem, rankiem 12 października 1943, wraz z kilkoma grupami artylerii rozpoczęli półtoragodzinne trzęsienie ziemi, by nie pozostał nikt żywy w hitlerowskich okopach, by zmieszać i wymacerować ich stanowiska ogniowe.

Jeszcze, niestety, piechurzy przekonywali się, że nawet taka gigantyczna siła ognia nie prowadzi do absolutnej ogniowej ciszy, spokoju, bezpieczeństwa. A przecież swym ogniem i dymem sprawili, że z dnia uczyniła się noc, że obracali się jak w ciemnej piwnicy, że pozrzucali z żaru mundurowe kurtki, a za lniane koszule ciekły strugi potu.

...I on, jak Pendrak, jak wielu innych, doszedł do Berlina. Polski chłop, który geografii uczył się przede wszystkim własnymi nogami.

Po wojnie osiedlił się w Żmudzi pod Chełmem. Gospodaruje na niespełna 3 teściowych hektarach. Dorabia w GS-ie. Skromniutkie to życie. Chciałby dokupić ze trzy hektary z Funduszu Ziemi, zwłaszcza, że w ich okolicy ziemi jest raczej w nadmiarze. Wyuczył, wyszkolił dzieci. Najstarszy syn już odbywa służbę wojskową. Postawił z żołnierską i gospodarską zapobiegliwością dom i oborę, myśli o stodole.

Żeby jeszcze był większy kawałek ziemi...

Ciągle nie boi się potu, który nie tylko pod Lenino spływał po plecach. I dzisiaj także.

* * *

Jan Dul, który w 2 pułku piechoty służył w 2 kompanii moździeży 82 mm, a dzisiaj gospodarzy na ojcowiźnie w Zabrniach Górnych, zapamiętał okrutną scenę, jak śpiącego, chorego kolegę — Franciszka Leszczyńskiego — podmuch bomby wyrzucił z wozu i jak grzebał go Paweł Oszust, „fajny chłop" z tarnopolskiego.

Dzisiaj na Dula cisną codzienne troski: jak tu z sensem gospodarzyć na tych 5 hektarach, rozproszonych na 18 kawałków. Na szczęście, gdy do niego trafiłem, była niedziela, można było precz odsunąć gospodarskie kłopoty.

...A znów kapitan rezerwy Tadeusz Oleszko, pracujący w Zamojskich Zakładach Mięsnych, wtedy elew dywizyjnej szkoły podoficerskiej, wyraziście zapamiętał owo drganie ziemi pod Lenino. Stali zaś w trzecim dywizyjnym rzucie, bodaj cztery kilometry za linią walki.

Majorowi rezerwy, Henrykowi Puchalskiemu, wtedy szeregowcowi kompanii fizylierów z 3 pułku piechoty, utkwił w pamięci moment faktycznego tchórzostwa, zakończony normalnym w warunkach frontowych końcem — rozstrzelaniem tchórza. I inny, przejmujący obraz, jak jeden z kolegów bał się potwornie, a mimo to szedł do przodu. Szedł po swoją śmierć w drugim dniu bitwy pod Lenino.

Nim jednak Henryk Puchalski osiadł w Białymstoku, nim objął funkcję prezesa inwalidzkiej spółdzielni — jeszcze musiał przeżyć trzykrotne ranienie. Pod Lenino, na Wale Pomorskim i najboleśniejsze, powojenne, w Bieszczadach podczas walk z bandami UPA.

I tak by można po kolei wyliczać ludzkie doświadczenia, perypetie, karty chwały i bólu, radości i załamań. Mówić, że dawni bohaterowie dziś są schorowani i zmęczeni. I będzie to absolutna prawda. Podobnie jak w melancholijnym stwierdzeniu, że najbliższe i dalsze ich otoczenie zapomniało, lub udaje, że zapomniało, o ich żołnierskiej drodze, sławie. O ranach, ale także o pokojowej, żmudnej pracy.

Nie należą do kategorii ludzi, którzy umiejętnie sprzedają swoje zasługi i rany.

Nie umieją dopominać się o renty i oświetlenie ich zagród. Najczęściej chcieliby choćby jednego — społecznego szacunku i naszej, społecznej pamięci.

To dużo. Ale chyba także — nie za wiele.

Alojzy Sroga

PS. Autor przygotowuje, jak to stwierdził na początku, monografię literacką bitwy pod Lenino. Będzie więc ogromnie wdzięczny za każdą relację, wspomnienie, uzupełnienie czy nazwiska ludzi, którzy polegli pod Lenino, tam byli ranni, lub pięknie się wtedy zachowywali, a dziś żyją zapomniani. Wszelkie informacje, listy — proszę kierować do redakcji „Kameny" (Lublin, skrytka pocztowa 131), która mi je przekaże.

W pierwszym rzędzie drugi z lewej strony płk Jan Piróg podczas tegorocznych uroczystości pod Lenino, w dniu 15 października

ZAMOŚĆ LITERACKI

Jerzy Kołodziejczyk

Fot. Andrzej Polakowski

KRONIKI miejscowe nie bez satysfakcji odnotowały, że Zamość odwiedzali w okresie międzywojennym głośni przedstawiciele polskiej literatury: Julian Kaden-Bandrowski, Tadeusz Boy-Żeleński, Włodzimierz Słobodnik, Józef Czechowicz...

Wieczory autorskie, odczyty, spotkania i osobiste kontakty z pisarzami ukształtowały specyficzny klimat kultury Zamościa. Zainteresowanie twórczością literacką przejawiało się m. in. poprzez rozwijanie lokalnej literatury. Pod wpływem wspomnianych bodźców wiele osób w Zamościu zaczyna pisać. Sprzyja temu lokalna prasa, na której łamach młodzi adepci literatury mogą publikować swoje utwory. Niektórzy wydają własnym sumptem zbiory wierszy i prozy. W ten sposób opublikował swoje wiersze Adam Szczerbowski (nakładem Koła Miłośników Książki), dyrektor miejscowego gimnazjum, jak i inny nauczyciel, założyciel sławnego ZOO w Zamościu — Stefan Miller. Jeśli utwory Szczerbowskiego uznano za wartościowe pod względem artystycznym, to twórczości Millera odmówiono, i słusznie, walorów literackich. Podobny los spotkał pisarstwo innego nauczyciela — polonisty miejscowej Szkoły Handlowej, Tadeusza Sarneckiego. Po śmierci Piłsudskiego napisał on utwór pt. „Wódz — misterium tragiczne". Nie ze względu na wartości artystyczne, ale na aktualność tematu książeczka ukazała się drukiem. Wydana została przez Koło Miłośników Książki, mimo uzasadnionych oporów Z. Klukowskiego.

W zamojskiej atmosferze wyrastali jednak i interesujący twórcy. Mam na myśli Zdzisława Stroińskiego [1]), także mieszkańca Zamościa, który tu właśnie stawiał pierwsze kroki poetyckie. Talent tego wcześnie zgasłego poety niedawno został odkryty i właściwie oceniony.

Można by jeszcze wymienić innych, próbujących swych sił na polu literackim, szczupłość artykułu nie pozwala jednak na bardziej szczegółową analizę twórczości tych pisarzy, w dosłownym znaczeniu amatorów. Wspomnę tylko jeszcze dla kronikarskiej dokładności o Ksawerym Brunickim, który był autorem zbioru wierszy o J. Piłsudskim.

Jak wspominałem, Zamość należał do tych miast, które chętnie odwiedzali pisarze. Kaden-Bandrowski w czasie swych krótkotrwałych (2—3-dniowych) wizyt spotykał się nie tylko z dorosłym społeczeństwem, ale także z młodzieżą szkół średnich. W grudniu 1926 r. wygłosił odczyt na temat twórczości Stefana Żeromskiego. W 1929 r. udzielił wywiadu przedstawicielowi miejscowej „Gazety Zamojskiej". Powiedział wtedy:

W Zamościu jestem już trzeci raz. Ładne i miłe miasto! Nieczęste zdarzenia wśród miast prowincjonalnych. Uważam, że Zamość „ma przyszłość" i świetne warunki rozwoju...

W dalszym ciągu autor „Czarnych skrzydeł" przychylnie wypowiadał się na temat KMK, które — jak określił — znane jest w kraju ze swej ożywionej działalności, a tym samym podnosi Zamość do rangi poważnego ośrodka kultury południowo-wschodniej Lubelszczyzny.

Często w Zamościu pojawiał się także Włodzimierz Słobodnik. Mieszkała tutaj matka i rodzeństwo jego żony, do których kilkakrotnie w czasie wakacji lub świąt przyjeżdżał wraz z żoną. W czasie jednych z odwiedzin Słobodnik odwiedził Leśmiana przy ul. Bazyliańskiej. We wspomnieniach swoich o autorze „Łąki" tak opisuje to pierwsze spotkanie z zamojskim poetą:

Z poezją Leśmiana zapoznałem się dopiero w roku 1927. Przeczytawszy „Łąkę" byłem oszołomiony niefałszowaną jej świeżością i zielenią, a jednocześnie zdumiewało mnie to, że niektóre moje wiersze, pisane przed zapoznaniem się z poezją Leśmiana, jakoś z nią współgrały i były pisane jak gdyby pod jej wpływem...

Trwalsze więzy łączyły z Zamościem Stanisława Młodożeńca, który w 1923 r. rozpoczął pracę w miejscowym gimnazjum jako nauczyciel języka polskiego. Pobyt jego w tym mieście nie był zbyt długi, po dwu latach na własną prośbę przeniósł się do Warszawy. Mimo to pozostawił po sobie trwały ślad w postaci tomiku poezji „Kwadraty". Zamojski epizod Młodożeńca został tak oto zanotowany przez Z. Klukowskiego:

Na jesieni 1924 r. [2]) przybył do Zamościa jako nauczyciel j. polskiego do gimnazjum męskiego Stanisław Młodożeniec, poeta znany ze swych utworów futurystycznych, autor „Kresek i futuresek" i współtwórca „Noża w brzuchu". Wstąpił on do KMK i bardzo ożywił nasze zebrania. (...) Sprowadzenie go do Zamościa było zasługą dyr. Lewickiego, który pomimo całej swej konserwatywności był człowiekiem nowoczesnym, nie obawiał się polonisty, obciążonego stemplem futurysty. I nie zawiódł się, bo Młodożeniec okazał się bardzo dobrym nauczycielem, jego sława poety przyczyniła się niemało do poruszenia umysłów uczniów klas wyższych, wzmogły się zainteresowania literaturą, zakwitło słowotwórstwo...

Dokumenty szkolne, jakie zachowały się do naszych czasów, potwierdzają słuszność tej opinii. W czasie dwuletniego pobytu w gimnazjum zamojskim Młodożeniec wykazywał się dużą aktywnością w pracy prowadzonej z młodzieżą. Kierował m. in. szkolnym kółkiem dramatycznym, które wystawiało „Skąpca" Moliera, „Noc listopadową" Wyspiańskiego (fragmenty) i „Marię Stuart" Słowackiego.

Dzięki swej żywotności i aktywności był o wiele popularniejszy w Zamościu niż Leśmian. Brał udział w akcji odczytowej, pisał artykuły do prasy miejscowej; w jednym z numerów „Ziemi Zamojskiej", poświęconym autorowi „Trylogii", zamieścił artykuł pt. „Humor Sienkiewicza". Uczestniczył także w zebraniach KMK; działalność ta wiązała się z jego zainteresowaniami poetyckimi i zawodem nauczyciela-polonisty.

W czasie swego pobytu w Zamościu napisał kilka wierszy, związanych z miastem, m. in. „Ranek u bibliofila" i „Pochwałę prowincji", które weszły w skład zbiorku poezji pt. „Kwadraty", wydanego przez KMK.

Młodożeniec opuścił Zamość jesienią 1925 r. Na własną prośbę przeniósł się do Warszawy, gdzie objął pracę w Gimnazjum Męskim im. Księcia Józefa Poniatowskiego przy ul. Złotej. Można przypuszczać, że życiowe względy przemówiły za tą zmianą miejsca pracy. Stolica otwierała przed młodym poetą większe możliwości rozwoju jego talentu, niż prowincja.

Mimo wyjazdu w dalszym ciągu utrzymywał bliski kontakt z Zamościem. Korespondował z Z. Klukowskim, przyjeżdżał z odczytami do KMK. Przerwaną po kilku latach łączność z Zamojszczyzną odnowił Młodożeniec w 1957 r., kiedy po powrocie z emigracji odwiedził Klukowskiego w Szczebrzeszynie. Wizyta ta stanowi dowód trwałych związków, łączących autora „Kwadratów" z regionem, w którym przebywał tylko dwa lata [3]).

W 1932 r. przenosi się z Zamościa do Krakowa dyrektor gimnazjum, Kazimierz Lewicki. Wakujące stanowisko dyrektora objął, przybyły z Puław, polonista Adam Szczerbowski. Nie posiadał tych zdolności organizatorskich, co poprzednik, okazał się jednak niezłym poetą, wielkim miłośnikiem literatury. Nie od razu włączył się do prac bibliofilów zamojskich. W KMK aktywnie zaczął pracować dopiero w 1936 r. Stanowisko dyrektora gimnazjum otrzymał nie ze względu na swoje umiejętności dobrego organizatora, ile ze względu na fakt, że był legionistą, chociaż „lewym". Członek OZON-u, na zebrania tej organizacji nie uczęszczał, składek nie płacił. Twierdził, że zapisano go do niej bez jego zgody, przeciwko czemu jednak nie protestował. Można powiedzieć, że polityka go nie interesowała.

Szczerbowski należał do typu ludzi, unikających hałaśliwego towarzystwa. Był człowiekiem spokojnym, jak byśmy dzisiaj określili — „bez nałogów". Jedyną jego pasją w wolnych chwilach była gra w domino, której oddawał się z wielkim zamiłowaniem. Po zajęciach szkolnych szedł do kawiarni i w trakcie gry prowadził ożywione dyskusje z przyjaciółmi. Często także przebywał w parku lub szkolnym ogródku botanicznym. Dłuższych spacerów odbywać nie mógł, gdyż nie pozwalała mu na to agorafobia, na którą cierpiał.

Bliskie kontakty utrzymywał z zamojskimi bibliofilami: Z. Klukowskim, H. Rosińskim, Z. Krauze. Najserdeczniejsze jednak więzy łączyły go z Leśmianem, którego poezję darzył uczuciem wprost bałwochwalczym. Zachwycał się szczególnie „Łąką". Wspomina o tym w 1934 r.:

Już w roku 1921, jeszcze jako student, miałem na ten temat odczyt w Kole Polonistycznym UJK we Lwowie. Obecna praca o „Łące" (autor ma na myśli rozprawę, ogłoszoną drukiem w 1931 r. pt. „Brzegiem szału w niepojętą zieloność") jest pogłębieniem i rozszerzeniem tego odczytu. Po ukazaniu się „Dziejby leśnej" mam zamiar opracować obszerniejszą charakterystykę całej jego twórczości...

Potwierdziły się słowa poety. W 1938 r. ukazała się nakładem KMK jego rozprawa pt. „Bolesław Leśmian".

Właściwe Szczerbowskiemu umiłowanie poezji uwidoczniło się już w pierwszych latach pracy w szkole. Potrafił je rozwijać także u młodzieży. Czynił to nie tylko na lekcjach języka polskiego, ale również na zajęciach w kółku polonistycznym i jako opiekun szkolnego pisemka „Nasza myśl". Z ramienia KMK wygłaszał odczyty dla młodzieży i dorosłego społeczeństwa na temat twórczości Leśmiana i w ogóle współczesnej polskiej poezji. W prasie literackiej zamieszczał artykuły teoretyczno-literackie, tematycznie wiążące się z rzemiosłem poetyckim.

Z jego też inicjatywy powstała przy KMK „Książnica Literacka" — rodzaj lokalnego wydawnictwa. Szczerbowski wydał kilka interesujących zbiorów wierszy: „Kwiat na mogile" (1924), „Ul" (1924), „Krople rosy", a następnie w 1937 r. „Ogród zamknięty". Te ostatnie liryki przychylnie ocenił ówczesny krytyk literacki — K. W. Zawodziński:

„Ogród zamknięty" jest i w absolutnych wymiarach zjawiskiem wybitnym, książką poetyczną, pociągającą pięknem i rozmaitością zawartej inwencji tematycznej i formalnej, bezbłędną jako rzemiosło poetyckie...

Szczerbowski był także tłumaczem, m. in. Anioła Ślązaka oraz wierszy Heinego i Novalisa.

W roku 1936 nakładem „Książnicy Literackiej", a na koszt swego przyjaciela Zygfryda Krauze, ogłasza drukiem książkę pt. „Współczesna poezja polska 1915—1935. Antologia poetycka", którą złośliwi dowcipnie nazwali... „antologią szczerbatą".

Druga wojna światowa przerwała tę cichą, spokojną, ale twórczą pracę. We wrześniu 1939 r. wraz z inspektorem szkolnym Szczepańcem opuszcza Zamość na stałe. Myślami jednak często wracał do tego miasta. W 1946 r. pisał do dyrektora zamojskiego gimnazjum:

Tych siedem lat, spędzonych na stanowisku dyrektora gimnazjum męskiego w Zamościu, przy codziennej pracy nauczania i wychowania, przekreśla w mej świadomości ta jedna noc klęski, po której przyszło sześciolecie tak straszne, tak wypełnione okrucieństwem wroga, tyloma ofiarami i stratami, że wszystko, co w tej dalszej, przedwojennej przeszłości było radosne, dobre i piękne, przesłania opar krwi, żałobny kir śmierci, poczucie własnej bezsilności i piekący ból, którego nie można wspominać, trzeba rozmyślać i trzeba korzyć się przed tym bezlikiem ofiar nieprzeliczonych i trzeba tym, którzy podjęli się ciężkiej pracy nad odbudową, przynajmniej myślą i pragnieniem najszerszym współczuć i razem z nimi pragnąć, aby ta nowa rzeczywistość, którą budują, przybrała kształty pełne i trwałe...

Szczerbowski, pisząc o owej „nocy klęski", miał na myśli tę noc wrześniową, w którą opuścił Zamość uciekając przed Niemcami. Nigdy nie wyzbył się kompleksu na tym tle. Uważał, że opuszczając wtedy swoje stanowisko, które mu powierzono, tj. szkołę, przekreślił całkowicie swój powrót do Zamościa, miasta, do którego tak bardzo był przywiązany.

Po wojnie osiedlił się w Łodzi, gdzie pracował w swoim zawodzie nauczycielskim. Tam też zmarł 23 września 1956 r. przeżywszy sześćdziesiąt sześć lat.

Innym poetą, przez długie lata związanym z Zamościem, był Bolesław Leśmian — ale to już odrębna historia.

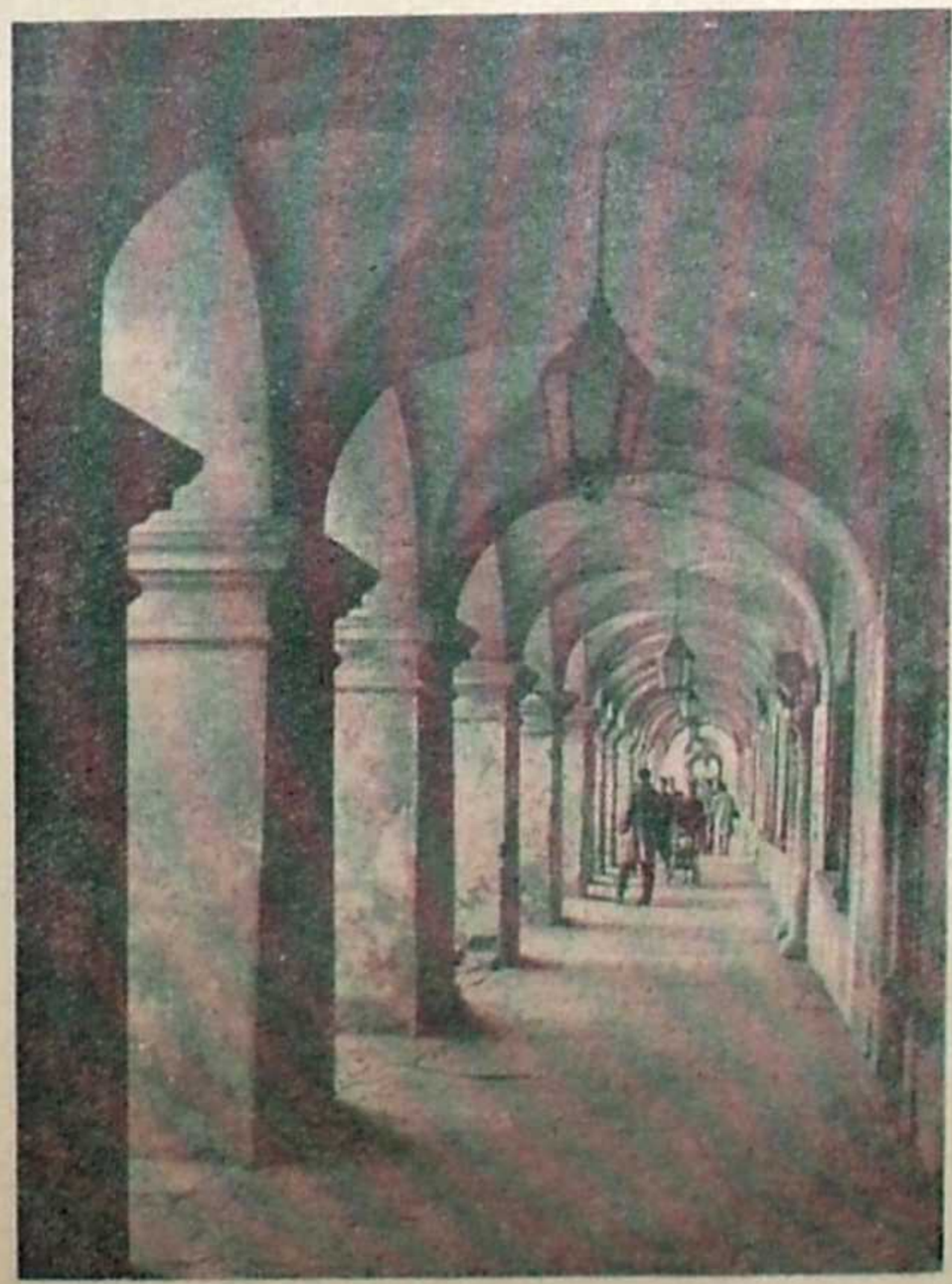

Fot. Janusz Urban

[1]) Zdzisław Stroiński był synem zamojskiego prawnika. Zginął w powstaniu warszawskim w 1944 r. Twórczością jego (ogłosił tylko jeden zbiorek „Okno" — w 1943 r.) zainteresowano się dopiero kilka lat temu. („Okno" wznowiło Wyd. Lubelskie w 1963 r. ze wstępem Z. Jastrzębskiego).

[2]) Data niezgodna z dokumentami.

[3]) O związkach poety z Zamojszczyzną pisał w „Kamenie" nr 22/1966 Bohdan Królikowski: „Młodożeniec w Zamościu czyli pochwała prowincji".

Ziemia gromadzi... nie tylko prochy

Ireneusz J. Kamiński

W SPOŁECZNYM odczuciu archeologia na ogół przestała już być nieszkodliwą zabawą dziwaków, ryjących ziemię dla byle skorupy czy podkowy. Starsi panowie z łopatami w dłoniach, wywodzący swoje zainteresowania gdzieś od osiemnastowiecznego odkrywcy Pompei, Winckelmana, w ciągu ubiegłego wieku awansowali do roli poważnych badaczy równie poważnego problemu, jakim jest przeszłość ludzkości, z rzadka tylko zanotowana przy pomocy pisma.

Wyniki poszukiwań człowieczego rodowodu zwróciły w końcu uwagę polityków i ideologów, stały się — na ogół wbrew intencjom archeologów — pożywką i narzędziem nacjonalizmów. Antyczne symbole odświeżono i wyhaftowano na sztandarach włoskich i niemieckich faszystów, elementy starożytnej architektury, zdegenerowane i spotworniałe w swej bezduszności, scementowano w kamienne bloki oficjalnego budownictwa III Rzeszy i Włoch Mussoliniego.

Totalne zaślepienie i nienawiść do innych narodów i ras zwalniały także wszelkie hamulce „naukowej" bezczelności. Przykład wiedeńskiego historyka sztuki, Josefa Strzygowskiego, aczkolwiek związany z erą nowożytną, jest tu wystarczająco wymowny i chyba przerażający. Wrogo ustosunkowany do kultury grecko-rzymskiej, z całego dorobku artystycznego renesansu włoskiego uznawał tylko twórczość Leonarda da Vinci, Michała Anioła i Giorgione'a — ponieważ jego zdaniem byli to „wielcy Germanie"!

Nie jest ujmą dla uczonego podjęcie tematu badań sugerowanego przez polityka, ale bzdurą i nieuczciwością będzie naginanie wniosków do koniunktury politycznej czy apriorycznej, niczym nie udokumentowanej tezy. Strzygowski, zaślepiony pangermanizmem i rzekomą wyjątkowością rasy aryjskiej, usiłował zafałszować historię, naginając ją do wizji „übermenschów". W 1848 r. Joachim Lelewel pisał do posłów niemieckich zasiadających w Paulskirche, że Polska od wieków istniała jako nowożytny organizm państwowy i narodowy, będący istotnym czynnikiem kulturalnym oraz politycznym na mapie Europy — nim Niemcy wyłoniły się w postaci zjednoczonego państwa. To była prawda naukowa, historyczna, o mocy i funkcji argumentu politycznego.

Zrozumiałe, że takie właśnie atuty należy wydobywać na światło dzienne i upowszechniać. Nie ze względów nacjonalistycznych, ale gwoli prawdzie historycznej i w celu utrącenia propagowanych jeszcze dziś przez zachodnioniemieckie instytuty historyczne poglądów, jakoby państwo polskie powstało wyłącznie dzięki zachodniej, a przede wszystkim niemieckiej kolonizacji. Przed i w czasie ostatniej wojny „nauka" niemiecka zdążyła zaanektować dla Germanów i Kraków i Biskupin — dzieło kultury łużyckiej, kontaktującej się z niemiecką zazwyczaj przy pomocy oręża.

Apetyty archeologów i historyków hitlerowskich rosły zresztą proporcjonalnie do zasięgu podbijanych obszarów. Osławiony „Ost Institut" skierował na początku okupacji na Lubelszczyznę liczną grupę studentów i naukowców różnych specjalności, którzy szybko doszli do wniosku, że tereny te już historia podarowała Rzeszy. Lublin i Tomaszów uznano za miasta rdzennie niemieckie; tylko barbarzyńscy Polacy przeszkodzili w swobodnym rozkwicie germańskiego żywiołu. W narodowym uniesieniu przybito więc do muru Bramy Krakowskiej tablicę z dramatycznym napisem: „Miasto dawniej niemieckie — dalej niemieckie"!

Nauka polska już dawno wykazała absurdalność tych roszczeń, wytłumaczalnych jedynie schizofrenią narodową, albo próbą projekcji marzeń na rzeczywistość. Archeolodzy, cofając się daleko w przeszłość, postawili udokumentowaną hipotezę, że właśnie nad Bugiem i na Wołyniu uformowała się grupa strzyżowska kultury ceramiki sznurowej, na której we wczesnej epoce brązu wyrosła kultura trzciniecka, uważana za początki kulturowo-etniczne Prasłowiańszczyzny. Gród w Chodliku koło Opola Lubelskiego uznany jest przez niektórych badaczy za jeden z większych ośrodków „państwa" Wiślan z VII—IX w. Badania zespołu osadniczego w widłach Huczwy i Bugu na obszarze wsi Gródka dowiodły, że w wiekach VII—X formował się tam poważny ośrodek „państwa" plemiennego. Aczkolwiek nie ustalono dotychczas z całą pewnością położenia terytoriów związku plemiennego Lędziców (od lędów wypaleniskowych), która to nazwa w wersji ruskiej dała Lachów, w węgierskiej Lengyel, litewskiej Lenkas, to przecież najbardziej prawdopodobne, że znajdowały się one albo na Lubelszczyźnie, albo też w okolicach pobliskiego Sandomierza. Ostatnie badania w Lublinie odkryły poziomy osadnicze z VII—VIII w., co niewątpliwie przesunie w głąb dziejów moment rozpoczęcia na tym terenie zorganizowanego życia społecznego. Zręby polskiej państwowości ukształtowały się grubo przed 966 r. — bez germańskiej pomocy. Przed „pomocą" oferowaną nam w późniejszych wiekach i dziesięcioleciach musieliśmy się bronić mieczem i włócznią.

Ten rejestr faktów — argumentów w procesie o próbę historycznego złodziejstwa można by ciągnąć bardzo długo, aż do powołania się na źródła pisane. Ale nie jest celem tego artykułu polemizowanie ze skompromitowanymi teoriami zachodniej proweniencji, czy głoszenie prawd oczywistych, choć czasami wydaje się to nawet konieczne. Chodzi przede wszystkim o uświadomienie wielkiego znaczenia archeologii jako narzędzia polityki i ideologii, jako istotnego czynnika w procesie formowania i pogłębiania poczucia narodowego. Następnie zaś — o odpowiedź na pytanie, czy nauka ta zajmuje u nas właściwe jej miejsce, czy jest doceniana przez społeczeństwo, czy dysponuje wszelkimi możliwymi instrumentami działania i rozwoju.

Poszukiwanie odpowiedzi na płaszczyźnie krajowej zrekapituluje się na pewno pozytywnie. Ale ta ogólna ocena ma charakter średniej statystycznej, opartej, jak wiadomo, na rachunku: tu bardzo dobrze, tu gorzej, w sumie dobrze. Jakie więc jest miejsce Lubelszczyzny w kształtowaniu tego generalnego poglądu na archeologię polską, ziemi, z której „nauka" niemiecka niecałe trzydzieści lat temu usiłowała nas wywłaszczyć, pośrednio „usprawiedliwiając" pacyfikację Zamojszczyzny, Majdanek, Sobibór?

Jest to terytorum bodaj najbogatsze w Polsce pod względem zasobów archeologicznych. Wskazują na to dotychczasowe odkrycia, jak i cały szereg przesłanek innej natury. Przez Lubelszczyznę przebiega granica klimatyczna, ważny regulator rozmieszczenia skupisk ludzkich, tędy prowadziły granice polityczne i szlaki komunikacyjne we wszystkie strony świata, ta właśnie płodna ziemia ściągnęła w neolicie plemiona rolnicze. Ówcześni mieszkańcy dzisiejszej Lubelszczyzny kontaktowali się z prowincjami rzymskimi (I—V w.), czego dowodem liczne ozdoby z importu, srebrne monety i miecz inkrustowany z Minerwą i Marsem, znaleziony w grobie w okolicach Tomaszowa (Podlodów). Niemal pół tony ważący skarb bursztynowy odkryto na szlaku prowadzącym od Bałtyku ku Dniestrowi — wzdłuż Wisły i Bugu. Zachowały się ślady penetracji wschodniego cesarstwa rzymskiego w postaci złotych monet Konstantyna Wielkiego i Teodozjusza. Wykopano zasobny skarb monet arabskich... Ale jest to tylko ułamek tego, co kryje ziemia, wcale nie zazdrośnie, co roku odsłania 50 nowych stanowisk, godnych badawczej uwagi. Cóż z tego, kiedy znikoma tylko część przechodzi przez archeologiczne sito...

Fot. Janusz Urban

W pracach terenowych podczas minionego sezonu archeologicznego uczestniczyło aż 7 instytucji: Muzeum Okręgowe w Lublinie, Katedra Archeologii Polskiej UMCS, Konserwator Zabytków Archeologicznych, oddział lubelski Polskiego Towarzystwa Archeologicznego, Instytut Historii Kultury Materialnej PAN, Katedra Historii Architektury Polskiej Politechniki Krakowskiej, Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie. Jednak liczba samodzielnych i pomocniczych pracowników nauki, biorących udział w tegorocznych wykopaliskach, nie przekroczyła 15 osób. Trzeba przy tym wyjaśnić, że w poprzednich latach zespoły archeologów, działające na Lubelszczyźnie, były na ogół szczuplejsze. W tym roku sytuacja okazała się lepsza także pod względem finansowym. Dzięki dotacjom Wydziału Kultury Prezydium WRN dla PTA kontynuowano prace w Chodliku i rozpoczęto w Lublinie, na Starym Mieście i wzgórzu na Kalinowszczyźnie. Jedynie pomoc Wydziału umożliwiła badania terenowe Katedrze Archeologii Polskiej UMCS, albowiem Uniwersytet nie dysponuje odpowiednimi kredytami. Zresztą Katedra ta znajduje się w położeniu dość egzotycznym, w związku bowiem z wprowadzeniem tzw. studiów przemiennych, nie posiada ona studentów.

Bliżej nie zorientowany czytelnik może w różny sposób odczytywać te informacje. Chcąc uniknąć dwuznaczności powiem więc wprost, że zarówno kadra archeologów, jak i środki przeznaczane na badania wykopaliskowe są stanowczo za szczupłe, a stan taki obserwujemy na Lubelszczyźnie od lat. Na terenie, który wraz z Małopolską stanowi kolebkę polskiej państwowości, a nawet — Prasłowiańszczyzny!

Jak dotąd, większość obywateli święcie wierzy, że Polska poczęła się w momencie ochrzczenia dzikusów z nadwiślańskich borów. Utwierdzeniu się tego poglądu sprzyjały podręczniki szkolne oraz brak popularnych czasopism z zakresu archeologii polskiej, przystępnych dla przeciętnego czytelnika i atrakcyjnych pod względem typograficznym. Takich kryteriów nie spełniał do niedawna kwartalnik PTA „Z ochłani wieków", serwujący artykuły z całym dobrodziejstwem naukowego warsztatu; był po prostu nudny. Szczęściem, tegoroczne numery pisma ukazały się w zmienionej na korzyść postaci. Nasze wydawnictwa zapełniają rynek czytelniczy tłumaczeniami niewątpliwie cennych i fascynujących autorskim ujęciem książek o archeologii i etnografii światowej, lecz do dziś nie doczekaliśmy się publikacji własnego Cerama, Frazera czy Heyerdahla. Bo po prostu nie narodził się jeszcze na żyznej skądinąd ziemi lechickiej. Rodzimi autorzy chętnie piszą o Inkach, królu Salomonie, i Herodzie, lecz ich wyobraźnia rzadko dociera np. w głębokie wykopy grodziska w Chodliku. Dlaczego!

Niedostatki popularnej literatury

Dokończenie na str. 6

Jak mieszkamy a jak powinniśmy

Jerzy Dostatni

SALKA domu społecznego Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Motor" w Lublinie jest mała. Tym razem jeszcze pomniejszona, bo wzdłuż trzech ścian wyłożono makiety nowej dzielnicy, którą spółdzielnia będzie budowała, a także plany mieszkań wszystkich wielkości oraz propozycje umeblowania tych mieszkań. Owa dzielnica, a właściwie część dzielcy Kalinowszczyzna, oznaczona kolejną literą C, ma wszelkie szanse stać się najpiękniejszą dzielnicą Lublina. Można powiedzieć, że jest na to skazana przez naturę — wspaniała rzeźba terenu, dużo naturalnej zieleni, zmniejszony już nieco nacisk różnych normatywów na projektantów.

Na początku wydaje się, że kolorowa, wyrazista makieta zaczarowała przyszłych lokatorów. Każdy widzi siebie i swoją rodzinę w jednym z 11-piętrowych bloków, który dzięki wyzyskaniu różnicy poziomów osiągnie wysokość 18 pięter. Nikomu nie przeszkadza fakt, że w samym środku dzielnicy znajduje się czynny cmentarz i że w konsekwencji zniknie on z powierzchni ziemi nie prędzej niż za 40 lat. Jeżeli ktoś o ponurym usposobieniu wybuduje obok przychodnię zdrowia, aptekę i filię zakładu pogrzebowego, powstanie jedyny tego rodzaju kombinat w kraju.

W dyskusji okazało się, że jednak myślała o tym jedna osoba. Inni korzystali z rzadkiej, zbyt rzadkiej u nas okazji, aby wysunąć jakieś sugestie wobec projektantów. Dokumentację bowiem jeszcze się opracowuje i można wprowadzić do niej zmiany. Najwięcej pytań dotyczyło balkonów: dlaczego w niektórych mieszkaniach nie ma ich wcale, dlaczego w innych są tak małe? Okazuje się, że balkon traktowany jest jak by dodatkowy pokój, w dodatku nie podlegający przepisom kwaterunkowym. Jedni potrzebują go do odpoczynku, młode mężatki jako najwygodniejsze miejsce suszenia pieluszek, starsze panie jako skład zawadzających w mieszkaniu rupieci, które „jeszcze mogą się przydać".

Makieta i rysunki tworzyły przez kilka dni wystawę, którą zwiedziło 10 proc. przyszłych lokatorów, była więc reprezentowana co trzecia rodzina. Stąd przeprowadzona wśród nich ankieta jak i głosy w dyskusji są dość wiernym obrazem tego, czego przyszli mieszkańcy-spółdzielcy wymagają od swoich mieszkań, a czego nie chcą.

Tak więc przez kilka lat pokaźna część projektantów i pracowników budownictwa, a także niektórzy plastycy, domagali się budowania pomiędzy pokojami nie tradycyjnych ścian działowych, ale przesuwalnych meblościanek. Wytaczali dziesiątki argumentów — skrzętnie ukrywając ten przeznaczony na własny użytek, że to łatwiej projektować i budować. Teraz 96 proc. lokatorów wypowiada się przeciw owym meblościankom. Tradycyjny przeżytek czy chęć rzeczywistego odseparowania się od reszty rodziny? Tak czy inaczej odpowiedź jest zdecydowana i miejmy nadzieję, że przestaniemy projektować dla budowlanych, a zaczniemy projektować i budować dla mieszkańców.

Dwa następne pytania okazały się bardziej kontrowersyjne: więcej pokoi mniejszych czy odwrotnie, oraz czy układ urządzeń w kuchni (panie nazywały to po męsku ciągiem produkcyjnym) jest właściwy? W pierwszym przypadku odpowiedzi były idealnie podzielone — dotyczy to, oczywiście, tylko mieszkań większych. Wynika z tego, że owe ścianki działowe (nie meblościanki!) należy stawiać w uzgodnieniu z konkretnym lokatorem, albo — co trudniejsze — przed przydziałem dać mu wybór. Natomiast 43 panie na 100 uważały, że w kuchni należy przenieść w inne miejsce albo zlewozmywak albo kuchenkę.

Było też pytanie, nawiązujące do pięknie wykonanych rysunków, jak powinno się meblować nowoczesne mieszkania. Rysunki były tak sugestywne, że 43 proc. odpowiadających było za tym, aby spółdzielnia mieszkaniowa za pośrednictwem ORS — oczywiście na koszt przyszłego lokatora — sprowadziła meble przystosowane do takich właśnie mieszkań. Pytanie było chyba dość retoryczne, bo lubelski handel meblami nie jest w stanie zagwarantować terminowej dostawy chociażby jednego kompletu, a cóż mówić dopiero o 50 czy 100? Ale, jak widać, problem narasta i prędzej czy później trzeba go będzie tak właśnie rozwiązywać. Im prędzej tym lepiej!

Było wreszcie pytanie, które spowodowało wiele nieporozumień. Może dlatego, że niezbyt precyzyjnie sformułowane, może przyszli lokatorzy są jeszcze zbyt wielkimi indywidualistami. Wynikało bowiem z odpowiedzi, że szkoła podstawowa powinna się znajdować od każdego domu w maksymalnej odległości 100 m, przedszkole i garaż najwyżej 50 m. Gdyby zastosować taką urbanistykę, po prostu zabrakłoby miejsca na domy mieszkalne! Na pociechę można więc tylko dodać, że droga do szkoły i do sklepu w żadnym wypadku nie będzie się krzyżowała na jednym poziomie z jezdnią ulicy, a do garaży przeciętnie będzie właśnie 50 m. I w dodatku będzie to dzielnica posiadająca stosunkowo najwięcej w Polsce garaży i miejsc parkingowych — jedno na pięć rodzin.

Gdy już wypowiedzieli się dyskutanci, gdy odpowiedzieli prezes spółdzielni Maciej Zakrzewski oraz projektanci inż. dr Jerzy Androsiuk, inż. Stanisław Fijałkowski i inż. Rita Nowakowska — poderwał się Witold Kasperski, prezes Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, który rzadko, bardzo rzadko, mówi jak... prezes. Czasem nawet jest w pewnej niezgodzie z jakimś biurokratycznym przepisem, zawsze zaś patrzy na osiedle, blok, pojedyncze mieszkanie oczami człowieka, który tam będzie spędzał swoje życie. Z pasją urodzonego działacza społecznego (a przez ćwierć wieku zdawało się, że urodził się poetą!) łączy dar niezwykle w naszych czasach rzadki: gawędziarza, który zarazem operuje najbardziej logicznymi i ekonomicznymi argumentami.

Zaledwie sobie to pomyślałem, gdy prezes jakby się zawahał. Rzecz była do wyjaśnienia drażliwa, a połowę sali zajmowały kobiety. Chodziło zaś o to, że właściwie — ze względu na higienę — umywalki powinniśmy instalować nie w łazienkach, lecz w pomieszczeniach wydzielonych na wc. Właściwie to najlepiej i tu i tam, ale jeżeli już tylko jedną — to właśnie w wc, bo tam najczęściej powinno się myć ręce.

Prezes pokłócił się jeszcze trochę z projektantami (jest ich chlebodawcą), podyskutował z niektórymi wypowiedziami przyszłych lokatorów, po czym poruszył jeszcze jeden temat, o którym z reguły zapominamy, a który powinien odgrywać jedną z decydujących ról już w czasie projektowania: przyszłej organizacji życia społecznego w osiedlu. Temat jak rzeka — szeroki, burzliwy, pełen niespodzianek. A jednak trzeba go opanować, ująć w ramy, wszytko przewidzieć już teraz, gdy osiedle dopiero się projektuje. Potem będzie za późno, zabraknie terenu i pieniędzy.

A więc dobrze, że powstanie dom kultury, basen kąpielowy, dużo sklepów i garaży, szkoła i przedszkole. Rzecz w tym, aby to wszystko budowano równolegle z pierwszymi blokami, tak samo ulice, chodniki, zieleńce. Chodzi już nie tylko o wygodę mieszkańców, o zaspokojenie ich podstawowych potrzeb, ale brak tego wszystkiego już od początku dezorganizuje życie osiedla, zniechęca ludzi, uczy ich narzekania — potem trudno ich skłonić do udziału w życiu społecznym. Początkowy uraz trwa długo.

Ale nie tylko to. Wybudowanie domu kultury to początek — jak wypełnić go życiem, skąd czerpać pieniądze na jego utrzymanie? Spółdzielnie z reguły są zbyt ubogie. W finansowaniu powinny uczestniczyć rady narodowe, ale to trzeba uzgodnić już dziś, nie w przeddzień otwarcia. Druga sprawa — wciąż brak odpowiedniej ilości miejsca dla młodzieży. Dlatego niszczy ona drzewa, trawniki, dlatego chuligani, bo nie ma możliwości wyżycia się w zabawach i sporcie. Spółdzielnie rozrastają się — funkcje zarządów przejmować zaczną rady i administracje osiedlowe. Muszą mieć pomieszczenia biurowe, zaplecza. Musi być miejsce dla baz remontowo-budowlanych, które powinny pracować nie tylko dla administracji, ale i wykonywać usługi dla mieszkańców. Dziś jeszcze, wiadomo, funkcje te spełniają robotnicy przedsiębiorstw budowlanych, często państwowymi narzędziami i państwowym materiałem. Ale kto ich zastąpi, gdy opuszczą osiedla? Czy będziemy mogli dopuścić do dewastacji mieszkań, domów, osiedla — a tak się stanie, jeżeli już dzisiaj nie przewidzimy, że wszystko to będzie musiało mieć biura, magazyny, warsztaty...

W życiu społecznym osiedla ważną rolę będą odgrywały różne organizacje: TPD, harcerstwo, Liga Obrony Kraju, kluby sportowe... Wszystkie te organizacje także potrzebują odpowiedniej bazy do działania. Baza to nie tylko cztery ściany na pokój biurowy. Już dzisiaj trzeba te sprawy rozwiązać wspólnie.

Po zamknięciu zebrania długo jeszcze rozmawiano prywatnie — obok w klubie i w pokoju prezesa. Z takiej właśnie prywatnej rozmowy z projektantami i prezesem „Motoru" mam prawo wnioskować, że nie skończyło się tylko na oficjalnej części. Teraz już co drugi, w następnej pięciolatce trzech ludzi na czterech będzie otrzymywało mieszkania spółdzielcze. I jakikolwiek będzie kształt urbanistyczny oraz architektoniczny nowych osiedli, wszystko musi być podporządkowane potrzebom tych ludzi.

Kamena str. 5

Fragment powieści

Julian Kawalec

IDZIEMY DO DRZEW...

PO śmierci Stefka wszystko w tym domu zostało rozmotane i wszystkie drogi wyprostowane. Sama wiesz o tym, że nie było już przeszkód i przeprowadzka mogła się odbyć. Pole kupił sąsiad, a dom i sad kupiłem ja. Pozostały jeszcze do załatwienia twoje dwa sprzeciwy, twoje dwa bunty, które wprawdzie z długotrwałych, wiekowych przyczyn wynikły, ale nie bez udziału w ich roznieceniu była niedawna tragiczna śmierć twojego starszego syna.

Z pierwszym buntem poradziłaś sobie sama; a drugi został ostudzony z pomocą innych.

Właśnie wtedy, gdy sąsiad wyliczył ci pieniądze za kupione od ciebie pole i podał ci plik, tę starą, po stokroć czytaną księgę banknotów, tę biblię świata, wzięłaś od niego i natychmiast uniosłaś rękę do góry i natychmiast walnęłaś tymi pieniędzmi o podłogę i natychmiast wolną, pustą rękę uniosłaś do góry. Bo od wieków, bo od wiek wieków w twoim i w twojego męża rodzie było inaczej, było to odwrócone; to było tak od wiek wieków odwrócone, że najpierw myślało się, zawzięcie się myślało, żeby pieniądze, ta wyświechtana, święta biblia świata, została zdobyta na zarobkach; żeby za nią dać zdrowie, spokojny równy oddech, spokojne równe bicie serca, sprężystość nóg i grzbietu; żeby się zgodzić gdzieś na obcych ziemiach i w obcych fabrykach na zdeformowanie kości szkieletu, na kabłąki kości goleniowych i udowych i na nadmierny łuk kości grzbietowych i na rozbicie wszerz kości stóp i kości dłoni i w ten sposób zdobyć bodaj kilkanaście kartek tej wyświechtanej biblii świata, która zwie się — pieniądze — i potem te wyświechtane, zatłuszczone i zaślinione kartki dać za pole. To był ten wiekowy porządek, według którego dawało się ciężko zarobione pieniądze, a brało się za nie ziemię. A teraz nagle ten wiekuisty porządek został odwrócony i daje się ziemię a bierze się pieniądze; i dlatego to się z tobą stało. Nagle przykurczyłaś się, a ręka twoja się ugięła, jakby kto z góry trzasnął w twój bunt. Przechylasz się coraz bardziej, kłaniasz się rozsypanym na podłodze pieniądzom, które w nowy, ze starej wiekuistości kpiący sposób, zostały zdobyte. Klękasz i zbierasz banknoty, te wyświechtane kartki, łapiesz je w dłoń, łapiesz, ale się wstydzisz, bo wiesz, że te banknoty to są jakby grudki ziemi pohańbionej przez ciebie sprzedażą a nie uświęconej kupnem.

Potem trzeba było jeszcze wyprowadzić cię z tego ostatniego napadu żalu, któryś przeżyła, gdy przed odjazdem wyszłaś z sadu i niewielkim półkolem przemaszerowałaś po polach. To pole, które sprzedałaś, było świeżo przez sąsiada obsiane i pokazały się już na nim ledwie widoczne, ledwie się od ziemi odróżniające, jeszcze nie zielone, jeszcze ciemnawe, jakby przydymione, igły źdźbeł. Te zaczątki zboża poraziły cię; to, żeś ujrzała twoje byłe pole rodzące, poraziło cię. Gdyby było puste, martwe, to może nie musiałoby się prawie siłą od niego cię odciągać. Sama byś chyba od niego odeszła, gdyby było martwe. Ale ono było żywe, rodzące, a przez to jakby dające informację, że będzie wiecznie rodzące, że po przelotnej martwocie znów będzie rodzące i znów po przelotnej martwocie rodzące. Na wieki wieków rodzące nie dla ciebie i nie dla twoich synów i nie dla twojego rodu.

Usiadłaś przy tym polu i trzeba cię było prawie siłą podnieść i przyprowadzić do domu. Twój młodszy syn, twój teraz już jedyny syn i synowa i jedna z córek twojego najmłodszego brata, ta trójka młodych ludzi sprowadziła cię z pola do domu. Przez całą drogę młodzi tłumaczyli ci, że stała się zupełnie zwykła rzecz; tak szczerze ci to mówili i z takim przekonaniem, że aż się dziwili, że ty tego nie możesz pojąć; to znaczy tego, że gdy się sprzedało pole to stała się zwykła rzecz. Staszek mówił — mamo, przecież nic się nie stało, sprzedaliśmy pole, pójdziemy do miasta, czeka tam na mnie dobra praca, niczego nam nie będzie brakować. Szłaś z nimi niby to posłusznie, ale byłaś jak pijana; a tyś była rozkołysana monotonną, groźną śpiewką wieków, a właściwie tym jednym, jedynym, powtarzanym na różne sposoby refrenem wieków — idź na zarobek i dokup ziemi; weź tobołek, weź drewniany kuferek, idź na zarobek i dokup pola, dokup pola, dokup pola... Choćbyś miał zdechnąć dokup pola, choćbyś miał spać w oborze i stajni razem z bydlętami i razem z bydlęcymi odchodami, dokup pola... żyj w smrodzie i gnoju cudzych bydląt i dokup pola. Żyj bez swojej kobiety i żyj bez męża, żyjcie bez ciepłych ciał mężów i żon, żyjcie bez pierzyn, żyjcie bez miłości, żyjcie bez przyjaźni, wystudźcie swoje serca, odrzućcie wszelaką zieloną gałązkę, wszelaki kwiatek, wszelaką rzecz smaczną i pachnącą, wszelakie miękkie, tkliwe słowo i dokupujcie pola, bo macie go za mało. Wszystko do was wróci, gdy poczujecie pod stopą ziemię na dokupionym zagonie.

Staszek ucinał tę starą śpiewkę wieków, raz po raz ucinał, on szydził z tej śpiewki wieków, a przez to jak by kpił z tych wszystkich kosteczek rodu rozsypanych po różnych cmentarzach. Pomagała mu w tym jego żona, Zofia, a także ta córka jego najmłodszego wujka, która przyszła, aby pomóc w przygotowaniach do odjazdu. Staszek wciąż powtarzał — przecież nic się nie stało, sprzedaliśmy pole; a potem dodawał — coś miała z tego pola, co ci to pole dało? A potem milczał. Doprowadził sprytnie do milczenia i do ciszy. Ta trójka młodych doszła sprytnie do tej ciszy i ofiarowała ci okazję, abyś samej sobie, w sobie odpowiedziała na pytania Staszka — coś miała z tego pola, co ci to pole dało? Oni by chcieli, żebyś ty sobie powiedziała — udrękę i udrękę miałam, udrękę i udrękę mi dawało. Oni by chcieli, żebyś ty pole uznała za rzecz, którą można od siebie oddalić; po prostu machnąć ręką i ta rzecz odlatuje daleko i wpada w ręce innego i koniec. Między tobą a tymi młodymi trwała od tej chwili, w której Staszek zadał ci to pytanie, jakby niema rozmowa. Młodzi tobie — pole to rzecz, która jest poza człowiekiem. A ty młodym — pole przyrasta do człowieka i gdy się je oddaje, to człowiek musi się rozedrzeć. Młodzi tobie — nie potrzeba żadnego cięcia, żadnego wyrywania, żadnego wydarcia, bo to przecież rzecz, od której można odejść i zostawić ją za plecami. A ty młodym — nie może obejść się bez cięcia, bez krwawego cięcia, gdy pozbywasz się pola; z polem stanowisz całość, a bez pola jesteś połową samego siebie, bez pola stajesz się kaleką, tracisz równowagę i lecisz w bok, wciąż zbaczasz, wciąż zbaczasz z równej drogi albo kręcisz się w kółko jak roztańczony błazen; gdy nie ma pola, twoje kroki nabierają szalonego tempa i pędzisz na oślep, sam nie wiesz dokąd; gdy się pozbywasz pola, to tak jakbyś się pozbył rozumu. Młodzi na to znów swoje. I tak Staszek, Zofia i ta twoja młoda bratanica, ta trójka młodych, rozdeptując po drodze starą śpiewkę wieków, przyprowadziła cię do domu, który już nie był twoim domem, bo ja go od was kupiłem. Po przyjściu z pola byłaś już spokojna, ani jedną łzą nie poczęstowałaś gapiów.

Gdy przyjechała z miasta i weszła na swe dawne podwórze, stanęliśmy przy niskim płocie odgradzającym sad od budynków gospodarskich. Patrzymy na małe zwierzęta wałęsające się leniwie. Pies wyszedł z budy, ale już nie szczekał, zgodził się na jej obecność w tym sadzie. Zwierzęta podeszły do nas, dotknęły łbami płotu. Rwała garście trawy i przerzucała przez płot, przypatrywała się jak jedzą. Długo rwała tę trawę i rzucała ją zwierzętom. Bawiła ją ta czynność, nie tylko bawiła, poszukiwała siebie w tej czynności, odnajdywała siebie w tym rwaniu trawy i karmieniu zwierząt. Ta chwila miała swój wielki sens, sens życia może zaświtać w takiej chwili. Chciałoby się taką chwilę wyrwać z czasu, nadać jej wielkość, uczynić ją całym czasem. Niech będzie tylko karmienie zwierząt i nic więcej. Ogołocić tę czynność z sąsiadującej z nią myśli o zabijaniu, pozbawić ją tej przyszłości, w której poleje się krew i uczynić ją wiekuistością.

Ja dołączyłem się do tego karmienia zwierząt. To już nie było rwanie trawy po to, żeby się pobawić, to już była jakby praca, nasza wspólna praca gospodarska. Powiedziała — gdybym miała sierp, to bym tej trawy nażęła więcej. A ja na to — mogę ukosić, kosę mam. Nie kłamałem, bo rzeczywiście kosę mam. Potrzebna mi jest ona do ucinania chwastów, do koszenia trawy i w ogóle do utrzymywania porządku w sadzie. W lecie przyszłego roku będzie mi potrzebna do koszenia żyta. Mojego własnego żyta na moim własnym skrawku ziemi uprawnej, którą sobie stworzę w dolnej części sadu, gdzie wyciąłem te stare, wymarłe drzewa. Z tym koszeniem szybko się uporam. Właściwie będzie to jakby zabawa w kosiarza. Nie kupiłem przecież tego domu aby tu gospodarzyć. Zamieszkałem tu jako emeryt zmęczony wieloletnim pobytem i pracą w mieście. Ale choć to koszenie będzie jakby zabawą, przeprowadzę je poważnie. Stanę na odpowiednio rozstawionych nogach, odpowiednio się pochylę i wezmę duży zamach tak, jakbym stał przed łanem i bał się, że nie skończę do wieczora. W przeddzień koszenia powiem do ludzi — koszenie mnie czeka. Niech się roześmieją. A potem jeszcze powiem — żeby choć pogoda dopisała. Niech się jeszcze głośniej roześmieją. A po skoszeniu zwiążę snopki i ustawię je w babki i nakryję chochołami; kilka tych babek będzie. A gdy to zrobię powiem — żeby choć nie było deszczu. Niech się ludzie roześmieją na cały głos. A potem powiem — trzeba zwozić zboże. Niech ludzie trzymają się za brzuchy ze śmiechu. A później powiem — trzeba młócić zboże, trzeba zemleć ziarno, trzeba piec chleb. Niech spoważnieją ludzie, niech spojrzą na mnie jak na szalonego.

W naszym wałęsaniu się po sadzie powtórzyliśmy krąg. Po odbiciu się od niskiego płotu weszliśmy znów w kępę czarnopiennych śliw. Idziemy do tych drzew i patrzymy na nie. Śliwy są zdrowe, na wiosnę ich wygląd zawsze podsuwał nadzieję, że obficie obrodzą jesienią. Pąki, kwiaty, wszystko jest wiosną; jeśli chodzi o kwitnięcie, to kwiaty wściekle się na nich pienią; a jesień przychodzi i owoców mało, tylko pojedyncze czarne kulki można ujrzeć w wielkiej bujności zielonych, szorstkich liści. Te śliwy są właściwie bezpłodne. To jest dość smutna, oziębła partia sadu. Tu się coś zatrzymało, czas jeśli chodzi o owocobranie jest tu wciąż nieskuteczny. Te śliwy wolą uschnąć niż dać owoc.

Doradziła mi, żeby je przerzedzić. To była dobra rada, wiedziałem, że drzewa rosnące w ciasnocie muszą walczyć przede wszystkim o światło i piąć się w górę, a z porodami się wstrzymują.

Zaczęła krążyć po tej kępie czarnych śliw, stała się niezwykle ruchliwa, wybierała drzewa, które powinny pójść pod piłę i siekierę, a w końcu i pod łopatę, bo po co zostawiać korzenie w ziemi. Kładła dłoń na pniach tych drzew, które przeznaczała na wycięcie i mówiła, tak mówiła, jak by te drzewa były jej, to trzeba wyciąć, to trzeba usunąć, to także trzeba stąd wziąć. Wyobraziliśmy sobie kępę śliw przerzedzoną i gałęzie ciężkie od owoców.

Długo krążyła po tej kępie śliw. Tak długo i tak — można by powiedzieć — pracowicie, że wyglądało to niemal na walkę o zapewnienie owocowania tym drzewom. Tak była zajęta sprawą owocowania śliw, że wydało mi się, iż grób jej syna, który zginął tragicznie, oddalił się od niej. A może to był tylko ratunek? Chwycić się bodaj pni cudzych śliw i pomarzyć o obfitym owocobraniu.

Kamena str. 6

Ziemia gromadzi... nie tylko prochy

Dokończenie ze str. 5

archeologicznej, związanej z Lubelszczyzną, są m. in. następstwem braku syntetycznych czy monograficznych opracowań naukowych, będących, jak wiadomo, podstawą publikacji lżejszego kalibru, obliczonych na masowego czytelnika. A takich opracowań nie doczekamy się dopóty, dopóki nie przyśpieszy się rytmu i nie zwiększy zakresu prac archeologicznych. „Wczesnośredniowieczne dzieje jak i pradzieje lubelskie w oparciu o źródła archeologiczne są zaledwie rozpoczętą kartą" — stwierdza prof. Zdzisław Rajewski, wytrawny znawca problematyki Biskupina. A tradycje badań archeologicznych na Lubelszczyźnie — jeszcze jeden paradoks! — sięgają daleko w przeszłość.

Już pod koniec XIX w., w trakcie niesystematycznych i metodologicznie prymitywnych prac wykopaliskowych, odkryto tak ciekawe i bogate stanowiska, że i obecnie, po upływie ponad pięćdziesięciu lat, dostarczają one archeologom nowe przyczynki do rewizji ustalonych poglądów na wczesnośredniowieczną Słowiańszczyznę. Wystarczy tu powołać się na znaną na ogół historię badań w Chodliku, zainicjowanych przez amatora A. Chotyńskiego na przełomie XIX i XX wieku, pogłębionych w 1952 r. przez ekipę warszawskich archeologów, kierowaną już wtedy przez prof. dra A. Gardawskiego, a kompleksowo rozwijanych dopiero od 1959 r.

Tegoroczne badania chodlikowskiego grodziska, prowadzone pod kierunkiem prof. A. Gardawskiego przez mgr Irenę Kutyłowską z zespołem, koncentrowały się na wale zewnętrznym, gdzie odkryto pozostałości umocnienia o konstrukcji skrzyniowej powszechnie w VI—IX wieku stosowanej. Prace związane były z projektem przygotowania zbliżonego do Biskupina rezerwatu archeologicznego w Chodliku. Przy tym założeniu, cennym z punktu widzenia społecznej przydatności, miniony sezon badawczy nie zostanie jeszcze, jak można przypuszczać, uwieńczony naukową monografią grodziska, albowiem piaskowa gleba kryje jeszcze nie jedną tajemnicę. Systematyczna penetracja terenu nie mogła być przeprowadzona i zakończona dotychczas, bo po prostu nie pozwoliły na to zbyt szczupłe środki. Jedyne pełne opracowanie materiałowe autorstwa Mirosławy Gajewskiej, zamieszczone w „Archeologii Polski" z 1959 r., opierające się na badaniach przeprowadzonych w 1952 r., zawiera wiele nieścisłości chronologicznych, niemożliwych wówczas do uniknięcia.

Ograniczone środki materialne nie wyczerpują kłopotów archeologów lubelskich. Wiadomo, że archeologia należy do tej grupy nauk, które nie mogą skutecznie rozwijać się bez społecznej, nieustającej pomocy. Zabytki kryje ziemia i często w przypadkowych okolicznościach są one odkrywane. W trakcie robót melioracyjnych, przy budowie dróg, przy wykopach pod fundamenty, w czasie orki. O tym, czy informacja o znalezisku dotrze do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków Archeologicznych, sprawującego prawną opiekę nad tymi zabytkami, decyduje poczucie obywatelskiego obowiązku przygodnego odkrywcy i jego świadomość znaczenia dla nauki wykopanych kości czy skorup. Niestety, z tą świadomością bywa różnie. W Kuliku w pow. chełmskim miejscowa ludność przez kilka lat czerpała piasek z cmentarzyska kultury ceramiki malowanej (ok. 5 tys. lat temu); nikt nie powiadomił o tym konserwatora. W Libiszowie w pow. parczewskim niemal całkowicie zdewastowano (melioracja) stanowiska neolityczne i kultury łużyckiej. W Przewodowie (Hrubieszowskie) do budowy drogi brano piasek z wczesnośredniowiecznego cmentarzyska, które w ten sposób zniszczono. Nie należy do rzadkości celowe, w pełni świadome zatajanie przed konserwatorem przypadkowo odkrytych stanowisk.

Jakże się jednak dziwić rolnikom, jeśli nawet instytucje państwowe, prawnie zobowiązane do informowania władz konserwatorskich o znaleziskach archeologicznych, całkowicie ignorują ustawę. Konserwator jest jeden, a Lubelszczyzna rozległa i wprost nabrzmiała relikwiami przeszłości. Nie dysponuje on urzędowym środkiem lokomocji, nie posiada czarnoksięskiej możliwości widzenia na dziesiątki kilometrów. Nie jest w stanie odpowiednio kontrolować tych 150 obiektów archeologicznych już objętych ochroną prawną, a cóż dopiero mówić o kilkudziesięciu rok w rok sygnalizowanych nowych stanowiskach, nasuwających przypuszczenie, że są pod względem naukowym bardzo istotne. W minionym sezonie mgr Andrzej Kutyłowski obok szerokiej akcji ratowniczej również inwentaryzował i weryfikował (Grabowiec — wspólnie z dr Janem Gurbą) obiekty archeologiczne w województwie — aż do momentu, kiedy granicą zespół mu się jego prywatny motocykl; na szczęście stało się to przy końcu sezonu.

Prawda, konserwatorowi pomagają społeczni opiekunowie zabytków, nauczyciele, rolnicy, drożnik — działający przy PTTK, a przez niego zatwierdzani. Hobbyści, ludzie bezinteresownej pasji. Jest ich ponad 20 i słyszałem opinię, że to grupa stosunkowo liczna. Pozwolę sobie na odmienne zdanie, ale nie będę go szerzej uzasadniał. Gdzie indziej tkwi problem: ten skromny zespół wykrusza się, ponieważ ci społecznicy są często szykanowani przez środowisko, w którym żyją i działają, właśnie za dobre spełnianie swych obowiązków. Prywatna ludzka i utylitarny stosunek do wszystkiego mocno ograniczają ich aktywność. Przykład znany z prasy codziennej: nauczycielka z Podlodowa alarmuje konserwatora, że miejscowa straż przystępuje do budowy remizy wewnątrz szesnastowiecznej fortalicji, z bastionami narożnymi — jedynej na planie trójkąta w województwie. Interwencja, wstrzymanie robót, ale zaraz potem strażacy nabierają argumentów w płuca i dalej ze szczebla państwowego na coraz wyższy szczebel ze swoją krzywdą. W efekcie kompromis: zgoda na remizę wewnątrz fortalicji, tyle że w innym miejscu. W efekcie: ciągłe szykanowanie nauczycielki i jej rezygnacja z funkcji społecznego opiekuna zabytków. Załosnym smaczkiem jest w tej sprawie fakt, że fortalicję tę postawili niegdyś chłopi — dla obrony siebie samych!

Zrozumiałe, że współczesność zmienia oblicze Lubelszczyzny, że nowe drogi, domy i systemy melioracyjne są potrzebne i nic nie powstrzyma postępu cywilizacyjnego. Ale jest równie oczywiste, że na pniu dnia dzisiejszego nie wolno przecinać tradycji dziejowej, ponieważ pełni współczesnego życia nie gwarantują wyłącznie eternitowe dachy nad głową i wołowina „J" w żołądku, ale w co najmniej równym stopniu rozwinięta świadomość własnego rodowodu państwowej i narodowej tradycji, wyzwalająca patriotyzm i poczucie więzi społecznej.

Przerwa w realizacji jakiejkolwiek inwestycji kosztuje sporo. To prawda, z którą w codziennej praktyce powinni się jednak chcąc nie chcąc liczyć archeologowie. Pogodzenie tych dwóch racji jest możliwe. Głównie przez reformę organizacyjną pracy instytucji archeologicznych, zmierzającą do przyśpieszenia ich działalności terenowej i rozszerzenia jej zakresu. Wzorem innych województw należy powołać, przynajmniej w kilku miastach, archeologów powiatowych. Zatrudniać ich w muzeach regionalnych. Koniec końców zwiększyć kadrę, co w przypadku Katedry Archeologii Polskiej UMCS byłoby możliwe z chwilą wznowienia rekrutacji na pierwszy rok studiów. Trzeba też zapewnić tej nauce odpowiednie środki materialne.

Archeolodzy polscy, w skali krajowej, nie mogą narzekać na brak pomocy ze strony państwa. Kwoty przeznaczane na badania wykopaliskowe osiągają miliony. Wybitni przedstawiciele polskiej archeologii cenieni są w świecie, niejeden kraj zawdzięcza nam rekonstrukcję pokaźnego fragmentu własnych dziejów. Wydaje się przecież, że poszczególne regiony rodzimej ziemi nie zawsze obdarzano uwagą proporcjonalną do ich bogactwa archeologicznego, odkrytego i orzeczuwanego. Czy rzeczywiście zrobiono wszystko dla ujawnienia tajemnic Lubelszczyzny, być może kolebki Lędziców (Lachów)? Województwo to nie należy do najbogatszych pod względem ekonomicznym, trudno też wymagać od jego gospodarzy cudów galilejskich. Posiada natomiast pokłady surowców archeologicznych, równie cennych dla bytu narodowego, jak węgiel, choć nieporównywalnych z nim w kaloriach. Potrzebni są inwestorzy, niekoniecznie jednak wywodzący się z administracji państwowej. Piękne pole do kolejnego sprawdzenia się w roli socjalistycznego mecenasa ma tutaj przemysł. Precedensy krajowe świadczą, że rzecz jest możliwa. Tarnobrzeska siarka ufundowała stałą ekspozycję archeologiczną w baranowskim zamku i finansuje badania archeologiczne na terenie kombinatu. Huta częstochowska znacznym kosztem wzniosła rezerwat archeologiczny w tym mieście. Huta im. Lenina szczodrą ręką łoży na badania obszaru zakładu i miasta.

Czas niszczy ślady przeszłości, cywilizacja współczesna dzielnie mu sekunduje. Przyjdzie moment, że jedynym świadectwem odległych wieków będą muzealne zabytki i książki. Jeśli zostaną uratowane, jeśli zostaną napisane.

Ireneusz J. Kamiński

Tajemnica kawiarni „U aktorów"

Konrad Bielski

Już od dłuższego czasu koledzy po piórze, jak i poniektórzy redaktorzy namawiają mnie, bym za temat opowiadania wziął któryś z wielkich i ciekawych procesów, w których uczestniczyłem jako obrońca. Jak dotąd, bezskutecznie. Zostawiam ten temat sprawozdawcom sądowym, dziennikarzom; niektórzy z nich czynią to doprawdy znakomicie. Ponadto zakorzeniony głęboko, po tylu latach praktyki, obwiązek tajemnicy zawodowej stanowił również przeszkodę, a przecież bez ujawnienia intymnych zwierzeń i poufnych kulis sprawy takie opowiadanie byłoby martwe i nie budziło należytego zainteresowania. Fantazjować nie wolno. To musi być literatura faktów.

Jednak wreszcie uległem. Tematem poniższej historii jest ciekawy proces, który się odbył w kilka lat po wojnie, lecz korzeniami swymi sięgał głęboko w czasy okupacji. To właśnie, jak również fakt, że wszystko rozgrywało się w środowisku artystycznym, oraz że akcja mocno zahacza o szereg osób powszechnie znanych — też miało wpływ na moją decyzję. Nie bez pewnej dozy chełpliwości muszę dodać, że interesująca tu była również rola obrońcy, który niejednokrotnie musiał pełnić rolę detektywa, jak na kartkach klasycznego „kryminału". No i chęć dania rzetelnego świadectwa, bo choć od tej sprawy upłynęło zaledwie dwadzieścia lat, ciągle krążą koło niej informacje mętne i zgoła nieprawdziwe.

Wszystko, co piszę, jest oparte na sprawdzonych faktach. Ubrałem to tylko w odpowiednią formę literacką. Ciekawy — może sprawdzić, lub uzupełnić swe wiadomości, gdyż akta sprawy (nr Ksn. 345/48) są dostępne i znajdują się w archiwum Sądu Powiatowego w Lublinie.

Całość składać się będzie z dwóch niezależnych od siebie części. Treścią pierwszej: problem i tło — drugiej: proces i rozwiązanie.

To był ów pamiętny rok 1939. Po klęsce wrześniowej mnóstwo ludzi w Polsce znalazło się w całkowitym rozproszeniu, daleko od domu, od swoich bliskich i niejednokrotnie w obcym, a nawet wrogim otoczeniu. Dla wielu powrót był całkowicie odcięty i w perspektywie długie tułactwo i osamotnienie. Inni zdążali po wszystkich drogach kraju szukając tej najkrótszej do domu. Sytuację komplikowało przede wszystkim to, że już okupant zdążył pokazać swoje prawdziwe oblicze, toteż na każdym kroku były utrudnienia i często niebezpieczeństwa zagrażające nawet życiu.

Przez Lublin w te jesienne miesiące przewaliła się fala ludzka w tę i w tamtą stronę. Niektórzy z uchodźców zatrzymali się dłuższy czas w mieście, gdyż nie mieli dokąd i po co wracać. W takiej właśnie sytuacji znalazła się grupa aktorów z wielu teatrów i różnych stron Polski. Pozbawieni warsztatu pracy, a przeważnie i domu, gdyż angażując się do danego teatru likwidowali na ogół uprzednie miejsce zamieszkania. Lecz tak jak ptaki długo krążą dookoła zniszczonego gniazda, tak i ta garstka rozbitków, których zawierucha dziejowa osadziła na lubelskiej mieliźnie, siłą nawyku i instynktu szukała schronienia w gmachu teatralnym. Stał pusty i zimny. Po próbach Jaracza, który wraz z garstką aktorów usiłował wznowić w Lublinie życie teatralne i dał kilka spektakli sztuki „Majster i czeladnik" ze swoją popisową rolą Szaruckiego (epizod niesłychanie ciekawy czeka jeszcze na swego kronikarza) — Niemcy surowo zabronili wszelkiej działalności związanej z teatrem i sceną, lecz jeszcze nie zdążyli zawładnąć całkowicie gmachem. Toteż w niektórych wolnych pomieszczeniach zakwaterowali się bezdomni aktorzy. Urządzili je prymitywnie, niejednokrotnie korzystając w tym celu z rekwizytów teatralnych i tam chwilowo zamieszkali.

Pierwsza zima wojenna była mroźna i ponura. Uzmysłowiliśmy sobie jednak wtedy, że wojna potrwa długo, znacznie dłużej niżeśmy się spodziewali. Trzeba więc sobie ułożyć życie w tak zmienionych warunkach. Hasłem ogólnym było: aby przeżyć, bo w pomyślny koniec nikt nie wątpił. Więc i ci aktorzy przemyśliwali o jakimś zajęciu, o jakimś zarobku. Położenie ich było specjalnie trudne, bo w swoim zawodzie pracować nie mogli, a do wykonywania innych prac byli najmniej przydatni, szczególnie w tak osobliwych czasach. Przy życzliwej pomocy miejscowego społeczeństwa przetrwali jakoś groźną zimę i wraz ze zbliżaniem się wiosny mgliste jeszcze, ale konkretne plany zaczęły się krystalizować. Wtedy właśnie pojawia się na scenie główny bohater tej niecodziennej historii: Jan Mieczysław Orsza-Łukasiewicz.

Łukasiewicz to był jego prawdziwe paszportowe nazwisko. Orsza — pseudonim sceniczny. Z dwojga imion powszechnie używał Mieczysław. Niewielkiego wzrostu, blondyn, przeciętnie przystojny, zgrabny, bardzo ruchliwy. W hierarchii aktorskiej nigdy nie zajmował wybitnego stanowiska, pracował przeważnie w administracji teatralnej. Lubił kobiety i cieszył się ich wzajemnością.

Skoro zrodziła się myśl założenia kawiarni, w której by znaleźli zajęcie i podstawy egzystencji wszyscy bezdomni aktorzy, głównie dzięki pomysłowości, ruchliwości i energii Orszy, w krótkim czasie luźny projekt przybrał konkretne kształty. Znalazł się więc odpowiedni lokal, przy ul. Peowiaków 3 (dziś Pstrowskiego), odpowiednie umeblowanie, wypożyczony fortepian, niezbędne kawiarniane rekwizyty, i nawet skromna kwota na kapitał zakładowy, a co najważniejsze — zezwolenie władz. Tak więc zrodziła się kawiarnia udziałowa, nazwana „U aktorów", która odegrała specjalną rolę w historii okupacyjnej Lublina.

W umowie spółki wobec władz administracyjnych figurowało troje właścicieli: Orsza i jeszcze dwie kobiety. Pozostali aktorzy stanowili personel lokalu, ale mieli takie jak udziałowcy prawa do dochodu. Orsza został kierownikiem całości. Kobiety zajęły się stroną gospodarczą i objęły funkcje kelnerek. Mężczyźni — dwóch poza Orszą na zmianę pełnili role szatniarza i portiera, trzeci przygrywał na fortepianie, gdyż posiadał wykształcenie muzyczne. Był jeszcze jeden osobnik, nie aktor, który nie figurował w liczbie udziałowców, lecz kręcił się wokoło interesu, pociągnięty jego specjalnym charakterem. Chciał się czynnie wkręcić i podobno nawet zainwestował pewną kwotę pieniężną.

Tak więc kawiarnia została uruchomiona przy życzliwym poparciu polskiego społeczeństwa, które pozbawione w większości publicznych lokali zabranych przez okupanta, chętnie szukało cichego kącika, gdzie by się można było napić spokojnie czarnej kawy i czegoś mocniejszego w miłym otoczeniu wśród swoich ludzi. Poplotkować i wymienić między sobą najświeższe wiadomości bez obawy wsypy. Zdawało się wtedy, że właśnie ta kawiarnia spełni oczekiwania. Ale jak w tej znanej ormiańskiej anegdocie: stało się wszystko na odwrót.

* * *

Już pierwsze tygodnie przyniosły wiele przykrych niespodzianek. Lokal otwarto oficjalnie 22 maja 1940 roku. Przedtem małe kółko przyjaciół i znajomych spełniło skromny toast (jeszcze nie bimbrem) za pomyślny rozwój placówki życząc aktorom doczekania jak najrychlej tego czasu, gdy wrócą znów na sceny polskich teatrów.

Lecz już 17 czerwca cały Lublin został objęty ogromną łapanką. Tysiące ludzi, szczególnie młodzieży, zostało zatrzymanych w parku, na ulicach, w publicznych lokalach i wywiezionych w nieznanym kierunku. Był to dzień świąteczny — Boże Ciało — pogoda piękna, wszyscy wylegli na miasto, a więc połów był obfity. Jak się okazało, organizatorem tej „imprezy" był Arbeitsamt. Ludzi porozmieszczano w różnych punktach zbornych, tam posegregowano, część puszczono, a część wywieziono na przymusowe roboty do Rzeszy.

Ponieważ był to w Lublinie pierwszy na tak wielką skalę akt gwałtu i przemocy, wszystkich ogarnęło zrozumiałe przerażenie. Nikt jednak nie wiedział, że to tylko zasłona dymna, gdyż skoro ludzie się nieco uspokoili, następnego już tygodnia, 24 czerwca w niedzielę, w godzinach popołudniowych miastem wstrząsnęła wieść o nowej łapance, tym razem przygotowanej przez gestapo. Zabierano wyłącznie mężczyzn nie tylko z ulicy i lokali, lecz nawet wyciągano z domów prywatnych. Wszystkich zawieziono na Zamek, gdzie podówczas mieściło się więzienie. Na wielkim podwórzu zamkowym spędzono zatrzymanych i tam przy akompaniamencie przekleństw, razów i obelg, tak dobrze nam później wszystkim znanych akcesorii niemieckich poczynań, rozpoczęła się segregacja.

Dziś wiemy, że działo się to wszystko w ramach słynnej akcji A.B., obejmującej całą Polskę i wymierzonej przeciwko naszej inteligencji, lecz już po niedługim czasie tam, na miejscu, bez trudu można się było zorientować, kogo szukają i kogo przeznaczają na ofiarę. Wystarczyło rzucić okiem na niewielką na razie grupkę ludzi, już wyselekcjonowanych i umieszczonych przy murze pod specjalną strażą.

Widziałem to wszystko na własne oczy, gdyż zostałem wraz z kilkoma przyjaciółmi zatrzymany i stanęliśmy wobec problemu żyć, albo nie żyć, bowiem z tych, co zostali odesłani pod ścianę, nikt żywy do domu nie wrócił. Na szczęście udało nam się wydostać. Ale to już zupełnie inna historia.

Otóż tego koszmarnego dnia miały miejsce dwa drobne fakty, pozornie bez znaczenia, ale które później zaważyły na losach niedawno otwartej kawiarni. Mianowicie jeden z aktorów udziałowców, człowiek w średnim wieku, ale schorowany i wyglądający na dużo starszego, został schwytany na ulicy i oczywiście doprowadzony na Zamek.

Aktor ten doskonale władał niemieckim. Tam przypadkiem zwrócił uwagę osobnika wysokiego, bardzo przystojnego, w cywilnym ubraniu, bez żadnych dystynkcji, ale wobec którego liczni funkcjonariusze gestapo zachowywali się ze specjalnym szacunkiem. Niemiec skorzystał na razie z usług naszego aktora jako tłumacza, później łaskawie wdał się z nim w pogawędkę i w rezultacie kazał go zwolnić do domu. Uszczęśliwiony aktor wiedział przecież z jakich się wydostaje opresji, opowiedział swemu dobroczyńcy o nowo powstałej kawiarni i brawurując dalej zaprosił go tamże na kieliszek dobrego napitku. Niemiec zapisał adres, poklepał go po ramieniu i na razie na tym się skończyło. Później wszyscy o tym zapomnieli, bo były ważniejsze rzeczy na głowie.

Proszę sobie wyobrazić zdumienie całego personelu kawiarni „U aktorów", gdy pewnego dnia, w jakiś tydzień po wyżej opisanych zdarzeniach, wkroczył na salę ów lekkomyślnie zaproszony Niemiec w towarzystwie dwóch kolegów. Byli po cywilnemu, lecz niebawem się przedstawili. Gościem okazał się Alojzy Fischoter hauptsturmführer — kierownik IV oddziału SD, w którego kompetencji były wszystkie sprawy polityczne Polaków. Dwaj towarzysze — to jego najbliżsi współpracownicy.

Kierownik lokalu, Orsza, zakrzątnął się co żywo nad godnym przyjęciem nieoczekiwanych, lecz jakże niebezpiecznych, gości, wydobył z zakamarków schowane co najlepsze trunki, zaparzono prawdziwą kawę, która wówczas była rarytasem. Orsza jako tako mówił po niemiecku, pomagali mu niektórzy aktorzy i aktorki, członkowie personelu i tak przez kilka godzin zabawiali gości gdyż wizyta przeciągała się nadmiernie. Przyjęcie zadowoliło niecodziennych klientów, a gospodarz najwidoczniej ich oczarował, gdyż za kilka dni zjawili się powtórnie, a potem stali się stałymi, codziennymi gośćmi. Zarezerwowano dla nich specjalny stolik. Tak się rozpoczęła oryginalna symbioza lokalu „Pod zegarem", miejscem urzędowania gestapo, z kawiarnią „U aktorów".

Drugie zdarzenie, o którym wspomniałem uprzednio, było mniej ważne, ale znamienne. Owego dnia łapanki w samej kawiarni zabrano parę osób. Lokal był prawie pusty, bo jeszcze nie zareklamowany, a i godzina była nieodpowiednia. Te osoby, które Niemcy zastali i zagarnęli, to jeden z aktorów udziałowców, dwóch przygodnych znajomych i ten osobnik, który zamierzał przystąpić do spółki i podobno jakąś kwotę już wpłacił.

Orsza z całą energią zaczął się starać o zwolnienie tych mężczyzn. Było to jego ambicją, żeby dokazać tego, że właśnie jedyni, którzy powrócili i uniknęli pewnej śmierci, to właśnie klienci z jego lokalu. Postanowił wykorzystać niedawno uzyskane kontakty. I rzeczywiście po pewnym czasie, ściślej po kilku miesiącach, trzech z tych ludzi zostało zwolnionych. Pozostał w obozie tylko ten niedoszły wspólnik i, oczywiście, tam zginął.

Ile w tym było starań i zasługi Orszy, nie wiem. Sam się nie chwalił. Po mieście jednak poszła gadka, że to on spowodował powrót do domu tych ludzi, oprócz tego, z którym by się musiał rozliczyć. Wersja ta krążyła długo i uporczywie, aczkolwiek nikt nie wiedział na pewno, czy ten osobnik coś wpłacił Orszy i choć nawet rodzina zgładzonego nie rościła sobie do nikogo żadnych pretensji ani moralnych ani materialnych. I co ciekawe, że źródłem tej plotki była właśnie kawiarnia „U aktorów".

* * *

A tymczasem niedawno otwarty lokal cieszył się coraz większym powodzeniem. W godzinach wieczornych było tam zawsze rojno i gwarno. Publiczność — bardzo różnorodna, przeważnie jednak inteligencja; rdzenni lublinianie i przybysze z różnych stron Polski. Osoby ogólnie znane i trudne do zdefiniowania indywidua. Dużo kobiet, przeważnie przystojnych i dobrze ubranych.

Ludzi pociągał oryginalny charakter kawiarni — w całym Lublinie nie było podobnej — prawdziwa, dobrze zaparzona kawa, mocne trunki i aktorki spełniające funkcje kelnerek, wśród których było kilka bardzo urodziwych.

No i ten stolik gestapowców — to też była nie byle jaka atrakcja. Początkowo boczono się, bano się ich i omijano, lecz stopniowo widok ten przestał trwożyć i razić, stał się niejako częścią składową lokalu i jakimś nieodzownym rekwizytem.

Przecież każdy musiał sobie zdawać sprawę, że ci eleganccy panowie, popijający smacznie czarną kawę i uśmiechający się do dam, jeszcze przed kilkoma godzinami bili i torturowali naszych ludzi, że niejeden z nich, idąc do tej kawiarni, musiał przedtem umyć sobie ręce splamione krwią ostatniej ofiary. Ale tutaj byli grzeczni i dobrze wychowani, jak oswojone drapieżne zwierzęta. Niektórzy w uprzytamnianiu sobie tego faktu znajdowali jakąś perwersyjną przyjemność, inni zaś rozumowali, że lokal stale odwiedzany przez śmietankę gestapo nie będzie narażony na nieoczekiwane najście policji lub żandarmerii, a tym samym na aresztowania i łapanki. I ci zdaje się mieli rację, bo nie słyszano, aby tam się coś podobnego zdarzyło, co gdzie indziej było na porządku dziennym.

Pora i nam zapoznać się bliżej ze stałymi bywalcami zarezerwowanego specjalnie stolika. Kim byli ci panowie?

Najciekawszą postacią i najważniejszą był niewątpliwie Fischoter. Bardzo przystojny mężczyzna, elegancki, o nienagannych manierach. Zajmował bardzo eksponowane stanowisko. Był szefem działu politycznego gestapo. I faktycznie w jego rękach, lub pod jego bezpośrednim nadzorem, znajdowały się wszystkie najważniejsze sprawy. Pozycję miał niezależną i mówiono, że więcej znaczył i mógł, niż jego bezpośredni zwierzchnik.

Zastępcą i prawą ręką był obersturmführer Willy Stöffel. Niczym specjalnym się nie wyróżniał, chyba tym, że miał jedno szklane oko.

Na ten temat krążyła po Polsce następująca anegdota: oficer gestapo podczas jakiejś obławy schwytał ukrywającego się Żyda. Oczywiście zamierzał go natychmiast zastrzelić. Żyd błagał o darowanie życia. Niemiec w dobrym humorze, bo solidnie podpity, powiada: „Dobrze. Daruję ci życie pod jednym warunkiem. Mam jedno sztuczne oko, arcydzieło Zeissa, niczym się nie różni od prawdziwego, jak poznasz które, to wygrałeś". Żyd patrzy ostrożnie i badawczo i mówi: — lewe. Gestapowiec zdumiony: „Trafiłeś, ale musisz powiedzieć w jaki sposób do tego doszedłeś". Na to Żyd po chwili nieśmiało: „Ono takie ludzkie".

Anegdota ta, bardzo w swoim czasie popularna i odzwierciedlająca ponurą rzeczywistość czasów pogardy, mogła pasować jak ulał do Stöffla, tym bardziej, że on jeden z wielkiej zgrai katów i oprawców miał szklane oko.

Dwóch jeszcze wyższych oficerów SS siadywało przy stoliku: Stantzig, w którego referacie znajdowały się wszelkie sprawy dotyczące sabotażu, i Bittner, jego zastępca. Piątym bywalcem był Max Müller, zwykły szeregowiec SD — był on jednak zaufanym Fischotera, jego ochroną i licho wie, jakie jeszcze spełniał funkcje w tej całej ferajnie.

Dookoła tych gości krążył, dwoił się i troił gospodarz lokalu. To się przysiadał za łaskawym zezwoleniem do ich stolika, to ich zabawiał opowiadaniem różnych dowcipów i anegdotek, to wydobywał i nalewał co najprzedniejsze likwory. Panowie łaskawie się uśmiechali, a licznie zgromadzona publiczność spoglądała na to widowisko, jedni z zaciekawieniem, inni ze zgroszeniem, a jeszcze inni z obrzydzeniem.

Jaka była przyczyna, że kawiarnia „U aktorów" znalazła takie uznanie w oczach elity gestapo i dlaczego tam właśnie tak chętnie i często przebywali — trudno na to pytanie znaleźć odpowiedź. W Lublinie, jak i w innych miastach okupowanej Polski, wszystkie lepsze lokale kawiarniane i restauracyjne były przeznaczone tylko dla Niemców — Polakom wstęp był surowo wzbroniony. Natomiast w małych lokalikach, a często nawet w mieszkaniach prywatnych, powstawały polskie zakłady gastronomiczne, do których z kolei Niemcom nie wolno było wkraczać pod groźbą surowych sankcji karnych. Ponieważ w tych polskich knajpkach jedzenie było wyśmienite, a w niemieckich obrzydliwe, sztampowe — niejeden Niemiec po cywilnemu ukradkiem wpadał do tych zakazanych polskich szynków, lecz zawsze pod wielkim strachem. Na jawne i ostentacyjne bywanie w polskim zakładzie mogli sobie pozwolić tylko tacy dostojnicy, którzy stali ponad tymi zakazami i nakazami. Ale chyba nie ta kawa i nie te trunki ich pociągały, dla nich były to rzeczy łatwe i wszędzie dostępne. Chyba nie towarzystwo Orszy i tych kilku ładniejszych aktorek. Oni odpowiadali, skoro ich ośmielono się o to zapytać, że właśnie odrębność środowiska i otoczenia pociąga ich, pozwala odpocząć i zapomnieć o codziennej trudnej pracy. Jaka to była praca, dobrze wiemy. Odpowiedź zdawkowa i banalna — ale może prawdziwa.

Z biegiem czasu wizyty te przeciągały się do późnej nocy, grubo poza godzinę policyjną. Zamykano wtedy lokal, pozostawał Orsza i kilku jeszcze wybranych i pito już na umór. Niekiedy przenoszono się do prywatnego mieszkania Orszy, które znajdowało się po przeciwnej stronie ulicy.

Oczywiście, całe miasto wiedziało o wszystkim, o tym, co było, i o tym, czego nie było i czego się tylko domyślano. Wieści krążyły rozliczne, lecz wszystkie prawie z wrogim nastawieniem do kawiarni, a przede wszystkim jej kierownika. Ogólna fama głosiła, że jest na służbie niemieckiej i ściśle współpracuje z gestapo.

Sytuację skomplikował jeszcze bardziej ostry zatarg pomiędzy kierownikiem kawiarni, a resztą personelu. Wpływy pieniężne przeważnie były dość duże, ale dola, która przypadała na poszczególnych udziałowców, wydawała im się zbyt mała i nie znajdująca się we właściwej proporcji do dochodów. Oczywiście interes ten żadnych rachunków i ksiąg nie prowadził. Koszty i zyski obliczano na oko — wszystko polegało na wzajemnym zaufaniu. Skoro zaś ono zaczęło niedopisywać, musiały powstać spory. Ogromne wydatki na przyjęcia gestapowców i obfite z nimi libacje kłuły w oczy i budziły wątpliwość, czy te wydatki są aż tak konieczne. Ze sprzeciwem wystąpili mężczyźni — kobiety wszystkie były po stronie Orszy — zażądali rozliczenia i ograniczenia olbrzymich sum reprezentacyjnych i podniesienia wypłat. Zagrozili nawet strajkiem.

W tych osobliwych czasach i warunkach nikt się do sądu nie zwracał o rozstrzygnięcie sprawy. Wszystkie kwestie sporne starano się załatwić polubownie. Tak się stało i tym razem. Zwrócono się do jednego z postronnych aktorów, a ostatecznie do adwokata T., wybitnego prawnika, cieszącego się ogólnym szacunkiem i uznaniem, z prośbą, by rozpoczął pertraktacje i rozstrzygnął po czyjej stronie jest słuszność.

Jednak już w trakcie pierwszych rozmów sprawa utknęła na martwym punkcie z powodu zdecydowanego i nieustępliwego stanowiska Orszy, który kategorycznie oświadczył, że wie, co robi, nie zmieni swego postępowania i nie ograniczy swoich funduszów dyspozycyjnych i że radzi po dobremu zaniechać wszelkiej rozróbki, aby go nie zmusić do zastosowania takich środków, które na pewno nie wyjdą na dobre zarówno firmie jak i jej pracownikom. Podobno nawet dał do zrozumienia, że skorzysta z pomocy „tych panów".

Po takim dictum acerbum wszystko się naturalnie uciszyło, ale wieść gruchnęła znów na miasto i narobiła dużo złej krwi. Już nie tylko mówiono źle o lokalu i jego kierowniku, ale przestrzegano przed nim i zaczęto nawet patrzeć podejrzliwie na ludzi, którzy tam uczęszczali. Mimo tego napływ gości do kawiarni wcale się nie zmniejszył i publika waliła, jak to się mówi, drzwiami i oknami.

Dokończenie na str. 10

POLSKIE WIGILIE

Za drutami obozu

Dokończenie ze str. 1

wzajem życzenia dzieląc się chlebem zamiast opłatkiem, bardziej zżyci ściskali się i całowali serdecznie. Potem drżącym ze wzruszenia głosem zacząłem recytować:

...I każdy z nas w skrytości marzy,
przeżywa świętej nocy czar:
oto jest pośród drogich twarzy
i słyszy znów dziecięcy gwar

Oto wesoło drzewko płonie,
blask skrzy się kolorowych świec,
ktoś nam serdecznie ściska dłonie
chcąc przy opłatku słowo rzec.

Oto wieczerza parą dymi,
Oto kolędy słodki ton,
jesteśmy w domu, między swymi
i na pasterkę wzywa dzwon.

Niestety, brak nas przy wieczerzy
i puste krzesło z tęsknot drwi.
A jednak — każdy z nas w to wierzy
otworzą się wolności drzwi.

Teraz otarłszy łzę ukradkiem
baczmy, co niesie jutra czas,
dzieląc się sercem jak opłatkiem
z tymi, co tam czekają nas.

Niejednemu ze słuchaczy łzy kapały z oczu. A potem kolędy. Dobrze znane słowa i melodie unosiły każdego z nas w ojczyste strony do tych, co w tej chwili tak samo myśleli o nas. Gdy rozległy się potężne tony najpiękniejszej z kolęd „Bóg się rodzi, moc truchleje", zdawało nam się istotnie, że na dźwięki tej pieśni truchleje wszelaka zła moc nieprzyjaciela i Bóg naprawdę się rodzi w sercu odradzającego się świata.

W rok później otrzaskani już z życiem w niewoli, nie nowicjusze jak wtedy, ale stare wilki obozowe, przygotowaliśmy bardziej przemyślany i bogatszy program świąteczny.

A więc, ma się rozumieć, chór jak przed rokiem, kolędy, ale jeszcze lepiej i starannie przygotowane i bardziej urozmaicone. Potem „słuchowisko", ułożone przez specjalną trzyosobową komisję, w skład której i ja wchodziłem. Treść scenariusza: wieczór wigilijny w obozie, rozmowy więźniów na aktualne i bliskie nam tematy, w to wszystko wplecione kolędy, gadki ludowe — całość przeniknięta wiarą w przetrwanie wszelkich trudności i powrót do wyzwolonej Polski. I znowu uroczysty finał krzepiącej pieśni, niemal hymnu — „Bóg się rodzi, moc truchleje". Właśnie ta znienawidzona, okrutna moc teutońska.

Ale nasz izbowy, zacny kolega Michał Łaciak, przedwojenny podoficer wojsk polskich, przygotował nam niespodziankę. Z jakiegoś spreparowanego z tektury pseudogłośnika odezwał się jego poważny i serdeczny głos. Zapowiedział, że przysłano na jego ręce świąteczne życzenia dla więźniów od ich rodzin. I odczytywał nam te zmyślone przez siebie krótkie pozdrowienia wymieniając nazwiska adresatów, wśród których znaleźli się przede wszystkim koledzy pozbawieni na razie listów od najbliższych. Gdzieś pozbierał różne informacje dotyczące ich życia domowego, wiele szczegółów związanych z ich pracą. A mówił tak serdecznie, tyle subtelności i ciepła było w tym szorstkim na pozór polskim podoficerze, w dziwny sposób kreowanym przez władze obozowe na naszego sublokatora.

Recytowałem i ja swój zeszłoroczny wiersz. Nie tylko w naszym bloku, ale i w jednym z sąsiednich, oczywiście też polskim. Miałem jakąś nieodpartą pewność, że „otworzą się wolności drzwi". Spełniło się to przynajmniej w stosunku do mojej osoby: w półtora miesiąca później wyszedłem za druty obozu.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Lwów - Joszkar Oła - Sielce

Eugeniusz Wysocki

Kiedy się przeżyło pół wieku, trudno mówić o jednej, najbardziej pamiętnej wigilii. Było ich kilka, tych wojennych — jak zresztą pewnie dla większości moich rówieśników. Po ukończeniu drugiego roku inżynierii lądowej na Politechnice Lwowskiej, lato 1939 r. spędzałem na obozie lotniczym Legii Akademickiej (formacji w rodzaju dzisiejszego Studium Wojskowego). Miałem sto planów na przyszłość, wszystkie przekreślił wrzesień. Wybuch wojny zastał mnie u rodziców w województwie tarnopolskim, w Borszczowie, małym miasteczku powiatowym leżącym w widłach Zbrucza i Dniestru. Gdy na tereny te wkroczyła Armia Radziecka, zacząłem się rozglądać za jakąś pracą, bo uczelnia nie była czynna. Otwarto natomiast szkoły niższego stopnia. Brakowało nauczycieli. We Lwowie organizowano trzymiesięczny kurs pedagogiczny. Zgłosiłem się i na Gwiazdkę uczyłem już w szkole podstawowej w Gródku Jagiellońskim. Uczyłem wszystkich przedmiotów, łącznie z językiem rosyjskim, którego sam wtedy jeszcze dobrze nie znałem. Jakiż przeskok od mych zamiarów życiowych i tego wszystkiego, co mnie otaczało jeszcze w sierpniu! Oprócz kolęd śpiewało się wtedy we Lwowie przebój sezonu: „A mnie tak szkoda lata i letnich żal mi wspomnień".

W wigilię 1941 r. przebywałem w mieście Arzamas, zagubionym gdzieś między Moskwą a Gorkim — w nowgorodzkiej guberni, jak określali tamtejsi starcy. Miałem na sobie mundur czerwonoarmisty. Zmobilizowano mnie w maju, tuż przed napaścią Niemiec na ZSRR. Służyłem w plutonie ciężkich karabinów maszynowych, składającym się z samych prawie Polaków. Nastroje były bardzo złe. Znaleźliśmy się daleko od rodzinnych stron, linia frontu oddzielała nas od najbliższych. Nie miałem żadnych wiadomości z domu. Nasi radzieccy koledzy chodzili ponurzy i przygnębieni. Impetem niemieckiej ofensywy byli zaskoczeni nie mniej niż my w roku 1939. W tej sytuacji nikt nie myślał o świętowaniu.

Barszcz z uszkami i kutię jadłem dopiero na wigilię w roku 1942, w Joszkar Oła, w stolicy Maryjskiej Autonomicznej Republiki Radzieckiej, mieście wielkości Chełma czy Puław, leżącym między Gorkim a Uralem. Byłem nadal w tym samym mundurze czerwonoarmisty, lecz przecież nie walczyłem. W Arzamasie bowiem jeszcze powiedziano nam, że będziemy przeniesieni do oddziałów polskich dowodzonych przez generała Andersa. Kiedy jednak oddziały te wyjechały do Iranu, my pozostaliśmy w Armii Czerwonej, lecz odczuliśmy, że wyraźnie zmniejszyło się zaufanie strony radzieckiej do Polaków. Utworzono z nas osobne jednostki budowlane, dowodzone przez oficerów radzieckich. Najpierw budowaliśmy lotnisko polowe w Sierpuchowie pod Tułą, a potem zakłady chemiczne w Joszkar Oła.

Zimy maryjskie są bardzo ostre, chłód przenikał przez szynele i podłożone pod nie kufajki, nogi drętwiały w walonkach. Jeden kontrolował co chwila wzrokiem drugiego, czy mu nie odmarzają policzki lub nos. Tamtejsi mężczyźni byli na froncie, z nami pracowały kobiety i młodzież. Siły roboczej brakowało, więc Polaków obdarzano odpowiedzialnymi zadaniami, często przewyższającymi nasze kwalifikacje. Trzeba było mocno ruszać nie tylko rękami, ale i głową, żeby czegoś nie uszkodzić i nie mieć dodatkowych kłopotów. Panowało przygnębienie. Co będzie z nami?

W wigilię udaliśmy się w kilku do Bolesława Drobnera, który mieszkał wtedy w Joszkar Oła. Pocieszył nas wiadomością, że grupa patriotów prowadzi pertraktacje z rządem radzieckim o sformowanie nowych jednostek polskich w ZSRR. Uradowani, postanowiliśmy urządzić huczną wigilię. Ja mieszkałem z trzema innymi na kwaterze w małym domku pewnej rodziny, jak wszyscy Maryjczycy prawie nie znającej języka rosyjskiego. Mimo to dogadaliśmy się, że porżniemy i porąbiemy gospodarzom całą sągiew drewna, a za to dostaniemy żywności na sporządzenie sobie kilku tradycyjnych potraw. Tak też się stało. Choinki zaś rosły za oknem.

Po ostrej zimie maryjskiej, lato 1943 r. spędziłem w upalnym Kazachstanie, aż za Karagandą, gdzie dwa bataliony Polaków budowały fabrykę. A we wrześniu załadowano nas w wagony towarowe i po mniesięcznej, powolnej podróży znalazłem się w obozie w Sielcach — na kilka dni przed bitwą pod Lenino. Służyłem w baterii zwiadu I Brygady Artylerii im. gen. J. Bema. Ja byłem kapralem i zastępcą dowódcy plutonu. Wigilię urządzono nam w ziemiankach, w których mieszkaliśmy, zbito z desek stoły, dano nam na kolację śledzie z ziemniakami, kaszę z prosa i po setce wódki. Życzyliśmy sobie powrotu do domu; wygłosiłem okolicznościowe przemówienie. Pamiętam, że kilku się nawet popłakało. Dopiero w Sielcach, gdzie mieliśmy radio i prasę, dowiedzieliśmy się o sytuacji na frontach całego świata oraz o zbrodniach niemieckich na terenach okupowanych. Nikt nie miał wiadomości z domu, więc te wieści niepokoiły nas jeszcze bardziej, mimo że byliśmy już pewni zwycięstwa.

Wigilię 1944 r. spędzałem w wolnym Chełmie, gdzie promowano mnie na podporucznika (kurs oficerów artylerii odbyłem w Kostromie, egzaminy zdawałem w Riazaniu). Miałem już listy z domu i wiedziałem, że Hitler lada dzień skręci kark, a ja wrócę do przerwanych studiów. To była chyba moja najradośniejsza gwiazdka.

W roku 1945 w stopniu porucznika zdemobilizowałem się i z lwowskim indeksem w kieszeni pojechałem do Warszawy. Przyjęto mnie na III rok Politechniki. Warszawa leżała w gruzach, budynek uczelni stał, ale był zdewastowany, nie miałem gdzie zamieszkać i raz-dwa skończyły mi się pieniądze otrzymane jako odprawa z wojska. Cywilem byłem tylko 3 dni i potem sam zgłosiłem się do Departamentu Kadr MON z prośbą o przyjęcie mnie w szeregi. Od tamtej pory, bez przerwy, służę w Lublinie.

Z rodzicami i siostrą widziałem się po raz pierwszy po latach w roku 1945. Brata Bolesława nie zobaczyłem już nigdy. Służył w 49 pułku strzelców karpackich i w roku 1944 zaginął bez wieści.

Tropem ludzi majora Hubala

Pamiętna noc

Mirosław Derecki

Pod koniec 1939 r. do lasów spalskich na Kielecczyźnie przybywa Oddział Wydzielony Wojska Polskiego* pod dowództwem majora Dobrzańskiego („Hubala"), ostatnia umundurowana „jednostka" wojskowa, która nie złożyła broni. Podczas licznych potyczek z Niemcami oddział stopniał do kilkunastu żołnierzy. Biwakują po lasach. W grudniu major Hubal wyjeżdża do Warszawy, aby nawiązać kontakty z władzami konspiracyjnymi. Po jego powrocie, 24 grudnia, oddział zbiera się w leśniczówce Bielawy w lasach studzieńskich niedaleko Opoczna.

Ej, jaka radość musiała ich wtedy rozpierać! Major wracał z Warszawy i z Kielc z dobrymi wieściami, kończył się okres poniewierki. Nie będą już musieli tułać się po dzikich ostępach lasów spalskich, a wieczorami zasiądą w ciepłej wiejskiej izbie zamiast na śniegu, przy roznieconym na jakiejś polance ognisku. Od chwili, gdy opuścili wygodną kwaterę pod Radoszycami w powiecie koneckim, wciąż musieli wymykać się Niemcom, depczącym im po piętach. I choć powoli dołączali się nowi ochotnicy, choć widzieli wielki zapał wśród tych nowych ludzi — taki Tadzio Madej, zwany Tadkiem Lotnikiem, krążył przez cztery doby po lasach spalskich nim odnalazł oddział leżący biwakiem w gęstwinie — dręczyła ich niepewność... Do spodziewanej wiosennej ofensywy francuskiej jeszcze kilka miesięcy. Czy zdołają przetrwać? Czy władze konspiracyjne zgodzą się, aby oddział nadal egzystował i otwarcie walczył z Niemcami? Czy każą im po tylu trudach zrzucić mundur?

Ale teraz wszystko wydawało się być na dobrej drodze. Major, wyjechawszy w pożyczonym od leśniczego Eugeniusza Wróblewskiego z Dęby ubraniu i pod nazwiskiem Chrząszczewski, dotarł do Komendanta Głównego Służby Zwycięstwa Polski (potem ZWZ) gen. bryg. Michała Karaszewicz-Tokarzewskiego, który istnienie oddziału zaakceptował, nadał awanse i przyrzekł pomoc. Generał oświadczył, że ich wojsko „przyda się na wiosnę", więcej: zaproponował majorowi objęcie funkcji komendanta okręgu SZP w Kielcach, na co zresztą ten nie chciał się zgodzić, bo to by oznaczało rozstanie się z oddziałem. Ostatecznie stanęło na tym, że zostanie zastępcą komendanta okręgu, dowodząc jednocześnie swoimi ludźmi. Więc major pojechał do Kielc i przekazał tamtejszym władzom zorganizowaną przez siebie placówkę konspiracyjną w Radoszycach. Do pełnego porozumienia jednak wówczas nie doszło. Po dwudziestu kilku latach porucznik „Sęp" **, Marek Szymański, jeden z Hubalczyków, napisał m. in. na łamach „WTK": „Tak więc okręg kielecki nie przyjął koncepcji Hubala, aby z oddziału stworzyć zbrojne ramię konspiracji". Od tej chwili pomiędzy Hubalem a Kielcami miał z biegiem czasu narastać coraz większy konflikt.

Ale o tych ostatnich sprawach żołnierze nie wiedzieli. Wiedzieli natomiast, że major wraca z dobrymi wieściami z Warszawy i że wszyscy spotkają się w leśniczówce na Bielawach, gdzie odbędzie się pierwsza w kraju wojenna i wojskowa wigilia.

* * *

Odwiedziłem leśniczówkę Bielawy. Pojechałem tam wraz z przewodniczącym Prezydium GRN w Poświętnem, Marianem Matuszczakiem, bratem Józefa Matuszczaka, który przed laty opuścił pewnego dnia rodzinną wieś i w wykombinowanym gdzieś mundurze, z własną bronią, zgłosił się do oddziału Hubala. Z Opoczna pojechaliśmy na północ w kierunku Inowłodza, potem w Giełzowie skręciliśmy w gęsty, wysokopienny, sosnowy las. W głąb wiodła nas szeroka leśna droga, obramowana dwoma szeregami pożółkłych w listopadowych przymrozkach brzóz.

Leśniczówka Bielawy wychynęła nagle z lasu Borowiny. Na rozległej polanie ustawione w czworobok drewniane stodoły i magazyny na paszę dla zwierząt leśnych. Wszystko otoczone ogrodzeniem z drewnianych żerdzi. W bramie siedział podpalany pies myśliwski. Sama leśniczówka, wypełniająca jeden z boków prostokąta, to długi, murowany budynek, trochę przypominający barak. Stare mury zachowały się w doskonałym stanie. Zniszczenia wojenne jakoś omijały leśniczówkę.

Za carskich czasów była to owczarnia, należąca do klasztoru filipinów w Poświętnem. Potem car odebrał klasztorowi rozległe tereny, a w dawnej owczarni ustanowił siedzibę łowczego. Tutaj też stała sotnia kozaków. Jeszcze dzisiaj w pobliżu leśniczówki widać obszerny, zarosły trawą, okrągły plac dawnej ujeżdżalni. Wokoło mieściły się stajnie i kozackie kwatery. Sam łowczy mieszkał po pańsku. Z tamtego okresu pozostały resztki wodociągu.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Bielawy stały się reprezentacyjną leśniczówką, punktem wypadowym na polowania, tutaj nierzadko przyjeżdżał prezydent Mościcki, i tutaj, w niewielkiej salce o pięknym drewnianym, belkowanym stropie i z kominkiem pod jedną ze ścian, odbywały się wówczas eleganckie myśliwskie wieczerze.

Pierwsza wigilijna wieczerza okupacyjna miała zgromadzić oficerów i garstkę inteligencji z okolicy, żołnierzy, chłopów i robotników, zwykłych gajowych i leśniczych.

* * *

W Polsce, gdzie nie stąpnąć — legenda. Na Bielawach ta prawdziwa, o Hubalu, rozwinęła się jeszcze w drugą, wymyśloną przez okolicznych ludzi. Opowiadał mi Stanisław Chmiel, obecny leśniczy, historię o ukrytych jakoby w jednym z mieszkań dokumentach oddziału Hubala. Stary robotnik leśny, Karol Jura (zapewne kuzyn słynnego Jury od Hubalczyków), wskazywał nawet Chmielowi dokładne miejsce, w pokoju obok pieca, gdzie pod podłogą powinny znajdować się historyczne papiery. Zerwali podłogę, ale domniemanej skrytki nie było. W niczym to jednak nie przekonywało miejscowej ludności. Legenda powstała, więc musi istnieć nadal. Toteż musiała się narodzić następna: że po likwidacji oddziału przyszedł na Bielawy jeden z jego żołnierzy i pokryjomu dokumenty zabrał. Aby dowiedzieć się jak było naprawdę, musiałem pojechać aż do Gdańska, ale o tym później.

* * *

No i była wigilia Hubalczyków. Oddział ściągnął tego dnia z lasów, z dalekich podróży wrócił major. Fantazja pisarska podsunęła Wańkowiczowi opis tej wieczerzy jako wielkiej, roziskrzonej, narodowej fety, na którą spoglądały ze ścian portrety prezydenta Mościckiego, marszałków Piłsudskiego i Śmigłego-Rydza, a pod ścianami przewalał się tłum eleganckich oficerów, pań w wieczorowych sukniach i panów w ciemnych tużurkach. Może zresztą tak właśnie odbierali tę uroczystość młodzi chłopcy w mundurach, których rozpierało szczęście, że gdy niedaleko, w Spale, obchodzi wigilię hitlerowski generał Blaskowitz ze swym sztabem, tutaj, w kwaterze wojska polskiego, bez strachu świętuje polska niepodległość i niepokorność? Piękny, ale mało prawdopodobny jest ten obraz Wańkowicza.

Po latach Marek Szymański, który wówczas po kilku „głębszych" zameldował buńczucznie, że wyjeżdża natychmiast, aby zdobyć majorowi Opoczno, opisuje dzień 24 grudnia 1939 r. już tylko w sposób krótki i rzeczowy („WTK", 1966 r.): *W wigilię wrócił major z Kielc i tego dnia wieczorem oczekiwał nas w leśniczówce Bielawy. W dawnej świetlicy prezydenta Mościckiego odbyła się uroczysta wieczerza. Major podzielił się z nami wiadomościami z Warszawy i wręczył awanse na podporucznika Bemowi a na wachmistrzów — Alickiemu i Rodziewiczowi. Rozdano podarki gwiazdkowe. Do stołu zasiedli razem z nami przedstawiciele społeczeństwa kieleckiego i opoczyńskiego oraz tutejsi gajowi.* Znowu niepełna relacja. Sucha, reporterska, albo — jak kto woli — żołnierska. Że niby po co rozczulać się nad dawno przebrzmiałymi historiami? Ale kiedy odwiedziłem Szymańskiego w Warszawie, w redakcji „Gazety Handlowej", gdzie pracuje jako dziennikarz, relacja zaczęła nabierać kolorów, rozbudowywać się.

Na wigilii musiało być wówczas około trzydziestu osób. Z tego przynajmniej dwadzieścia to członkowie oddziału. Na ścianie flaga polska. Były stoły ustawione w podkowę, a na nich w brąd jedzenia, papierosów, no i nie obeszło się bez kilku litrów spirytusu. W części „oficjalnej" major wygłosił krótką, żołnierską mowę na temat niewoli i okupacji. Zresztą nie lubił przemówień i w całej historii oddziału tylko raz jeszcze, wcześniej, 11 listopada, powiedział kilka okolicznościowych słów na temat niepodległości. Teraz po wstępie poinformował zebranych o rozmowie z gen. Tokarzewskim i wręczył awanse Alickiemu, Bemowi i Rodziewiczowi. Wigilia trwała nie więcej niż trzy godziny. Potem goście rozjechali się do domów, a wojsko zaczęło pić po wojskowemu. Na koniec wyniesiono stoły, na podłodze rozścielono słomę i wojsko poszło spać. Tak, z szumem alkoholu w głowie, ale przecież także z nadzieją na lepsze czasy i radością, że są na coś potrzebni, że są „oficjalni". No bo nawet jeśli „przedstawiciele społeczeństwa" przyjechali bez lęku biesiadować razem z nimi...

* Bogdan Hillebrandt w książce „Partyzantka na Kielecczyźnie 1939—1945" podaje nazwę — Oddział Wydzielony Kawalerii Wojsk Polskich.

** Bogdan Hillebrandt op. cit. uparcie nazywa „Sępa" — „Sękiem" — przyp. M. D.

Kamena str. 8

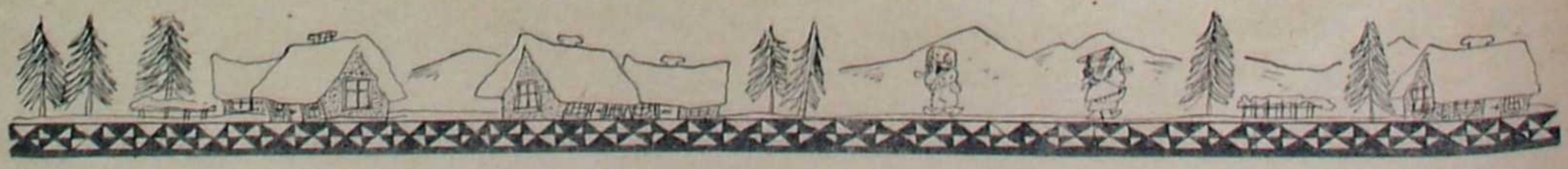

Pierwszych dziesięciu...

Dokończenie ze str. 1

W 1939 roku wigilia przypadała na niedzielę. Ponieważ zgodnie z tradycją wigilię obchodzono w dzień powszedni, przeto większość społeczeństwa przygotowała ją na sobotę 23 grudnia.

Jako człowieka samotnego zaproszono mnie do przyjaciół mieszkających w nowej dzielnicy, przylegającej do Alei Racławickich. Około godziny 17 zjawiłem się na miejscu. Oprócz mnie przyszło kilka zaproszonych osób. Nastrój był dobry. Ktoś wyraził zdanie, że jeśli Niemcy zachowywać się będą tak jak dotąd, no to ostatecznie jakoś się wszystko przetrzyma. Kilka incydentów, jakie się wydarzyły, trzeba zrozumieć, bo to przecież wojna.

Z kolei zaczęto omawiać ogólną sytuację. Nikt nie wierzył, aby zawierucha mogła trwać dłużej niż rok. Alianci przez zimę przygotują się, na wiosnę nastąpi uderzenie, a potem wypędzenie okupantów. Zaczną się dobre czasy, bo hitlerowcy za swoją głupią awanturę będą musieli zapłacić.

Nastrój stał się jeszcze bardziej wylewny, gdy poproszono do stołu i pod tradycyjnego śledzika wypito pierwsze kieliszki dobrej domowej nalewki.

W tym momencie silnie i nerwowo zadzwoniono do drzwi. Gospodarz wybiegł do przedpokoju. Ktoś wszedł, zaczęła się jakaś przyciszona, ale szybka rozmowa. Wreszcie drzwi do pokoju jadalnego otworzyły się i w progu stanął nowo przybyły. Należał do moich dalszych znajomych. Przypuszczałem, że został zaproszony. Ale jego niezwykła bladość i drgające nerwowo ręce zapowiadały coś wielce nieprzyjemnego. Tym bardziej, że i gospodarz przybladł i miał jak by osłupiały wyraz twarzy. Chwilę trwało milczenie. Kilka osób wstało zza stołu.

— Proszę państwa — powiedział przybyły — stało się...

Głos mu się załamał. Chwycił oddech, jak człowiek po szybkim biegu.

— Stało się coś okropnego! Coś bardzo okropnego...

Znów urwał. Reszta obecnych porwała się od stołu. Znów zasapał, jak by się miał przewrócić za chwilę.

— Niemcy zabrali z więzienia dużą grupę zakładników, wywieźli na kirkut na Kalinowszczyznę i wszystkich rozstrzelali.

W zgromadzonych uderzył przysłowiowy piorun. Jedna z pań krzyknęła głośno i zawołała: — Władek, przecież on był na Zamku!

To zawołanie zbulwersowało wszystkich. Zaczęli gorączkowo wypytywać o szczegóły.

Wie z dobrego źródła. Organizujący się już wtedy ruch oporu roztoczył nad Zamkiem obserwację. W więzieniu było kilka „wtyczek". Wiadomość, niestety, jest pewna. — I nie wiadomo — dodał — czy Niemcy nie zrobią właśnie teraz, podczas wigilii i świąt, pogromu wśród ludności miasta.

Zapanowała ponura cisza. Wiadomość o tej niezwykłej zbrodni niemieckiej była nie do zrozumienia. Przekreślała wszelkie pojęcia o humanitaryzmie, prawach i zwyczajach, które dotąd obowiązywały niewzruszenie w stosunkach międzyludzkich.

O kontynuowaniu wieczerzy nie mogło być mowy. Postanowiliśmy się rozejść. Wychodzono maleńkimi grupami.

Po wyjściu pospieszyłem do jednego z mych przyjaciół. Zastałem go w domu. Wiedział już o wszystkim. Umówiliśmy się, że następnego dnia, w niedzielę, zaczniemy gromadzić wszelkie dane, które pomogą wyjaśnić okoliczności zbrodni. Wierzyliśmy jeszcze, że coś musiało zajść, skoro Niemcy zastosowali tak okrutną represję. Ale następnego dnia ustaliliśmy, że nigdzie nic się nie stało, co by ją usprawiedliwiało choć w części.

Udałem się do mieszkania ówczesnego prezydenta miasta, Romana Ślaskiego. Przed wybuchem wojny, w wyborach komunalnych wybrano mnie na radnego. I choć nowa Rada Miejska wskutek najazdu niemieckiego nie rozpoczęła swoich czynności, prezydent Ślaski zorganizował grupę, która stała się konspiracyjnym magistratem. Wchodziłem w jej skład. Należał do niej również przedstawiciel ludności żydowskiej, Katzenelenbogen. Otóż po naradzie z prezydentem udałem się do radnego Katzenelenbogena i prosiłem go, aby zorganizował akcję, mającą na celu ustalenie wszystkich szczegółów tego, co się działo na kirkucie. Ponadto naciśnięto wszystkie sprężyny informacyjne na Zamku i w ośrodkach niemieckich.

To, co się udało ustalić, nie stworzyło pełnego obrazu. Przed przywiezieniem skazańców Niemcy oczyścili okolice kirkutu, a wgląd w jego wnętrze też był trudny ze względu na panujący o tej porze mrok i brak jakiegokolwiek oświetlenia. Jedynym świadkiem był odźwierny kirkutu, stary człowiek, trochę nienormalny. Oprawcy zagrozili, że zastrzelą go jak psa, jeśli piśnie słowo i powie komukolwiek, co widział, a widział niewiele: wprowadzono na kirkut grupę i liczną eskortę. Mieszkał stale na cmentarzu, nie bywał w mieście, żył trochę odcięty od świata i nie znał ludzi. Nastraszony przez hitlerowców nie chciał nic mówić.

Po długich indagacjach uspokoił się i zaczął opowiadać. Słyszał salwy i krzyki, co go wystraszyło do ostateczności. Widział wchodzących, ale nie umiał ich ani policzyć, ani rozeznać. To, co opowiadał, było majaczeniem na pół obłąkanego.

Konkretniejsze wiadomości przyszły z Zamku. Około godz. 16 min. 30 do celi zaczęli wchodzić uzbrojeni gestapowcy w towarzystwie SS-manów i wywoływali niektórych zakładników. Myślano, że to pierwsza partia zwolnionych. Uderzył tylko wszystkich osobliwy szczegół, że kazali zostawiać rzeczy.

Na podstawie informacji z Zamku udało się zestawić listę. Figurowało na niej dziesięć nazwisk. Byli to: prezes Sądu Apelacyjnego Bolesław Sekutowicz, prezes Sądu Okręgowego Stanisław Bryła, profesor KUL-u ks. dr Michał Nechaj, prof. dr Czesław Martyniak, dyrektor gimnazjum Arciszowej Antoni Krzyżanowski, dyrektor gimnazjum im. Staszica Tadeusz Moniewski, starosta powiatowy lubelski Józef Dańkowski, starosta powiatowy lubartowski Tadeusz Illukiewicz, adwokat Edward Lipski i adwokat Władysław Rutkowski.

Dalsze zbieranie informacji utknęło. Nawet nasze „wtyczki" informacyjne w instytucjach niemieckich aż do gestapo włącznie nic nie mogły ustalić. Sprawę otoczono głęboką tajemnicą. Widocznie zorganizowanie i wykonanie zbrodni podjęto w jakimś mocno zakonspirowanym ośrodku. Dopiero po upływie pewnego czasu, gdy terror stał się zjawiskiem pospolitym, rozluźniono czujne przestrzeganie tajemnicy. Udało się ustalić ze źródeł niemieckich, że polecenie dokonania tej zbrodni przyszło do Lublina z wyższego ośrodka.

Skazańcy zachowywali się z godnością i milcząco. Tylko Bolesław Sekutowicz, człowiek nieskazitelnej postawy psychicznej i twardego charakteru, nawymyślał oprawcom od ostatnich. A znał dobrze język niemiecki i odpowiednie porzekadła. Ostatnie jego słowa, gdy skierowano do niego lufy, zabrzmiały mocno: Niech żyje Polska!

Na starym kirkucie dużo jeszcze padło ofiar. Charakterystyczną okolicznością jest, że byli to ludzie nieznani, przywożeni spoza Lublina, od razu kierowani na miejsce stracenia i wyłączeni, zdaje się, z kompetencji ewidencyjnej lubelskiego gestapo.

W następnych latach również nie udało się uzyskać żadnych dalszych informacji, ani dokładnie ustalić na kirkucie miejsca, gdzie odbyła się egzekucja. W tej sytuacji zaczęły się rodzić różne pogłoski. Ktoś puścił wersję, że zakładników nie rozstrzelano, a wywieziono, egzekucja zaś była tylko pozorna, strzelano ślepymi ładunkami. Znalazł się jakiś kolejarz, który widział na dworcu w Lublinie w nocy z 23 na 24 grudnia 1939 r. grupę ludzi otoczonych kordonem. Załadowano ich do wagonu i wywieziono. Wśród nich rozpoznał prezesa Bryłę...

Inna znów wersja mówiła, że do rodziny adwokata Lipskiego w Lublinie przyszedł anonimowy list, zawierający tylko cztery słowa: **Lipski jest na Saturnie.** Podobno na Śląsku była kopalnia Saturn.

Wiem, że te pogłoski ożywiły nadzieje, rodziny skazańców zaczęły pisać listy i podania do Krakowa i Berlina. Ale nigdy żadna odpowiedź nie nadeszła. Zignorowano je całkowicie.

W 1944 roku, gdy front szybko zaczął się zbliżać i Niemcy postanowili bronić Lublina, na dawnym kirkucie na Kalinowszczyźnie zbudowano silny ośrodek artyleryjski. Uczyniono zeń rodzaj fortu. Wycięto wszystkie stare drzewa, ogołocono cały teren, wybudowano na nim bunkry i stanowiska ogniowe. Cały kirkut przekopano i podobno gestapo wywiozło wiele trupów do lasu w Krępcu, gdzie wszystkie te szczątki spalono. Po wyzwoleniu dokonano poszukiwań. Na przedpolu kirkuta znaleziono w zbiorowych mogiłach szereg pomordowanych. W niektórych ubraniach tkwiły kartki, drobne przedmioty, a nawet portfele z dokumentami. Byli to wszystko ludzie z prowincji, z małych miast i miasteczek Lubelszczyzny. Ale na ślad pierwszych dziesięciu zakładników nie natrafiono, mimo skrupulatnych badań w obecności rodzin zamordowanych.

Dziś kirkut jest nagim pagórem. Wszystkie pamiątki cmentarne w postaci płyt i nagrobków zostały przez hitlerowców zniszczone. Krzewy porosły wzniesienia i rozpadliny. Życie roślinne znów pnie się w górę. Dokoła pagóra wznoszą się nowoczesne dzielnice. Nie brak w nich wieżowców mieszkalnych i budowli użyteczności publicznej. Fala budowlana zalewa teren i kirkut dziś wygląda jak samotna wysepka.

Wacław Gralewski

W mieście kalifów

Romuald Dylewski

BAGDAD to czysta egzotyka, oczywiście w XX-wiecznym wydaniu. Kawałek nowoczesnego, luksusowego centrum i rozległe dzielnice lepianek. Starzy Arabowie w długich szatach, z zawojami na głowach, kobiety chowające twarze przed obcymi, bazary, kafejki, osiołki, meczety, muezini, cała ta kolorystyka Wschodu, którą znamy z filmów i tygodników ilustrowanych, choć w rzeczywistości mająca o wiele mniej barw radosnych. No i ja spędzający wigilię w tym Bagdadzie. Piłem polską wódkę, śpiewałem polskie kolędy, a nawet miałem polską choinkę, świeżo przywiezioną z kraju. Mało jednak pamiętam z obchodów tego dnia, gdyż zbyt aferowały mnie inne sprawy. Praca, praca, praca. Terminy.

Gdy miałem 11 lat, naczytałem się książek podróżniczych i sam marzyłem o wyprawie dookoła świata. Podróżowali wtedy Anglicy, Francuzi, Holendrzy, Belgowie — przedstawiciele państw posiadających kolonie, floty handlowe, rozległe interesy. Polacy — wiadomo, jeśli tak, to głównie jako żołnierze. Postanowiliśmy przejść pieszo z kolegą do Kanady, do mego wujka. Nie wiedzieliśmy tylko, czy cieśnina Beringa zimą zamarza. Potem postanowiliśmy zrobić tylko marsz dookoła Polski, a skończyło się na wyprawie z rodzinnej Łęcznej do odległego o 12 km jeziora w Piasecznie.

Gdy pracowałem już zawodowo, jeździłem kilka razy do różnych krajów europejskich, bo jestem przedstawicielem SARP do sekcji urbanistycznej Międzynarodowej Unii Architektów. W roku 1960 przebywałem przez dłuższy czas w Londynie, gdzie opracowywałem projekt urbanistyczny dzielnicy West Bethnal Green w East Endzie. Ale już nie marzyłem o traperskich wyprawach do egzotycznych krajów, bo byłem za dorosły na takie mrzonki.

W roku 1965 nasza centrala handlu zagranicznego „Polservice" wygrała międzynarodowy przetarg na opracowanie perspektywicznego ogólnego planu urbanistycznego dla stolicy Iraku. Zadanie powierzono „Miastoprojektowi" z Krakowa, który zaczął ściągać specjalistów z różnych miast. Ostatecznie do Bagdadu wyjechała 20-osobowa grupa, na której czele stałem ja, wspierać zaś miała nas swymi pracami takiejż wielkości grupa kolegów pozostałych w Krakowie.

I od razu okazało się, że co krok napotykamy na nieoczekiwane przeszkody. Nasz zespół składał się z samych ludzi z akademickim przygotowaniem, nie było natomiast techników i kreślarzy — bo te prace miały być wysyłane do wykonania w kraju. „Most po-

Dokończenie na str. 10

Siedzieli na Bielawach dziesięć dni. Jedli, polowali. W lasach stały jeszcze drewniane „ambonki", z których myśliwi dawniej strzelali do zwierzyny, teraz oni na krótki czas zamienili się w myśliwych. Gajowi prowadzili w najbardziej dogodne do strzału miejsca. Co tu dużo gadać, wesoły był czas! A jeszcze przedtem, zaraz po wigilii, niektórych poniosła fantazja. Nowo upieczony wachmistrz Alicki wraz z Rysiem i jeszcze jednym żołnierzem dopięli mundury i pomaszerowali na pasterkę do odległego o trzy kilometry Poświętnego, do klasztoru filipinów. Nikt ich nie zaczepił, choć we wsi był posterunek granatowej policji i niemiecka placówka wojskowa. A jeszcze, po wigilii, zjawił się ksiądz Mucha od filipinów i wprosił się do oddziału na kapelana. A jeszcze napędzili strachu generałowi Blaskowitzowi, kiedy polował w lasach spalskich i wobec tego im przeszkadzał polować... Taka to była wigilia na Bielawach.

* * *

Ale co z legendą o ukrytych dokumentach? Ani Szymański, ani nikt inny nie przypominał sobie chowania jakichś hubalowskich papierów na Bielawach. Oddział pozostawił wiele skrytek na trasie swoich pochodów, ale tutaj?...

Zastanawiałem się, kto by jeszcze mógł wiedzieć coś na ten temat. Może ówczesny leśniczy? Przed nim Hubalczycy nie mieli chyba tajemnic. To on, logicznie rozumując, powinien być osobą, do której kiedyś, w przyszłości, zgłosi się ktoś po odbiór „depozytu". Obecny leśniczy, Stanisław Chmiel, powiedział mi, że podczas okupacji na Bielawach rezydował doświadczony leśnik Józef Żulikowski, który po wyzwoleniu wyjechał gdzieś do województwa gdańskiego. Postanowiłem go odszukać.

Z redakcji zamówiłem rozmowę telefoniczną z Okręgowym Zarządem Lasów Państwowych w Gdańsku. Leśnika ciągnie do lasu i jeśli Żulikowski żyje, gdańskie władze leśne muszą coś o nim wiedzieć. Odezwała się centrala OZLP. „Czy przypadkiem nie mógłby mnie ktoś u państwa poinformować o losach leśniczego Żulikowskiego, który w 1939 roku na Kielecczyźnie..." — zacząłem. Dość obojętnym głosem telefonistka powiedziała: „Pan Żulikowski? Już pana z nim łączę". Tak w najprostszy w świecie sposób odnalazłem tego, którego nazwiska, ani dalszych losów, nawet sami Hubalczycy nie znali. Pojechałem więc do Gdańska.

* * *

Krępa, silna sylwetka. Nad górną wargą mały wąsik. Zielony mundur, okrągła czapka ze srebrnym leśniczym znaczkiem. Pan Józef Żulikowski prawie od czterdziestu lat nie rozstaje się z tym mundurem. Od skromnego praktykanta w leśnictwie Busko w 1930 r. doszedł z biegiem lat do stanowiska starszego inspektora do spraw mechanizacji w Wydziale Głównego Mechanika w gdańskim OZLP. Z młodego, niedoświadczonego w sprawach politycznych i społecznych człowieka stał się aktywnym członkiem partii, jest ławnikiem Sądu Wojewódzkiego i członkiem Kolegium Karno-Administracyjnego przy MRN w Gdańsku. Za pracę społeczną dwukrotnie odznaczony Krzyżem Zasługi, Odznaką Tysiąclecia i odznaką za zasługi dla miasta Gdańska. Żona Maria, trzydziestoletni okres wypełniła pracą skromnej, choć cenionej nauczycielki. Tą samą pracą, którą zajmowała się na wiele lat przed wojną, najpierw gdzieś w Górach Świętokrzyskich, a potem podczas pobytu z mężem i synkami na Bielawach. Wówczas uczyła w szkole w Poświętnem i tamtejszy przewodniczący PGRN, Marian Matuszczak, mój znajomy z wyprawy do leśniczówki, jest jednym z jej uczniów. To właśnie dzięki pani Marii łatwiej nam przyszło zanurzyć się z powrotem w tok zdarzeń sprzed lat.

* * *

Osiedlili się na Bielawach w 1935 r. Młode małżeństwo, dwoje małych dzieci. Codzienna, ciężka praca, życie na odludziu. Ale do odludzia byli przyzwyczajeni. To przecież wchodziło między innymi w skład zawodu męża. Mimo wszystko młodej kobiecie z początku do Bielaw trudno było się przyzwyczaić. I dlatego opowieść Marii Żulikowskiej zaczyna się od opisu poczucia samotności i obcości.

— Mieszkaliśmy przedtem w okolicach Gór Świętokrzyskich. Byłam przyzwyczajona do szerokich, rozległych górskich krajobrazów, do wielkiej przestrzeni. Tutaj był tylko las i las. Cały rok tęskniłam za widokiem gór, czułam się jak w więzieniu. Aż raz mąż kazał założyć konie do bryczki i powiózł mnie lasami na jakieś wzgórze, skąd widać było kawałek świata. I wtedy zamiast się cieszyć, śmiać, popłakałam się. Ale to z radości, ze wzruszenia...

Powoli jednak wrastali w to swoje nowe życie. Miało ono przecież i uroki. Tutaj często zjeżdżali myśliwi, odbywały się wesołe zabawy, grzmiały rogi po lasach, pukały sztucery i dubeltówki. Roboty było wtedy co niemiara, a i nerwów przy tym sporo, bo niełatwo młodemu leśniczemu kierować całą machiną wielkiego polowania, dopilnować, aby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Szczęście, że siedział jeszcze w leśniczówce stary, brodaty gajowy Pawłowski, rezydujący tutaj od czasów carskich, doskonale obeznany z wszystkimi tajnikami wielkich łowów. I tak było do wojny.

W 1939 r. Józefa Żulikowskiego powołano do wojska, kampanię wrześniową odbył w grupie generała Kleeberga. W październiku wrócił do domu. Zaczęło się znowu „normalne" leśne życie, tyle, że pod władzą okupanta, w strachu i niepewności.

Kiedyś, w listopadzie, gdy mąż wybrał się na inspekcję do odległego zakątka podległych mu lasów, do leśniczówki zapukało dwóch żołnierzy w polskich mundurach i w pełnym uzbrojeniu. U płotu stały uwiązane za cugle konie. Oświadczyli, że nadciąga Wojsko Polskie i że za godzinę przybędzie ich dowódca, major. Była to dla Marii Żulikowskiej wiadomość wprost niewiarygodna. Potem przyszła fala radości i uniesienia. Wreszcie normalna kobieca reakcja — trzeba natychmiast zabrać się do szykowania kolacji, na pewno będą głodni.

Wkrótce przyjechał ten ich major, a z nim chyba jeszcze ze czterech żołnierzy. Wszyscy konno. Posiedzieli trochę, porozmawiali i zniknęli. Ale odtąd byli stale w kontakcie z leśniczówką. Zjawiali się co pewien czas we dwóch, trzech, głównie po żywność. Leśniczy i gajowi strzelali dla nich dziką zwierzynę, a nie jeden raz ubili i coś z własnego inwentarza.

A potem wojsko majora Hubala postanowiło urządzić na Bielawach uroczystą wigilię. Zjechali konno i zbrojno. Przybyli jacyś cywile. Cały dziedziniec zastawiony był bryczkami. Kobiety, oczywiście, zajęły się przygotowaniem wieczerzy wigilijnej. Pani Marii pomagała wówczas Ludmiła, żona leśniczego Wróblewskiego z Dęby i dziewczyna z oddziału zwana Tereską. Mężczyznom co innego było wtedy w głowie, ale żona leśniczego jest zupełnie pewna, że ugotowała zupę rybną. Leśniczemu bardziej wryła się w pamięć jałówka, którą poświęcił dla żołnierzy. Niby to drobnostki, ale przez trzydzieści lat pamięć o nich się nie zatarła. Sama wigilia przeszła dla obojga prawie niepostrzeżenie. Było tyle zajęcia... Lecz zaraz po wigilii, kiedy się już goście rozjechali, kiedy już wódka została wypita, pani Maria zobaczyła taką scenę:

— Pamiętam, jak major siedział przy kominku podparty na łokciu. Ogień buzował, burka zwisała majorowi z ramienia. A naokoło siedziały jego chłopaki i śpiewały mu pieśni. Tak, proszę pana. Przeżywaliśmy Polskę wtedy. I nie było strachu.

* * *

Żulikowski utrzymywał stały kontakt z klasztorem filipinów w Poświętnem. Pozostawał w zażyłych stosunkach z księdzem Muchą, z klerykiem Sobczykiem — mówili sobie na ty. Kiedyś młodzi księża zaczęli się napierać, żeby im pokazał wojsko polskie.

— Więc ja mówię do księdza Muchy: słuchaj Ludwik, jak chcesz to siadaj zaraz ze mną na sanie i jedziemy do mnie na Bielawy. Powiedz księdzu superiorowi, że jedziesz złożyć życzenia świąteczne mojej żonie. No i przyjechaliśmy na Bielawy, był już pierwszy dzień Bożego Narodzenia. W leśniczówce cisza, pełno śniegu naokoło. Chłopaki spali w świetlicy jeszcze po nocy wigilijnej. Wymotaliśmy się z kożuchów, stanęliśmy przed domem. To co, mówię, naprawdę chcesz zobaczyć wojsko polskie? A on dalej mi nie wierzył. Poszliśmy najpierw do mojej kancelarii, wypiliśmy po jednym głębszym. No i zaraz Mucha przekonał się, że mówiłem prawdę, bo z sąsiedniego pokoju słychać było głosy, a to już major siedział z kilkoma swoimi i grali w karty. Potem było tak, jak opisuje Wańkowicz w „Hubalczykach": ksiądz musiał wykazać się umiejętnością picia spirytusu i gry w bridża. Wreszcie zadeklarował, że zostanie kapelanem w oddziale. No i został. Tyle, że nie wiadomo, czy później tego nie żałował. Chłop dał się w pierwszej chwili ponieść fantazji, a potem głupio już się było wycofywać. Można powiedzieć, że to właściwie ja go trochę „wrobiłem" w to całe kapelaństwo. Wrócił jeszcze do klasztoru po swoje księżowskie akcesoria i jakoś przekonał superiora, żeby go „wywalili" ze zgromadzenia. Mucha zabrał ciuchy, wsiadł do sań i tyle go widzieli. Wsiadł do sań, bo wtedy jeszcze nie miał pojęcia o konnej jeździe, dopiero potem w oddziale go uczyli, były przy tym niezłe szopki, ale to już zupełnie inna historia.

* * *

Po odejściu Hubalczyków z Bielaw Żulikowski nadal utrzymywał z nimi kontakt, m. in. zawoził broń do Gałek Krzczonowskich. Coraz częściej znikał z domu na całe tygodnie. Niemcy zaczęli coś węszyć. Pani Maria bezustannie drżała z obawy, że męża zaaresztują. Szczególnie wówczas, gdy w ręce Niemców wpadł leśniczy Wróblewski z Dęby. Za Hubalowe sprawy długo męczono go w więzieniu w Tomaszowie Mazowieckim. Niemcy starali się z niego wydrzeć zeznania na temat ludzi, którzy pomagali oddziałowi. Wróblewski był twardy, dał się zakatować na śmierć, ale słowa nie pisnął.

Niedługo po śmierci Hubala pod Anielinem przyszedł do leśniczówki wachmistrz Romuald Rodziewicz, zwany w oddziale Romanem i przyniósł na przechowanie kilka fotografii. Były to w większości odbitki zdjęć robionych w oddziale w Gałkach Krzczonowskich. Ale było jeszcze jedno zdjęcie, najcenniejsze. Przedstawiało majora tuż po śmierci, leżącego na rozpiętym białym kożuchu, z odrzuconą do tyłu głową. Była to jedna z fotografii zrobiona przez Niemców zaraz w Anielinie, na podwórzu obejścia gospodarza Laskowskiego, gdzie przeniesiony z lasu przez żołnierzy Wehrmachtu Hubal wydał ostatnie tchnienie. (Jak dostało się to zdjęcie w ręce Polaków, prawie tuż po wywołaniu, opowiem w innym reportażu).

Na rodzinie Żulikowskich fakt przekazania im tak cennego wówczas dokumentu wywarł ogromne wrażenie. Żona leśniczego wsunęła zdjęcia do butelki, korek dokładnie zalakowała i zakopała butelkę pod przyciesią jednej ze stodółek obok leśniczówki. Prawdopodobnie butelka spoczywa w tym miejscu do dzisiaj.

I tak wyjaśnia się po części miejscowa legenda o ukrytych na Bielawach tajnych dokumentach Hubala. Bo każda legenda nosi w sobie część prawdy.

Kamena str. 9

Na festiwalu ryczą krowy...

Roman Łoziński

NIE wszyscy zapewne wiedzą, że od sześciu lat Lublin zaliczany jest do miast festiwalowych. Co dwa lata przez kilka październikowych dni rozbrzmiewają w kinie „Kosmos" festiwalowe fanfary, terkoczą projektory.

Dziwne to są festiwale. Zamiast wydekoltowanych dam i gwiazd filmowych zjeżdżają się na nie chłopi, agronomowie, referenci od kontraktacji buraków cukrowych i tytoniu... Na ekranie, zamiast aktorów, uwijają się ryczące stadka, kołyszą się łany pszenicy... Wszak to są festiwale filmów rolniczych.

Pomysł zorganizowania ich zrodził się bodaiże w 1961 roku, kiedy to niespokojny, jak zwykle, dyrektor lubelskiej placówki CWF, Zbigniew Stępniak, zaczął wszem, wobec i każdemu z osobna tłumaczyć, że w programach festiwali jest poważna luka. Są festiwale filmów fabularnych, jest festiwal festiwali filmowych w Warszawie, mamy festiwal filmów krótkometrażowych w Krakowie, brak tylko festiwalu filmów rolniczych. A jeżeli tak, to trzeba go zorganizować, a jak zorganizować, to tylko w Lublinie — stolicy rolniczego województwa.

Władze rolne, szczególnie te w Warszawie, nie były skore do akceptowania tego rodzaju pomysłów, tym bardziej, że z ich realizacją wiązały się, jak zwykle, pewne wydatki. Ale zapaleni inicjatorzy nie zrezygnowali. Przekabacili kogo trzeba było w lubelskim Prezydium WRN i dalejże rozkręcać imprezę... czynem społecznym. Pierwszą, zorganizowaną w 1962 roku, nazwali skromnie przeglądem filmów rolniczych. Ściągnęli nań dostojników z Warszawy, przedstawicieli Ministerstwa Rolnictwa i Ministerstwa Kultury i Sztuki, kinematografii, a przede wszystkim realizatorów filmów rolniczych.

Kiedy już fanfary ucichły, a zwycięzcy pochowali nagrody głęboko w kieszeniach, wszyscy zgodnie orzekli, że rzeczywiście pomysł był dobry, impreza się udała. Co więcej, wszyscy bez wyjątku opowiadali się za jej kontynuowaniem. Konkretnym wyrazem tego stanowiska było objęcie patronatu nad imprezą przez Ministerstwo Rolnictwa, Prezydium WRN i Naczelny Zarząd Kinematografii, ustanowienie porządnych nagród, tzw. „Koniczynek", po 15 i 10 tys. zł oraz nadanie imprezie miana festiwalu.

Tak się zaczęło. Później był drugi festiwal filmów rolniczych w 1964 r. i trzeci w 1966 r. Ten ostatni poziomem organizacyjnym przewyższał (tak przynajmniej twierdzili znawcy przedmiotu) festiwal filmów krótkometrażowych w Krakowie. Może dlatego, że miał on rzeczywiście bogatą oprawę. Z okazji festiwalu odbyło się kilka imprez towarzyszących, takich, jak przegląd amatorskich filmów rolniczych (w których produkcji celuje szczególnie lubelska WSR), sesja na temat upowszechniania filmu rolniczego, uroczysta inauguracja szkolenia rolniczego i inne.

Tegoroczny festiwal miał także bogatą oprawę. W mieście ustawiono plansze i transparenty z listkiem koniczynki, festiwalowe kino „Kosmos" tonęło w zieleni, wewnątrz — stoiska z książkami rolniczymi i... bigosem. Na sali i w hallu — baterie telewizorów, przez które w pierwszym dniu festiwalu miały być transmitowane aż z Warszawy (via Boży Dar) rolnicze filmy telewizyjne. Jest nastrój, są ministrowie, przedstawiciele ambasad, kierownicy, prezesi i co najważniejsze — komplet widzów na sali. Zapalają się jupitery, idą w ruch kamery filmowe, przemawiający podkreślają doniosłość chwili. Wyczuwa się rozpiętość. Zrozumiały. O godzinie 11 TV Warszawa rozpocznie transmisję 13 filmów rolniczych.

No, nareszcie 11. Ale co to? Telewizory są martwe. E, jakieś drobne opóźnienie, jak to zwykle w telewizji. Jeszcze kilka dowcipów dla wypełnienia pustki, która na sali sprawia przekomiczne wrażenie. Mija 20 minut i nic.

Nareszcie telewizory jęknęły, stęknęły i pokazały planszę z symbolem festiwalu, czyli ową koniczynką, która podobno przynosi szczęście. Plansze te zdają się być udźwiękowione. Nie, to dyżurni telekina w TV rozmawiają ze sobą, na szczęście niewyraźnie. Przekomarzają się, od czasu do czasu wtykają rękę z zamiarem zmiany planszy, a uczestnicy festiwalu patrzą i podziwiają. Zresztą nie tylko oni, lecz także wielu mieszkańców Lubelszczyzny, albowiem ta część nieoficjalnego programu porannego TV była transmitowana na całe nasze województwo... Mija pół godziny. Na sali szmery. Nagle... jest! Gdzieś od połowy rozpoczyna się pierwszy telewizyjny film rolniczy.

Na skutek opóźnienia zawinionego przez warszawską TV, nie mogła ona zaprezentować w tym dniu wszystkich 13 filmów. Obiecała, że nazajutrz zrehabilituje się i pokaże pozostałe. Słowa dotrzymała, pokazała, a jakże, z tym tylko, że wizja miała treść rzeczywiście rolniczą, a fonia (podobno z radia) raczej militarną: wydawano jakieś komendy, słychać było strzelaninę. Znawcy twierdzili, że to z radiowej audycji dla żołnierzy, czy o żołnierzach. Mimo donośnej strzelaniny dochodzącej z telewizorów, początek festiwalu był raczej niewypałem.

Festiwal nie byłby ważny bez jury. Jury stanowi najważniejszą grupę osób na festiwalu. O ich względy zabiegają realizatorzy filmów. Z szacunkiem odnoszą się do nich organiatorzy festiwalu, donoszą kawę, dbają o wygodę... Chociaż tej ostatniej nie zapewniają ustawione w przejściu stoliki, o które wszyscy się potykają. Ale Lublin nie Cannes, a sala „Kosmosu" nie pałac festiwali międzynarodowych.

Ważniejsze są wszakże sprawy merytoryczne. Jury cierpliwie ogląda wszystkie filmy, namiętnie dyskutuje i wreszcie, po przegłosowaniu, ustala: I nagroda dla filmu instruktażowego „Dlaczego wapnujemy glebę". Właśnie, dlaczego? Dlatego, bo „podejmuje ważny i aktualny dla produkcji rolnej problem".

Jury jednak nie jest jedynym sędzią na sali festiwalowej. Filmy ocenia także publiczność złożona z fachowców i praktyków rolnictwa, młodzież ze szkół rolniczych i pracowników instytucji rolnych. A więc publiczność kompetentna. Tę kompetencję organizatory festiwalu postanowili wykorzystać do oceny filmów. W tym celu zorganizowali ankietę na najlepszy film dnia. Nagrodzony „Złotą Koniczynką" film „Dlaczego wapnujemy glebę" był wyświetlony w drugim dniu festiwalu. W tymże dniu publiczność za najlepszy film uznała „Sady intensywne".

Film „Dlaczego wapnujemy glebę" w ocenie publiczności zajął dopiero czwarte miejsce. Nie pierwszy to rozdźwięk między publicznością a jurorami, ale tym razem symptomatyczny. Chodzi o rzecz najważniejszą: który z tych filmów jest lepiej zrobiony? Dla nikogo chyba nie ulegało wątpliwości, że „Sady intensywne". Ale „Dlaczego wapnujemy glebę" podejmuje ważny problem.

Film „Sady intensywne", wbrew pozorom, nie koncentrował uwagi widza na pięknie rozkwitających drzewach owocowych, brzęczących pszczółkach itp. idylicznych scenkach. Jest to film w pewnym sensie okrutny, przekonuje o potrzebie cięcia, łamania i wyginania drzew po to, by więcej i lepiej owocowały. Mamy wprawdzie od czasu do czasu klęskę urodzaju, ale — jabłek małej wartości, nieprzydatnych do przechowywania i przetwarzania, a więc jabłek niepotrzebnych. Film uczy, jak należy produkować jabłka potrzebne, jabłka, za które płacimy w marcu 20 zł za 1 kg, a moglibyśmy (gdyby było ich więcej) płacić połowę tego. W sumie film nie tylko dobry technicznie, ale i niezwykle wartościowy. Zgoda, powiedzieli jurorzy (nie wszyscy, nie), ale film „Dlaczego wapnujemy glebę" podejmuje aktualny problem.

Na tegorocznym festiwalu było więcej rozdźwięków między salą a jury. Drugą nagrodę (za film publicystyczny o tematyce wiejskiej) jury przyznało filmowi „Dzień dobry dzieci", poświęconemu kłopotom wychowawczym młodej nauczycielki. Publiczność dała mu zaledwie piąte miejsce, a na drugim umieściła ostry w wymowie film „90 dni w roku" o marnotrawstwie czasu rolnika w różnego rodzaju kolejkach. Problem ważny i aktualny. Dowodem tego była chociażby przedzjazdowa dyskusja w środowisku wiejskim, w której często padały postulaty usprawnienia obsługi rolnictwa. Jury jednak uważało, że film jest niekonstruktywny, bo nie wskazuje wyjścia z tej sytuacji, nie podpowiada, jak uniknąć kolejek i marnotrawstwa czasu rolnika. Pomyśleć tylko, czego to nie wymaga się od 15-minutowego filmu! Nie wystarczy, że zasygnalizuje on nabrzmiały problem, musi jeszcze za naszą kochaną administrację myśleć, jak by tu usprawnić skup, sprzedaż węgla czy nawozów sztucznych. Co ciekawsze, również nagrodzony film „Dzień dobry dzieci" także nie dawał recept na pracę z dziećmi i ich rodzicami. W dodatku film ten uzyskał Grand Prix na festiwalu filmów krótkometrażowych w Krakowie i druga nagroda („Srebrna Koniczynka") wcale go nie usatysfakcjonowała. Natomiast film „90 dni w roku" (tyle właśnie czasu traci rolnik w kolejkach) ze wszech miar zasługiwał na tę nagrodę.

Można by się spierać również o trafność w nagradzaniu innych filmów (z wyjątkiem chyba bezspornego „Chrońmy gleby przed erozją", który zasłużenie zdobył jedną z dwóch drugich nagród), ale nie o to chodzi. Celem tych rozważań jest wykazanie subiektywności oceny jury i apel o dobór w przyszłości takiego składu komisji konkursowej (dlaczego nie miałby do niej wchodzić rolnik czy np. agronom?), który gwarantowałby możliwie obiektywniejszą ocenę filmów. Idzie przecież o prestiż jury i rangę festiwalu.

O tej zaś świadczą zgodnie opinie gości festiwalowych: prezesa Centralnego Związku Kółek Rolniczych Franciszka Gesinga, wiceministra kultury i sztuki Czesława Wiśniewskiego, wiceministra rolnictwa Longina Cegielskiego, a także dyrektorów wytwórni filmowych, przedstawicieli Naczelnego Zarządu Kinematografii, „Filmosu" i innych instytucji, którzy przemilczając kurtuazyjnie niedociągnięcia organizacyjne, wskazywali na bezsprzecznie ogromną rolę festiwalu w „rozruszaniu" filmu rolniczego, w zwróceniu na niego uwagi zarówno producentów jak i odbiorców, rolników i służby rolnej.

Wszyscy także zgodnie stwierdzili, że bez filmu rolniczego nie można się obejść w szkoleniu rolniczym. Dobry film rolniczy wnosi do szkolenia ożywienie, przykuwa uwagę widza, odsłania przed nim zjawiska niedostrzegalne gołym okiem, zbliża rzeczy mikroskopijne, w ciągu kilku minut ukazuje procesy zachodzące w przyrodzie miesiącami. Tego nie jest w stanie przekazać żaden prelegent, żadna broszura. Film jest nowoczesnym środkiem transmisji wiedzy rolniczej z zakładów naukowych do zagród wiejskich. I dlatego wart jest kultywowania, godzien zachodu i takiej imprezy ogólnopolskiej, jaką jest lubelski festiwal.

Zgodnie z regulaminem festiwale odbywają się co dwa lata, a to dlatego, że wytwórnie nie nadążają z produkcją filmów rolniczych. To też temat. Kiedy na konferencji prasowej ktoś stwierdził, że film rolniczy jest dla wytwórni filmowych produkcją uboczną, przedstawiciel Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi od razu zareplikował. Fakt jest jednak faktem, że wszystkie wytwórnie wypuszczają zaledwie dwadzieścia kilka obrazów rocznie. Trzeba aż dwóch lat, żeby można było wybrać filmy na festiwal. Ale podobno festiwal spełnia także i w tym zakresie rolę dopingującą.

Ambicją organizatorów festiwalu jest uczynienie z niego imprezy na wysokim poziomie i coraz szerszym zasięgu. Nie bez kozery poproszono w tym roku przedstawicieli ambasad z krajów socjalistycznych. Są realne propozycje, by w przyszłości imprezę tę przekształcić w międzynarodowy festiwal filmów rolniczych — przynajmniej w skali środkowoeuropejskiej, gdzie występują podobne lub zbliżone zagadnienia agrotechniczne. Wiadomo np., że w ZSRR, NRD i Czechosłowacji rozwinięta jest produkcja filmów rolniczych i ściągnięcie najlepszych spośród nich na festiwal do Lublina nie tylko podniosłoby rangę tej imprezy, lecz przede wszystkim stworzyłoby rzadką okazję do konfrontacji naszej, krajowej produkcji, z osiągnięciami zagranicy. Z konfrontacji tej na pewno można by się wiele nauczyć. A więc?

W mieście kalifów

Dokończenie ze str. 9

wietrzny" Bagdad — Kraków — Bagdad nie funkcjonował jak należy z różnych względów, m.in. niedostatków komunikacji lotniczej na tej trasie, surowej kontroli dokumentów (a także rysunki i obliczenia, to przecież ważne dokumenty). Musieliśmy więc rysować sami, pomagały nam żony niektórych kolegów, przyuczone przez nich. Na pomoc arabskich kolegów nie mogliśmy liczyć, jest ich zbyt mało i mają niewielkie doświadczenie. W Iraku jest kilku wybitnych specjalistów, absolwentów uczelni brytyjskich i amerykańskich, oni jednak dokonywali odbioru naszych prac i kontroli ich jakości.

Inną trudnością był brak dokładnych pomiarów miasta, brak inwentaryzacji urbanistycznej, brak opracowań geologicznych terenu itd. Mieliśmy tylko ogólne dane wyjściowe: że Bagdad liczy półtora miliona mieszkańców, z czego pół miliona mieszka we względnie możliwych warunkach, ale bez prądu, wody i kanalizacji. I zadania docelowe: w roku 1985 w Bagdadzie ma mieszkać 4 milionów osób, czyli miasto wchłonie cały przyrost naturalny kraju, a my mamy opracować projekty zabudowy. W działaniu swym opieraliśmy się na doświadczeniach z Polski (nasze sukcesy w odbudowie i rozbudowie kraju cenione są wszędzie wysoko, * polska szkoła urbanistyki znana jest na całym świecie), a także na doświadczeniach uczonych z innych krajów — gdyż miast tej wielkości w Polsce nie mamy. Odrzuceni konkurenci usiłowali skłonić naszych kontrahentów do zerwania umowy aby zająć nasze miejsce. Podszeptywali im np., że Polacy nie są w stanie przewidzieć odpowiedniej sieci drogowej na przyszłość, bo sami nie mają rozwiniętej motoryzacji, więc nie rozumieją problemów.

Polska obecność na Bliskim Wschodzie jest już rzeczą uznaną. Spotyka się tam naszych inżynierów, lekarzy, profesorów, górników, mechaników, marynarzy, lotników... Ale urbaniści nie mieli jeszcze wyrobionej marki. Bywało więc, że gospodarze nieraz nie rozumieli naszych intencji. Mieli więc pretensję, że nie planujemy im wielopoziomowych skrzyżowań, ślimacznic i innych urządzeń drogowych, jakie istnieją obecnie w Nowym Jorku czy Chicago. Trzeba było wyjaśniać, przekonywać. A wyjaśnienie jest takie, że Irak przy dużym wysiłku finansowym będzie miał możliwości pomieszczenia w Bagdadzie w roku 1985 około 3,5 mln mieszkańców. Jeśli więc nawet uzyska pomoc czy pożyczkę, by zbudować miasto na 6 mln ludzi, musi oszczędzać na czym tylko można. To przecież zacofany kraj, dopiero startujący do samodzielnego bytu po latach niewoli kolonialnej, daleko mu do poziomu USA.

Z Bagdadu nie powróciłem prosto do Lublina. Zatrzymałem się na rok na Wyspach Brytyjskich: wykładałem w wyższej szkole urbanistyki w Edynburgu. W ramach ćwiczeń wykonałem wraz z innymi studentami plan perspektywiczny dla jednej z dzielnic aglomeratu Edynburg—Glasgow. Swoim słuchaczom nie zdradzałem tego, że przybyłem z Iraku, że tam pracowałem przez półtora roku. Zrozumiano by mnie źle. My, Polacy, wygraliśmy przetarg m.in. dzięki umiarkowanym żądaniom finansowym. Mimo to wysłaliśmy do Bagdadu specjalistów wybieranych w całym kraju. Firmy zachodnie wysyłają fachowców kiepskich, takich, którzy nie mają poważniejszych stanowisk zawodowych u siebie w domu. Na czele takiego zespołu stoi co prawda dobry znawca, który jednak z rzadka tylko wpada na opracowywany teren, skontroluje postęp prac, wyda nowe polecenia i wraca do domu lub leci dozorować inne zespoły.

Wigilia 1966 roku w Bagdadzie była więc dla mnie niezwykła nie dlatego, że tam byłem — bo przecież bywali przede mną inni Polacy. Ja jako mały chłopiec jeszcze marzyłem przecież o dalekich podróżach. Lecz nie przypuszczałem, że tak daleko i z takim skutkiem wyrwiemy się z naszej polskiej zaściankowości.

Romuald Dylewski

Tajemnica kawiarni „U aktorów"

Dokończenie ze str. 7

Do ożywienia i powiększenia frekwencji przyczyniły się w niemałym stopniu występy artystyczne, które Orsza potrafił zorganizować ze smakiem i rozmachem. Nie będę opisywał dość bogatego i ciekawego programu, zatrzymam się tylko pokrótce przy kilku wybitnych postaciach, tym bardziej, że te osoby odegrały niepoślednią rolę w rozwoju dalszych wypadków.

Ludzie w Lublinie, podczas tej nocy okupacyjnej, pozbawieni byli wszelkich rozrywek kulturalnych. Teatr był, oczywiście, nieczynny, do kina się nie chodziło i o żadnych koncertach i występach nie było nawet mowy. Toteż, gdy się rozeszła pogłoska, że „U aktorów" odbywają się jakieś artystyczne imprezy, wszystkich to wielce zainteresowało. Początkowo ktoś tam rzępolił na fortepianie i nie bardzo go słuchano, lecz później w małej kawiarni na minimalnej estradzie zaczęli się produkować nie byle jacy artyści.

A więc najpierw Witold Elektorowicz, popularny i znany piosenkarz, ulubieniec Warszawy, zwany jej trubadurem, który potem przetrwał powstanie i zaraz po wyzwoleniu, jeszcze na gruzach stolicy, już znalazł się w niej ze swoją piosenką. Był to człowiek nadzwyczaj sympatyczny, powszechnie szanowany i lubiany. Sam sobie akompaniował, miał bogaty repertuar i umiał znakomicie nawiązać ciepły kontakt ze słuchaczami. On to właśnie, jeden z pierwszych, przyjechał do Lublina i wystąpił „U aktorów" wielokrotnie, zawsze z wielkim powodzeniem. Trzeba zaznaczyć, że wszystkie te występy odbywały się bez formalnego zezwolenia władz niemieckiej propagandy. Orsza potrafił to załatwić. Jego przyjaciele „spod zegara" byli dostatecznie mocni. Elektorowicz, nie skrępowany cenzurą, śpiewał takie piosenki, za które w innych warunkach trafiłby od razu na Majdanek. Jeszcze bardziej szokujący, jak na warunki okupacyjne, był występ Henryka Ładosza, który dał dwa recitale. Wiemy, jak okupant prześladował polską mowę, literaturę, poezję — biblioteki, czytelnie zostały zamknięte, książki spalone. A tu... Spóźniony nieco ledwo się mogłem przepchać przez tłum ludzi, którzy nie tylko zajęli wszystkie stoliki i krzesła, ale stali na korytarzu i w szatni. Na estradzie Ładosz w niebywałej formie i ferworze — a z estrady lecą słowa Broniewskiego, Gałczyńskiego, Tuwima i innych. Publiczność rozpłomieniona, rozentuzjazmowana, a przy swoim stoliku spokojnie popijają kawę z likierem grube ryby z gestapo.

Nazajutrz pytałem Ładosza, jak to się stało i czy on się nie bał? Odpowiedział mi, że Orsza zagwarantował absolutne bezpieczeństwo. Nie bardzo mu wierzył, obawiał się prowokacji i postanowił być ostrożny, ale go poniosło. Czy wiedział, że na sali są gestapowcy? Wiedział. I teraz nawet obawia się, by coś złego z tego nie wynikło. Jednak nic się nie stało.

Przyjeżdżał i występował nieraz Janusz Strachocki, lecz najbardziej utkwiła mi w pamięci gościna Leona Schillera. Przybył wraz z Marią Żabczyńską, która śpiewała piosenki staropolskie w opracowaniu i akompaniamencie Schillera. Później sam zaczął śpiewać różne piosenki w kilku językach ze swego bogatego repertuaru. Zainteresował nawet gestapowców. Potem poszliśmy na kolację do takiej maleńkiej knajpki, która nazywała się „Kropelka" i którą chwilowo prowadziła moja żona z jedną panią, żoną sędziego. Ponieważ zbliżała się godzina policyjna, obie niewiasty wraz z kucharką poszły do domu, a nas zamknęły w tym lokaliku, pozostawiając w dostatecznej ilości trunki i coś do przegryzienia. Całą długą noc we dwójkę z Schillerem przegadałem. Mówiliśmy o wszystkim, tylko nie o chwili bieżącej. Było to zupełne oderwanie się od rzeczywistości. Tej nocy nigdy nie zapomnę.

O kawiarni i Orszy mój towarzysz nie wspominał ani słowa — dopiero na rozprawie sądowej odtworzył swe wrażenia i to bardzo subiektywne.

Jednak i ta działalność artystyczna nie poprawiła w Lublinie złej opinii kawiarni. Szczególnie o Orszy mówiono dużo i niedobrze. Wszystkich dziwiły i gorszyły jego przyjacielskie i prowokujące stosunki z gestapowcami, chociaż nikt nie mógł wskazać ani jednego człowieka, który został przez niego aresztowany lub stracony. Nikt też się nie zastanawiał nad osobliwą rolą takiego konfidenta, który jawnie, na oczach wszystkich, afiszuje się ze swymi mocodawcami. Kilku ludziom Orsza pomógł i dzięki jego staraniom i stosunkom zostali zwolnieni z więzienia. Natomiast liczne rzesze tych, którzy zwracali się do niego o pomoc, a którym odmówił, bowiem nie chciał czy też nie mógł nic zdziałać, powiększyły jeszcze grono wrogo nastawionych do niego i całej jego działalności.

* * *

Na początku roku 1942 wyjechał z Lublina Fischoter, przeniesiony służbowo podobno do Kłajpedy. O dalszych jego losach nic nie wiadomo. Zginął bez śladu. Na ten temat krążyły różne fantastyczne plotki, a to, że był na usługach wywiadu angielskiego, jedni mówili, że uciekł za granicę, inni, że został zdemaskowany i stracony — lecz nic pewnego popartego jakimiś dowodami nie udało się ustalić. Mniej więcej w tym samym czasie Willy Stöffel przeniesiony został do Warszawy na poważne, odpowiedzialne stanowisko. Stolik w kawiarni „U aktorów" opustoszał. Gestapowcy przestali przychodzić.

Niewiele wody upłynęło w Bystrzycy, jak dawniej powiadano, a wyniósł się również Orsza. Oczywiście do Warszawy. Tam się zainstalował na stałe i tam we wrześniu 1943 r. otworzył kawiarnię-bar przy ulicy Kruczej, pod nazwą „Flips" — tak bowiem w swoim czasie ochrzcił koktejl własnego pomysłu, który przypadł specjalnie do smaku jego biesiadnikom „spod zegara". Jak więc widzimy, przez to nawiązanie do niedawnej tradycji ciągłość miała być zachowana.

Szczególnym zbiegiem okoliczności opuścił również Lublin Polak, były pracownik urzędu mieszkaniowego, który miał w mieście jak najgorszą opinię i uchodził za notorycznego łapownika, oszusta i szpicla. Tego to osobnika Orsza zatrudnił w swoim nocnym lokalu w charakterze barmana.

Wszystkie te nowiny docierały do Lublina systematycznie i powiększały jeszcze gniew i oburzenie, którym społeczeństwo polskie piętnowało zdrajców.

Skoro zaś dalej zaczęły przybywać nowe wieści, że opiekę nad lokalem objął Stöffel, że Orsza u niego przez dłuższy czas mieszkał przy ulicy Chocimskiej, że ów osławiony barman został zastrzelony z wyroku organizacji podziemnej właśnie w kawiarni „Flips" — przebrała się miara i wszyscy już w Lublinie mieli na temat Orszy jednoznaczny pogląd.

Mówiono: uciekł z Lublina, bo ziemia paliła mu się pod nogami. Nikt jednak się nie zastanowił, że przecież nie ucieka się z mniejszego miasta do większego, nie otwiera się publicznego lokalu, w którym się pokazuje ludziom codziennie, nie rozgłasza się o każdym swoim kroku. Nikt też nie zdziwił się, że skoro organizacja tak łatwo wykończyła barmana, dlaczego oszczędzono głównego organizatora i właściciela lokalu, który się przecież nie ukrywał.

Polacy wtedy myśleli gniewnie i prędko, nie mieli czasu na drobiazgowe rozważania, by podważyć nawet jaskrawe pozory.

Problem kawiarni „U aktorów" i zagadkową rolę Orszy wyjaśnił dopiero pasjonujący proces sądowy w kilka lat po wojnie. Ale o tej sprawie opowiem następnym razem.

Konrad Bielski

Kamena str. 10

Proszę Pana! Już trzy tygodnie czekam na obiecany list. Czyżby wydarzyło się Panu jakieś nieszczęście? Jestem niespokojna... Niech się Pan wreszcie odezwie!

Miły Panie! Długo nie pisałam, bo myślałam, że Pan pierwszy napisze. Teraz jednak zrozumiałam, że to Pan pewnie czeka na potwierdzenie, że istotnie Pan mi się podoba. No cóż... Z rumieńcem na twarzy przyznaję, że tak jest istotnie. W związku z tym...

Drogi Panie! We wtorek przyjeżdżam do Lublina, żeby ostatecznie wyjaśnić naszą sytuację. Wiem, że Pan nie ma pewnie czasu, aby przyjechać do mnie i powinnam być cierpliwa. Ale mam mnóstwo innych propozycji i nie wiem, jak się do nich ustosunkować. Uzależniam to od Pana...

Droga Pani! Ostatecznie wyłączyłem telefon i dzwonek przy drzwiach i na tydzień przeniosłem się do przyjaciela. Tak dawno się już przecież nie widzieliśmy, że najwyższy czas, by sobie pogawędzić. Zwłaszcza, że ma zamiar się ożenić i chciałby zasięgnąć mojej rady.

OGŁOSZENIE MATRYMONIALNE

Henryk Czarnecki

Po krótkiej wstępnej rozmowie, po wymianie uwag na temat pogody przypudrowała nosek oryginalnym angielskim pudremkremem marki Elisabeth Arden à 150 złotych pudełko i zapytała wręcz:

— Gdzie pan pracuje?

Wymieniłem nazwę jakiejś instytucji.

— W jakim charakterze?

A więc sprawa rozwijała się pomyślnie. Otaksowano błyskawicznie moją sylwetkę i przystąpiono do oceny wnętrza. Musiałem więc zrobić co najmniej dostateczne wrażenie, skoro zaczynamy się już kręcić wokół personalnej ankiety. Nazwisko, cechy charakteru i pochodzenie społeczne wpisze się, oczywiście, później, gdy najistotniejsze rubryki zostaną już wypełnione.

Nie była ani piękna, ani brzydka. Ani nawet pośrednia: jej uroda zmieniała się w zależności od moich odpowiedzi. Przybierała interesujący wyraz zaciekawienia, gdy w rubryce pojawiało się coś niejasnego, ale po wyjaśnieniu mogło przybrać wartościowe kształty. Brzydła natomiast szybko, gdy wyjaśnienie było poniżej jej życiowych ambicji.

W zależności od jej reakcji też zmieniałem swoje odpowiedzi. Chciałem wypróbować skalę jej urody, ale wymiary skrajne pozostawiłem sobie dopiero na koniec. Manewrowałem więc w skali od plus dziesięć do minus dziesięć czyli w granicach względnej przeciętności.

Chciałem także wymierzyć jej szybkość poruszania się wzdłuż tego wykresu, szybkość dostosowywania się do aktualnych sytuacji.

A idąc tutaj, do kawiarni, na kolejne matrymonialne spotkanie, nie zamierzałem przecież kłamać. Nie zamierzałem nawet żenić się czy się nie żenić, nie snułem żadnych planów, ale i niczego nie przesądzałem. Po prostu piekły mnie trochę nogi w nowych butach i było mi w danej chwili obojętne, jak potoczą się dalej koleje mojego losu. Chciałem usiąść, odpocząć trochę, jeśli to będzie możliwe — rozluźnić nieco sznurowadło. Ostatecznie samotność też może stać się z czasem dokuczliwa jak niewygodne buty, dlaczegóż więc miałbym się nie ożenić, jeśli na dnie wypitej tu kawy spotkam coś interesującego? Takie wspólne wymieszanie łyżeczką resztek młodości może okazać się równie interesujące jak wrażenie z pierwszego balu, czy początek poematu o Dafnis i Chloe. Tyle przecież doznań czai się na pograniczu każdego wieku, że tylko wariat rozgląda się za zielonymi śliwkami. A przecież i rzeczy dojrzałe mogą być także zielone. Różnym odcieniem tej zieleni.

Jedynym mankamentem mógłby być tylko ten szyld. Ten napis nad ogrodem: „do sprzedania". Ale i w zwykłych napisach spotyka się czasami sens, czemu by więc uzależniać nabycie poematu od niezręcznego tytułu?

Oto jakie myśli rodzą się w głowie człowieka, którego chwilowo pieką nogi.

Niestety, wszedłem jednak do cyrku z magicznymi sztukami i akrobatyką na linie, zamiast do zatoki, która mogłaby okazać się portem.

— Ależ to zupełnie nieciekawa praca — stwierdziła. — I mało opłacalna.

— Jestem jednak racjonalizatorem — uspokoiłem ją szybko. — Za ostatnie ulepszenie wpadło lekką ręką 12 tysięcy premii.

Wskazówka na wykresie jej urody drgnęła i przesunęła się na obszar dodatni. Zatrzymała się chyba na ósemce. Przytrzymałem ją tam przez chwilę.

— To już jest coś.

— Niestety. Było nas sześciu do tej premii. Po odliczeniu z tego podatku wypadło na każdego...

Wskazówka szybko wróciła na poprzednie miejsce. Nawet nieco poniżej. Stała się tak brzydka, że aż zrobiło mi się jej żal.

— Tyle, że to było drobne ulepszenie. Takie drobiazgi trafiają się co miesiąc.

Teraz jest nijaka. Ale i moja wypowiedź nie upoważniła jej do stania się kimś. Czyli: reaguje prawidłowo. To też ważna cecha kandydatki na żonę. Wiele bowiem reaguje odwrotnie i wtedy zupełnie już nie wiadomo, jak się z nimi dogadać.

— Nie takie okazje się jednak liczą — dodałem szybko. — Często trafiały się poważniejsze prace.

Jest znów ładna. Sięgając ręką po papierosy niechcący dotknęła mojej dłoni. Przytrzymałem ją za palec. W kącikach oczu pojawiło się coś filuternego. Coś z małej, przekornej dziewczynki. Moglibyśmy bawić się jak dzieci.

— Ale to było dawniej. Teraz nie mamy już co ulepszać. Przeszliśmy na pełną automatyzację. Już od stycznia.

Wzięła papierosa i cofnęła dłoń.

— Może pan przecież zmienić pracę.

— Mogę. Ale po co?

— Jak to?!

— Po pierwsze w naszej specjalności inżynierów jest dużo i nie tak łatwo znaleźć lepiej płatną pracę.

Schowała papierosy do torebki. Zaraz pewnie zacznie się zbierać do odlotu. A szkoda: zupełnie przyjemnie nam się rozmawiało. Poza tym pieką mnie jeszcze nogi, a nie lubię sam siedzieć w kawiarni. W dodatku rozmawiając nie myśli się o nogach. Właśnie. A jakie ma ona, skoro rozmowa grawituje na najwyższym materialnym poziomie? Trzeba zatrzymać ją jeszcze przez chwilę. Uśmiechnąłem się.

— Po drugie — cedziłem dalej słowa — to moja praca wcale nie jest taka zła. Nigdzie tak często jak u nas nie trafia się możliwość wyjazdów za granicę.

Zerknąłem pod stolik. Jest teraz piękna. Nogi też są piękne. Czyżby i one miały właściwość dostosowywania się do okoliczności? Więcej: mają nawet w sobie coś intelektualnego. Jak jej twarz teraz. Nie są to bowiem nogi niepokojąco — drażniące z dreszczykiem, ale ich szczególna linia jak by zaprasza do innych przeżyć, do wędrówek i fotografowania na ulicach europejskich stolic. Widocznie kobieta ma coś wspólnego z geografią. Szkoda, że nie zdążyłem jej dotąd o to zapytać. Pewnie dlatego, że do tej pory tylko ona pytała. Ale teraz przejdziemy do tematów bardziej przyjemnych. Zacznie mnie wypytywać o obce lądy, klimat, architekturę, kulturę. Sama też pewnie, sądzę to po bluzeczce, była w ubiegłym roku na Węgrzech, od Węgier więc zacznie, jeśli bluzeczka nie jest z komisu.

— Jakie kraje pan zwiedził?

Więc jednak... Zaimponowałem jej. Jeśli już nie moim stanowiskiem to przynajmniej podróżami. Ostatecznie co innego jest wyjechać za uciułane pieniądze z Orbisem na Węgry, a co innego być delegowanym z dietami w dewizach. Jak więc jej teraz powiedzieć, że jedyną dotąd dostępną mi dietą **jest dieta wątrobowa?**

Ale to przecież nie ja drażnię się z myszką. Myszka atakuje pierwsza. Więcej: myszka wcale nie jest samotna, skazana na samotność, nie rozumie nawet samotności. Po prostu chce coś okazyjnie sprzedać, ale sama nie bardzo jeszcze wie co.

I za ile.

*

Szanowny Panie! W załączeniu posyłam bilet do teatru. Jeśli tylko tyle pozostanie z naszych perspektyw, niech Pan ma chociaż przyjemność z obejrzenia interesującej sztuki. Podobno, jak wynika to z anonsu, posiada Pan artystyczną duszę, więc... PS. Miejsce obok Pana zarezerwowałam dla siebie.

Lubię takie niedokończone zdania. To „więc" z wielokropkiem na końcu jest jakimś skrótem myślowym, może wieloznacznością, odrobiną ironii. Ale nie złośliwej. Raczej samoobrona. Chociaż to „podobno"... Czyżby mogła wątpić?

Jest w tym liście także i smutek zręcznie przyczajony między wierszami, rezygnacja zawarta w lakoniczności. No pewnie: co tu dużo pisać, skoro nadzieja ulotna. Może adresat w ogóle się nie odezwie?

Ale jest i ogromna informacja o sobie jeśli adresat potrafi czytać, skala własnych zainteresowań. Teatr to przecież nie kino, ani koncert bigbitowy, ani kawiarnia, gdzie dokonuje się wszelkich towarzyskich transakcji. Więcej: sztuka nie jest nawet komedią, ale intelektualnym dramatem.

Niepokoi mnie tylko post scriptum. Co to znaczy „miejsce obok"? Obok każdego przecież miejsca są zwykle dwa miejsca. Z lewej i z prawej. Czy trudno było to dopisać? Sądząc z budowy zdania pominięto je celowo. Bo skoro kobieta przemyślała wszystko do najdrobniejszego szczegółu z przysłaniem biletu włącznie, to nie sposób było przegapić słowo „z lewej" czy „z prawej". Może zrobiła to na wszelki wypadek jeśli amant okaże się indywiduum o byczym karku? Będzie się mogła wtedy wszystkiego wyprzeć. Tak. Zwłaszcza, że ja mam drugi numer krzesła. Czyli na „jedynce" musi usiąść pojedyncza osoba. Albo nikt. Raczej nikt. Sprytnie pomyślane.

Jest jednak i trzecia jeszcze ewentualność: lewa i prawa strona mojego biletu zostanie zajęta przez dwie panie. Dopiero będę miał się z pyszna, gdy nie będę wiedział, do której się odezwać. Jej koleżanka będzie miała nie lada rozrywkę. Tyle, że to zbyt ryzykowne. Nie zna mnie przecież. Będzie mi mogło wtedy na przykład „odjąć mowę" i kobieta straci okazję. Mogę również okazać się interesującym obiektem i zainteresować się jej koleżanką. Też strata i to już zupełna. Chyba, że przyprowadzi brzydszą. Rozumiem. To ułatwi mi rozpoznanie.

Oto czego można się dowiedzieć z dokładnej analizy listu: NICZEGO.

Na wszelki wypadek kupiłem sobie bilet akurat po przeciwnej stronie balkonu. Posiadając dwa bilety lepiej będzie można obejrzeć sztukę. Z dwóch od razu stron. Najpierw — z daleka.

A jednak nie podoba mi się przedstawienie. Nie jest zgodne z afiszem: bohaterów brak. I źle widać. Zupełnie nic nie widać. Tylko puste fotele po przeciwnej stronie balkonu. A może bohaterka ma tremę i przyjdzie w ostatniej chwili? Po wygaszeniu świateł na sali?

Bileterki zamykają drzwi. Nikt już nie wejdzie. Nikt nie przyjdzie. Gong.

Uśmiechnąłem się. To była ta czwarta ewentualność, której nie doczytałem się w liście. Chciała posadzić mnie na upatrzonym miejscu i obejrzeć z ukrycia. Pewnie nawet przez lornetkę. I wymierzyć swe możliwości.

Bardzo nie lubię występować w monologu. Łatwo się wtedy pomylić. I jak to grać? Farsowo? Od niechcenia? Z dramatycznym patosem obojętności? Najlepiej chyba uśmiechać się do siebie. Albo z siebie. I nie garbić się. Najgorzej, że nie wiadomo, gdzie siedzi publiczność.

Może to ta w różowym sweterku (cóż za okropny gust) w pierwszym rzędzie? Nie! Moja partnerka powinna być tak uroczyście wystraszona, że różowy sweterek byłby nieodpowiedni na premierę. A może to ta, która mi się podobała, gdy wchodziła? Też chyba nie, bo ani razu nie patrzy w tamtą stronę. Poza tym miała zbyt kusą spódniczkę. W ten sposób ubiera się tylko kobieta, która zna już siebie i jest siebie pewna. A ona tu przecież ukradkiem. Nawet przed samą sobą.

Nikt inny się jednak nie wierci i nie rozgląda. Ale muszę ją wytropić. Jeśli nie mogę jej dostrzec okiem, muszę ją choćby wydedukować: gdzie ja bym usiadł, gdybym chciał zrobić to co ona? Oczywiście! Właśnie tu gdzie siedzę. Po przeciwnej stronie zarezerwowanego miejsca. Tutaj. Albo tuż obok.

Odwróciłem dyskretnie głowę: obok mnie siedzi kobieta i uporczywie wpatruje się w przeciwległy balkon. W kąciku oka szkli się łza. Przeżywa pewnie dramat upokorzenia dziejący się na tamtym balkonie. Dramat z nienapisaną rolą, do której zabrakło aktorów.

*

Bywają jednak i przedstawienia złożone. Na podwójnej scenie. Z przodu, na pierwszym planie — romantyzujące dekoracje. Wiele starych drzew, zamek przerobiony na hotel z jeszcze bardziej niż on zabytkową wieżą. Uroki średniowiecza choć pokoje w zamku z bieżącą ciepłą wodą. I drzwi nie zamykają się zbyt mocno.

A w głębi sceny, za dodatkową kurtyną, kawałek zwyczajnego domu. Kilka zwyczajnych sprzętów: mąż, pewnie jakieś dziecko, żeby było smutniej — może być jeszcze teściowa. Albo pelargonie w doniczce, które codziennie trzeba podlewać.

Ewa była jednak inna niż tamte. Nie obnosiła na sobie piętna ogłoszenia. I zachowywała się też normalnie. Po prostu: jak kobieta. Bo wszystkie inne były albo zbyt ciche, marginesowe, albo zbyt krzykliwe. Zbyt ostentacyjnie nie wspominały nigdy o ogłoszeniu, albo powiewały manifestacyjnie gazetą: „ja w sprawie kupna ile rzecz kosztuje, ile pan daje?".

A Ewa szukała tylko ciepła. Poza domem. Jej własny miał uszkodzone kaloryfery. Albo żeberek zbyt mało. I wiało oknami. Była jednak praktyczna: niczego burzyć nie chciała. Ani budować od nowa. Cóż... Bywają takie domy nieszczelne, do których się jednak człowiek przyzwyczaja. Których nie chce utracić. Ale i być w nich bez przerwy — też trudno.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

— Może się bałam? Chciałam coś jeszcze ukraść życiu. Brakowało mi tych dwóch tygodni. Z tobą. Ale zaczarowany zamek był tylko chwilą. I uwierzyłam w niego przez chwilę. Świat jest zbyt ubogi, by mógł istnieć bez złudzeń. A teraz pora mi wracać. Jesteśmy sobie potrzebni. Przyzwyczailiśmy się do siebie. On jest dobry. Tylko dobry. To tak niewiele i jednocześnie dużo.

*

Najbardziej jednak naturalne są rozwódki. Nie szeleszczą sobą w jesiennej tonacji przedwcześnie zwarzonych liści, wiedzą, czego nie chcą, a oswojone z mężczyznami trafnie oceniają ich wady i bezbłędnie dostrzegają zalety. Nawet te, których nie ma.

I jest tych rozwódek tak dużo, że na dziesięć matrymonialnych listów co najmniej siedem pochodzi właśnie od nich. Mimo protestu matematyków i wbrew podstawowym prawom logiki należy uznać, że więcej jest rozwiedzionych kobiet niż mężczyzn. Rozwiedziony bowiem mężczyzna nie jest problemem w skali ani społecznej, ani osobistej. Czuje się na ogół tak beztrosko, że skrzętnie ukrywa przed ludźmi swój błogostan. Jest jednak tak pogodny na twarzy, uśmiecha się do wszystkich i nie garbi na ulicy, że prawie momentalnie zostaje rozszyfrowany i otoczony tkliwą opieką płci przeciwnej.

Rozwódki dzieli się na klasy i grupy. W klasie „A" najliczniej reprezentowane są te zupełnie przegrane, które tak dalece mają już dość mężczyzn, że chętnie by wyszły za pierwszego z brzegu. Pewnie po to, by odegrać się za siebie i za wszystkie kobiety w ogóle. Z prostego też wyliczenia wynika, że każdy mężczyzna będzie lepszy od poprzedniego, skoro tamten był najgorszy. Nie mają więc trudnego wyboru.

Do tej samej klasy wchodzi grupa średnio przegranych. Chcą one jeszcze wygrać swą życiową stawkę, albo przegrać i tę resztę spokoju, który sąd za wysoką opłatą im ofiarował. Niepełna bowiem wygrana jak i niezupełna przegrana stawiają kobiety na rozdrożu, a kobieta chciałaby coś wiedzieć na pewno: czy ma się rozłożyć na całej swej długości i kąsać z niewygodnej pozycji, czy stanąć na nogach z modnie uczesanymi włosami.

Ostatnią grupę w tej klasie stanowią częściowo przegrane. Ponieważ nie bardzo wiedzą z czyjej to nastąpiło winy, chcą wyjść powtórnie za mąż, żeby się ostatecznie upewnić.

Klasę „B" stanowią rozwódki, które wygrały na przegranej. Ich radość z wolności przewyższa bowiem przykrość przegranej i mają tej radości tak wiele, że chciałyby się nią jak najszybciej podzielić.

Najbardziej jednak niebezpieczna jest klasa „C". Należą do niej te, które zastrzegają się z góry, że nigdy więcej nie mają zamiaru wychodzić za mąż. A znajomość chcą kontynuować jedynie w celu wymiany doświadczeń. To często może zmylić przeciwnika. Mężczyzna bowiem, jak dziecko, lubi czuć się bezpiecznym. Klepnie wtedy coś nieopatrznie albo uściśnie dłoń tatusiowi, który coś mówi bełkotliwie, albo przejdzie ulicą obok urzędu stanu cywilnego i bez trudu może w siebie wmówić, że został już ożeniony. W dodatku nie z tą, z którą by chciał.

Wszystkie te klasy, grupy i grupki w obejściu są jednak proste, nie mają uprzedzeń do gazet i ogłoszeń, ujawniają się szybko, nie kryją za węgły i pierwsza z nimi rozmowa nie przypomina forsowania Bastylii. Przy stoliku w kawiarni czują się swobodnie, nie obgryzają ukradkiem paznokci, nie chowają zbyt wiele pod spódniczkę, ale i nie wystawiają zbyt dużo w celach reprezentacyjnych.

Ale to one są właśnie najładniejsze. I zawsze można w nich dostrzec coś więcej; coś czego mąż nie potrafił zobaczyć.

*

Chociaż i wdowy są też interesujące. Tracą dopiero przy bliższym poznaniu. Zbyt bowiem wiele w mieszkaniu tego, który wyszedł. Albo zbyt go już mało i człowiek mimo woli zastanawia się, czy i po nim też tak niewiele pozostanie, jeśli wdowie wypadnie po raz drugi być wdową?

Do tego dochodzi jeszcze kłopot z duchami. Niby ich nie ma, ale tak naprawdę to może przecież gdzieś być. Na przykład w kąciku między szafą a kredensem. Albo za tapczanem. Skąd można wiedzieć, czy nie jest nadal zazdrosny?

Bo wdowa nie lubi umawiać się na pierwsze matrymonialne spotkanie w kawiarni. Najlepiej czuje się w domu. Dom już zagospodarowany. Ciepły. Dom stwarza poczucie domu, a nie jakiegoś tam tylko mieszkania. I może to przemówić dodatkowym argumentem do człowieka, który wyszedł z pociągu i jest mu zimno. Szczególnie jesienią. A tu i kaloryfery grzeją dobrze, okna opatulone na zimę, w kuchni coś smakowicie pachnie. Można polegać na wdo-

Dokończenie na str. 13

Rzeszów: „Kariera Artura Ui" Brechta • Białystok: „Most" Szaniawskiego

Dwa klimaty

Maria Bechczyc-Rudnicka

KIEDY wszelaka bieżąca krzątanina zostawiła mi wreszcie trochę czasu na zaległą relację z mej październikowej wyprawy do Teatru im. Wandy Siemaszkowej — zdarzyło się tak, że właśnie w tym momencie dotarł do mych rąk nr 47 łódzkich „Odgłosów" z artykułem Stanisława Kaszyńskiego pt. „Na przykład Rzeszów", którego to artykułu passus o rzeszowskim teatrze rzecz prosta specjalnie mnie zainteresował.

Okazało się, iż widzieliśmy oboje, w różnych dniach, ten sam spektakl brechtowski: „Karierę Artura Ui" w reżyserii Stanisława Bielińskiego i pewne uwagi autora artykułu dotknęły w jakimś sensie sprawy bardzo żywo mnie obchodzącej. Sprawy interpretacji klasyków (boć do nich Brecht zaliczany już jest).

Mówi S. Kaszyński o „Karierze Artura Ui" m.in.: *...odwijanie anegdoty staje się lekcją ostrzegawczą z niedawnej historii. Pewnie dlatego nie sposób grać tej sztuki inaczej, próby uogólnienia np. w kierunku transpozycji traktatu o despotyzmie w ogóle pozbawiłyby ją wiadomych odniesień, które są jej genezą i motywacją.*

Trudno o bardziej trafne stwierdzenie — jakby uzasadniające koncepcję reżyserską dyr. Bielińskiego. Ze swej strony, do tej obiektywnej uwagi łódzkiego krytyka mam ochotę dodać nie bez pasji: „Chwała Bogu! Szczęśliwy po stokroć Brecht!" Od szeregu bowiem lat liczne u nas próby przeadresowywania nauk moralnych tej czy innej sztuki klasycznej budzą we mnie zdecydowany sprzeciw, niejeden już raz dawałam wyraz poglądowi, że ci, co uprawiają taki proceder w adaptacji, inscenizacji lub komentarzu, są nielojalni zarówno w stosunku do twórcy dzieła, jak do przeciętnego widza, potrzebującego komentarza niezafałszowanego.

Dlatego też, powiem otwarcie, cieszy mnie bardzo, że interpretacja rzeszowska „Kariery Artura Ui" **musiała być** adekwatna intencjom Brechta. Co nam dziś po „traktatach o despotyzmie w ogóle" — trącą one w pewnych sytuacjach pięknoduchostwem — kiedy stoimy wobec największego w chwili obecnej zagrożenia: maniakalnie agresywnego neohitleryzmu.

Stało się wręcz znakomicie, że dyr. Bieliński wystawił „Karierę Artura Ui". Wprawdzie, jak S. Kaszyński, nie przepadam za Brechtem. Nie z powodu „łopatologii": plakatowość stosował również genialny Majakowski (łącząc zresztą po mistrzowsku sprawy codzienne z najbardziej przejmującą poezją). Nie — po prostu mam abominację do brechtowskich songów, które kto wie, czy nie przyczyniły się cokolwiek do rozpętania bezczelnej grafomanii, jaka straszy w tekstach festiwalowych i w telewizyjnej Giełdzie Piosenki. Ale „Kariera Atrura Ui" jest najlepszą, najaktualniejszą sztuką Brechta, niesłychanie dziś funkcjonalną na przestrzeni całego globu ziemskiego — wobec coraz mniejszego uświadamiania sobie przez młodzież ogromu zła, które wyrządził światu hitleryzm.

Konsekwentnie nie zgadzam się ze zdaniem, że postać Artura Ui można interpretować rozmaicie, że „nie ma jednego Artura Ui"!

Otóż zjawisko zwane hitleryzmem było właśnie czymś jedynym w natężeniu zbrodni, czymś, czego świat nigdy przedtem nie widział. Znamy wiele imion czy nazw, które stały się synonimem despotyzmu i okrucieństwa: Neron, Czingiz-Chan, Święta Inkwizycja, Torquemada, Sawonarola, Ryszard III, Iwan Groźny, ekstremiści francuscy 1794 r. i inni, mnóstwo innych, których nomina sunt odiosa. Lecz nikt na całej przestrzeni dziejów nie wytworzył zła w takiej skali, jak hitleryzm, nikt nie ujął zagłady ludów w tak żelazny, do najdrobniejszych szczegółów przemyślany system. Toteż nie obawiam się demonizowania tej gansterskiej paraboli, jaką jest „Kariera Artura Ui", nie boję się dla tej sztuki chwytów Grand Guignolu lub, powiedzmy, teatru okrucieństwa, raczej z wyrzeczeniem się stylowej groteski, bo śmiech rozładowuje grozę. Nie sądzę, by dosłowna interpretacja aluzji, albo i wręcz stosowanie pastiche'u w rysunku postaci, szkodziły artystycznej fakturze „Kariery Artura Ui". Niezachwianych walorów artystycznych dodaje tej rzeczy już choćby nawiązanie do teatru elżbietańskiego, ów uroczysty jedenastozgłoskowiec, i reminiscencje z Szekspira czy też Goethego.

Dyr. Bieliński stylizował swoje przedstawienie na modłę cyrku. Nikt nie zaprzeczy reżyserowi prawa zastosowania modnej koncepcji, zwłaszcza, gdy realizuje ją konsekwentnie, jak to było w Teatrze im. W. Siemaszkowej. Dzięki odpowiedniej obsadzie spektakl jest kulturalny, czytelny, równy, bez pustych miejsc, pochłaniający uwagę widza. Przyjemnie było widzieć młodzieżową, szkolną widownię, śledzącą w napięciu przebieg wydarzeń scenicznych.

Państwowy Teatr im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku. Jerzy Szaniawski — „Most". Barbara Łukaszewska (Helena) i Bronisław Orlicz (Gość).

Arturo Ui vel Hitler w ujęciu Józefa Jachowicza, młodego utalentowanego aktora, którego już widziałam bodaj dwa lata temu w innych rolach — jest może trochę nadto ustawiony na błazna i psychopatę (ja się ciągle boję, że to rozbraja widza), ale w końcowym przemówieniu osiąga tragicznie groźne akcenty, wstrząsające widownią. Wydaje mi się, że charakteryzacja „na Hitlera", zastosowana w finale, mogłaby być pomocna aktorowi od samego początku, tym bardziej, że Brecht nie jest psychologiem par excellence, jego postacie są gotowe od początku sztuki, nie przechodząc przeważnie większej ewolucji charakterologicznej.

Nobliwego i inteligentnego zapowiadacza gra Stanisław Bieliński, utrafiając też w sedno gangsterskiej natury ironicznego i zaczajonego Givoli-Goebbelsa. Zabawny i należycie wulgarny jest Giri („gruby myśliwy" Goering) w interpretacji Zdzisława Kozienia. Z kolei Ireneusz Erwan ma prawo zaliczyć do swych sukcesów rolę Starego Dogsborough (scena testamentu), a także nasz dawny lubelski aktor Henryk Gonda — rolę Dullfeeta oraz Danuta Makulska — postać Betty Dullfeet (rozmowa z Arturem — à la Ryszard III i Anna). Dekoracja Wojciecha Siecińskiego jest konsekwentnie potraktowana jako namiot cyrkowy. Muzyka (Hans-Dieter Hosalla), miejscami złowieszczo ostra, gdzie indziej w zamierzeniu tandentna, należy do walorów przedstawienia.

W sumie (streszczam się, bo streszczać się muszę) — spektakl ten jest jednym z wartościowszych dokonań naszego współczesnego życia teatralnego.

•

Przyjeżdżając po dłuższych peregrynacjach teatralnych (Kraków, Wrocław) do Białegostoku, zanurzyłam się w zgoła odmiennej atmosferze artystycznej. Grano właśnie „Most" Szaniawskiego. Zdawało mi się a priori, że lepiej byłoby zobaczyć już nieco zapomnianego dzisiaj Shawa (Teatr im. Aleksandra Węgierki ma w repertuarze „Żołnierza i bohatera"') bądź nowość z 1966 roku — „Punkt C" Yves Jamiaque'a. „Most" się zna przecie nazbyt dawno. Słuchając w I akcie dialogu głupkowatego Janka z Tomaszem, myślałam sobie: — Jak już jednak dzisiaj myszką trąci to lekceważenie przez wieś pracy umysłowej. Obawiałam się w duchu, iż jestem skazana na dwie godziny nudy teatralnej, najbardziej okrutnej i bezsensownej z nud świata... Tymczasem już pod koniec aktu zaczął mnie hypnotyzować (w najlepszym sensie słowa) klimat artystyczny i moralny Jerzego Szaniawskiego. Ze sztuki napisanej w r.1933 zaczęły się wyłaniać najzupełniej dzisiejsze problemy! Chciażby z chwilą, gdy młody architekt, syn Przewoźnika, mówi do swej narzeczonej:

Przyjechałem tu kiedyś, jako siedemnastoletni chłopak. Jako taki uczniak — mądrala zadeklamowałem ojcu, że most to postęp, że dobro ogółu, że sprawy jednostki powinny się podporządkować, pamiętam, tak się wyraziłem: „podporządkować" sprawom ogólnym...

Albo na przykład to... Znamy zasadniczy moment akcji: Przewoźnik przepływa na lichym czółnie w czasie kry wzburzoną rzekę, ażeby zawieźć w terminie na pocztę konkursowy projekt gmachu dla „Ligi przyjaciół człowieka". Cóż za dosadne zestawienie: z jednej strony cena czyjegoś życia, z drugiej — *piękno, wzniosłość, gmach, na który zwrócą się oczy całego cywilizowanego świata... — Nieprawda* — mówi architekt Tomasz — *że to więcej warte od życia człowieka.*

Subtelny, wnikliwy, ludzki teatr Szaniawskiego pokazuje trudne konflikty, pozostawiając widzowi wybór rozstrzygnięcia na ryzyko własnego sumienia.

Spektakl „Mostu" w reżyserii dyr. Bronisława Orlicza angażuje widza emocjonalnie. Zwłaszcza przejmująca jest scena aktu II, w której Tomasz, Helena, Janek i Marysia śledzą przez okno ruch czółenka Przewoźnika.

Barbara Łukaszewska (Helena) i Stanisław Siekierski (Tomasz), nie szukając sytuacji sentymentalnych, prowadzą ciekawie swoje dialogi, tak że donoszą do widza bogatą zawartość myślową sztuki. Ciepło potraktowali Janka i Marysię Tadeusz Zapaśnik i Barbara Komorowska.

Znany aktor Eugeniusz Dziekoński stworzył sugestywną postać wrogiego mostowi Przewoźnika, starca dumnego, zamkniętego w sobie, przed którym drżą domownicy. Wydaje się jednak, że można było osiągnąć większe prawdopodobieństwo końcowego przełomu duchowego, wyciągając konsekwencje z cierpień, na jakie naraziło Przewoźnika smutne doświadczenie z drugą żoną (kwestia dotycząca tej przygody przemknęła niepostrzeżenie — a może jej wcale nie było?).

Dziwne czas robi niekiedy zaskoczenia artystyczne. Teraz, po latach, zainteresowanie widza przesunęło się nieco z osoby Przewoźnika na postać Gościa. Pamiętacie tę postać, jedną z ulubionych tajemniczych postaci pierwszych trzech dziesięcioleci naszego wieku? Szaniawski wyjaśnia po kilku kwestiach: jest to agent policyjny. Ale „tajny" agent i coś z tajemniczości pozostaje przy nim do końca. Człowiek wykolejony. Dlaczego? Mniejsza o to w tej konkretnie sztuce. Dość, że facet mówi ciekawe rzeczy, jak ta: „Ja swoim gadaniem chcę coś w sobie zagłuszyć, zakłamać, a pani swoją mową chce prawdę gwałtem wyświetlić". Zaryzykowałabym twierdzenie, że Bronisław Orlicz, wykonawca roli, wysunął się na czoło całej obsady.

Stary zajazd według projektu scenograficznego Zbigniewa Więckowskiego jest nastrojowy.

Kamena str. 12

POWTÓRKA Z POLSKIEGO

Sztuka w służbie Kościoła

Urszula Kowalska

ROZMOWY z nauczycielami lubelskich szkół średnich wykazały potrzebę przeprowadzenia w ramach tego cyklu ogólnej charakterystyki okresów i prądów literackich z zaznaczeniem ich tendencji i cech szczególnych. Rozpoczniemy od uwag na temat średniowiecza.

Nasze wyobrażenia o średniowieczu jako o epoce kulturalnej nie są zbyt bogate; wiemy, że były to czasy hegemonii Kościoła katolickiego, potężnej instytucji, skupiającej w swych rękach największe zasoby ekonomiczne, dyktującej politykę całej Europie oraz określającej miejsce jednostki w tak ukształtowanym świecie. Ponadto średniowiecze kojarzy się nam z ponurą ascezą, której najlepszym przykładem jest „Legenda o św. Aleksym", głosząca ideał zachowania się człowieka bardzo daleki od naszych wyobrażeń o tym, jak powinno wyglądać ludzkie życie.

Jest faktem, że dla człowieka wieku XX wartości, proponowane przez tamten okres, są obce i nie do przyjęcia. Średniowiecze było epoką o dosyć jednolitym i spoistym systemie światopoglądowym, okresem sakralnym, tzn. takim, w którym dążenia człowieka do przekształcania świata oraz tworzone przez niego wartości kulturalne były wyznaczane i określane przez ideologię Kościoła, dyktującą system wartości. Największym dobrem był Bóg, wyobrażany jako surowy sędzia i rejestrator ludzkich przewinień i słabości. Człowieka uznawano za istotę niedoskonałą, wystawioną w życiu doczesnym na próby i pokusy świata. Najważniejszym zadaniem tak pojętej jednostki było przezwyciężanie własnych słabości i zasługiwanie na żywot wieczny po śmierci.

Naczelną zasadą światopoglądową wieków średnich był uniwersalizm katolicki, to jest przekonanie, że nie liczy się człowiek jako jednostka ani jako przedstawiciel swojego narodu; liczy się tylko i wyłącznie jego przynależność do katolickiej wspólnoty, do „kościoła wojującego", którego zadaniem jest utrwalenie i rozszerzanie wiary oraz dbałość o zbawienie wieczne.

Nie znaczy to wcale, że nie istniały próby częściowego choćby wyłamania się z tych zasad, próby kończące się najczęściej przegraną śmiałków, takich jak król Henryk, który odziany w wór pokutny i posypawszy głowę popiołem, musiał iść do Canossy ukorzyć się przed namiestnikiem Boga na ziemi; jak nasz Bolesław Śmiały, który za bunt zapłacił utratą korony i życia. Inne próby, mniej śmiałe i dokonywane przez ludzi nie stojących na społecznym świeczniku, również były tępione, ale nie zawsze kończyły się tak tragicznie. Znamy jednak aktywność św. Inkwizycji, instytucji zorganizowanej przez Dominikanów (sami siebie nazywali oni psami Pańskimi) do tępienia kacerstwa, wykazującej daleko posunięte zainteresowanie życiem publicznym i prywatnym katolików i tropiącej każdy przejaw wolnomyślicielstwa. Człowiek osaczony przez system zakazów i nakazów musiał podporządkować tworzone przez siebie wartości kulturalne obowiązującemu systemowi.

Naczelna dewiza sztuki średniowiecznej brzmi — „ku większej chwale boskiej" (ad maiorem Dei gloriam); zasada ta wyznaczała zadania sztuki i rolę twórcy, nic więc dziwnego, że przeważająca liczba artystów pozostała dla nas anonimowa, bowiem pokora katolicka nakazywała im bezimienność w służbie idei.

Wartości artystyczne są zawsze kształtowane przez treści ideowe okresu. Wiemy, że światopogląd średniowiecza, wyznaczany przez jego główne koncepcje filozoficzne (scholastycyzm i mistycyzm), opierał się na przesłankach pozaracjonalnych, więc i w sztuce nie obowiązywało podobieństwo do rzeczywistości. Spotykamy w niej często elementy fantastyczne, nadprzyrodzone, np. postaci aniołów czy diabłów, wyobrażenia o świecie nadzmysłowym, wreszcie przykłady ingerencji sił nadprzyrodzonych w życie człowieka i porządek świata. W żadnej innej sztuce nie znajdziemy chyba tak wielu przypadków cudowności, przykładów absolutnego podporządkowania człowieka i świata siłom pozaziemskim.

Przywykliśmy dzielić najogólniej sztukę średniowieczną na sakralną i świecką. Rozróżnienie to nie jest zbyt ścisłe, ponieważ i na świeckiej zaważyła ideologia Kościoła, jakkolwiek sztuka ta powstawała na wielkich dworach feudalnych na zamówienie warstwy rycerskiej. Sztuka sakralna miała charakter użytkowy: zaliczamy do niej architekturę, rzeźbę, malarstwo sakralne, muzykę i literaturę. W literaturze kościelnej wykształciły się takie gatunki jak hymny, pieśni, kazania, żywoty świętych, oraz dwa typy dramatu — misterium i moralitet. W literaturze świeckiej przeważały romanse sławiące ideał rycerza, pieśni rycerskie, liryka miłosna adresowana do żon feudałów, romanse pseudohistoryczne, awanturnicze albo moralizujące, traktaty i dialogi oraz kroniki sławiące władców.

Nie były to jedyne formy twórczości literackiej, gdyż równocześnie z oficjalną rozwijała się bezimienna, niepisana literatura ludowa, czerpiąca tematy z przeszłości wcześniejszej niż chrześcijaństwo, sięgająca do tradycji plemiennych i prastarych, tępionych przez Kościół wierzeń. Nie bardzo wiemy, jak ona wyglądała, bo zachowały się nieznaczne tylko fragmenty przekazywanych z pokolenia na pokolenie pieśni obrzędowych i ludowych opowieści. Dopiero romantyzm, widzący w twórczości ludu nieprzebrane zasoby piękna i mądrości, ocalił od zapomnienia te utwory, które w formie już zmienionej przechowały się w pamięci narodu. W Polsce pracy tej dokonał O. Kolberg, zasługując się pamięci i wdzięczności nas wszystkich.

Oficjalna literatura średniowieczna w Polsce była w przeważającej mierze kościelna, nie mieliśmy bowiem wielkich dworów feudalnych, skupiających, jak na Zachodzie, trubadurów, truwerów i minnesingerów. Ludźmi wykształconymi, umiejącymi pisać, byli przeważnie duchowni, często obcego pochodzenia, którzy nie dostrzegali potrzeby używania języka polskiego, zwłaszcza, że całe piśmiennictwo wszystkich krajów Europy było dwujęzyczne: obok języka narodowego, który uchodził za gorszy, ludowy, używano łaciny jako języka urzędowego i kościelnego. Okazało się jednak w praktyce, że potrzebna jest również literatura kościelna w języku polskim, która by zbliżyła i utrwaliła katolicyzm szerokich mas szlacheckich i ludowych. Zaczęły więc powstawać w języku polskim pieśni i kazania, żywoty świętych, legendy i traktaty.

Najstarszą i najpiękniejszą pieśnią jest „Bogurodzica" pełniąca przez kilka wieków rolę hymnu narodowego. Odznacza się ona wyjątkową kunsztownością, melodyjnością i wzruszającym do dziś podniosłym nastrojem. Większość utworów literackich tamtych czasów spotkało zapomnienie. Stały się one zabytkami językowymi, dokumentami obyczajowości swojej epoki i (chętnie pomijaną!) lekturą studentów polonistyki. Taki los stał się udziałem nieciekawej literacko, ale interesującej od strony społecznej „Satyry na leniwych chłopów", „Pieśni o zabiciu Jędrzeja Tenczyńskiego", naszpikowanej typowo średniowieczną alegorystyką „Rozmowy mistrza Polikarpa ze Śmiercią" czy traktatu Słoty „O zachowaniu się przy stole", usiłującego odgrywać w tamtych czasach rolę poradnika bon-tonu.

Literatura średniowieczna stosowała szeroko jako środek artystycznego wyrazu różne typy alegorii: przez pojęcie alegorii rozumie się obraz opatrzony emblematem, znakiem rozpoznawczym przekazywanych przy jego pomocy treści. Emblemat taki musi być znany szerokiej rzeszy odbiorców dzieła sztuki czy utworu literackiego. Kościotrup trzymający kosę oznacza śmierć, postać ludzka z palmą w ręku oznacza męczennika, gołębica — Ducha św., oko w trójkącie — opatrzność boską itd. Oprócz tego typu alegorii spotykamy często uosobienia, tzn. występujące w literaturze postaci Prawdy, Miłosierdzia, Duszy, Niezgody, Głupoty i inne.

Dla uzyskania szczególnej ekspresji stosowano często elementy brzydoty, np. w wyobrażeniach diabła, grzesznika czy śmierci. Literatura średniowieczna nie cofała się przed elementem makabryzmu, czego najlepszym przykładem jest wyobrażenie śmierci we wspomnianej już „Rozmowie mistrza Polikarpa", gdzie występuje ona jako rozkładający się trup. Poza tym literatura ta akcentuje myzogynizm, czyli niechęć do kobiet jako źródła wszelkiego zła na świecie.

Zbyt wiele nas dzieli ideowo i językowo od literatury średniowiecza, by mogła ona stanowić jakąkolwiek dla nas perspektywę. Jeśli się z niej cokolwiek zachowało, to przez pryzmat baroku i romantyzmu, które szukały w niej inspiracji.

OGŁOSZENIE MATRYMONIALNE

Dokończenie ze str. 11

wie: to nie będzie przecież związek z kobietą, która raptownie zmienia swoją niezależność cywilną, jak, na przykład, zmęczona swoim panieństwem panna, która trzęsie się z ochoty, ale i ze strachu przed nową erą w jej życiu. Wdowa jest już w naturalny sposób wprowadzona w stan wspólnoty, nie została, jak rozwódka, wysadzona z małżeńskiego siodła i wie, czego może oczekiwać od siebie i partnera.

— Woli pan coś gorącego, czy kanapki?

— Wszystko jedno.

— Uważam, że przed podróżą trzeba zjeść coś konkretnego. A kanapki zapakuję panu na drogę. Z papryką — uśmiechnęła się figlarnie. — Mężczyźni to podobno lubią.

Otóż to. Ma, oczywiście, na myśli swojego męża. Będzie mnie teraz wciąż z nim porównywać. I on będzie miał zawsze nade mną przewagę. Nie odszedł przecież. Wyszedł tylko na chwilę. Zostawił w przedpokoju parasol i mit, który w niej procentuje. Tak. Tu już nie można niczego budować od początku. Ani w miejscu dawnych ruin. Tu trzeba kontynuować. Tworzyć ciąg dalszy w oparciu o tradycję. Nie wolno przekraczać linii, którą wykreślił. Jakaś średnia dla domu została już wytyczona i zaakceptowana. I porośnięta nietykalnymi kwiatkami, które wspólnie powinniśmy podlewać amen.

•

A na dworze wiosna. Albo jesień. Jedno i drugie zresztą doskonale z sobą harmonizuje. Już ciepło, jeszcze ciepło... Najważniejsze, że w ogóle ciepło.

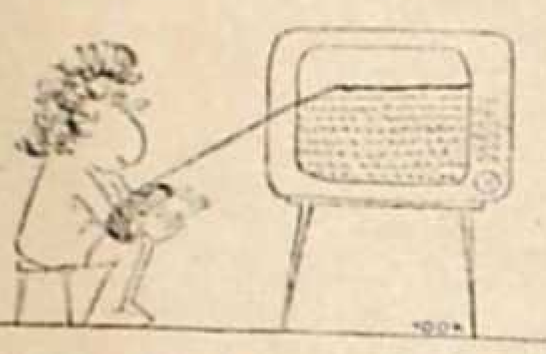

„Wdowa najlepiej czuje się w domu..."
Rys. A. Stok

Wiosna lgnie do jesieni. Łatwiej zdać w sesji jesiennej swój pierwszy egzamin. Czytam właśnie jej pracę pisemną.

Jestem studentką, mam lat dziewiętnaście i...

Treść mało ciekawa, ale błędów ortograficznych brak. No i te daty...

Wrześniowi mężczyźni też chętnie lgną do najświeższej młodości. Do po raz pierwszy narysowanych przez naturę krągłości. Mogą być wręcz nawet brzydkie (byle widoczne), ale rozbrajają swoją naiwnością. Takie to wszystko przyjemnie śmieszne, dziewczyna nie bardzo wie jeszcze, czy należy to ukryć czy wyeksponować, więc robi i jedno i drugie, tyle, że nie we właściwym czasie. Więc mieć to wszystko na stałe, blisko siebie, śledzić jak to się rozwija, dojrzewa, rośnie...

Bo mężczyzna nie starzeje się przecież nigdy Nawet drepcząc reumatycznymi nogami czyni to z wdziękiem. W każdym wieku odnajduje w sobie coraz to nowe uroki. Za każdym razem większe od poprzednich.

Posiada także zmysł matematyczny: dąży do utrzymania średniej. Im sam jest starszy tym żwawiej ogląda się za coraz młodszymi. Jeśli więc średnia nie wypadnie sama z prostego matematycznego wyliczenia, to dziewczyna pomoże mu ją wyprowadzić. Uzupełni sobą to, co mężczyźnie ubyło. Pomoże mu być młodym. Rozdmucha w nim tlącą się iskierkę do wielkiego pożaru. A jeśli nawet dziadzio sam nie weźmie w nim udziału, to chociaż sobie popatrzy i przypomni, jak to się kiedyś paliło.

Ale to są jeszcze rzeczy odległe. Dziś leży przede mną praca pisemna. Uboga, ale może egzamin ustny wypadnie lepiej?

Zastanawiam się tylko, po co potrzebny jej w domu telefon? Mieszka przecież sama. Raczej skromnie. Na mansardzie. Gdyby studiowała w Akademii Plastycznej na pewno by można zabudować ją inaczej, jeśli już nie chciałaby przerobić jej na pracownię. Przede wszystkim należałoby wymienić staroświecki zamek z antabą na bardziej nowoczesne zamknięcie. I wyrzucić ten ohydny haczyk na drzwiach.

— Co pani studiuje?

— Polonistykę.

Wyglądałem bardziej na inżyniera niż na humanistę, więc dobrze to sobie wymyśliła. Trudno mi więc będzie sprawdzić, na ile to wszystko jest prawdą. Poprzednia bowiem kandydatka była tylko pielęgniarką podającą się za lekarkę, więc gdy poprosiłem ją o receptę na proszki nasenne, które przecież wszędzie można kupić bez recepty, w ogóle nie przyszła na następne spotkanie z obiecaną receptą. A może wystraszyłem ją łacińską nazwą typowo kobiecej choroby mojej mamy, którą przypisałem sobie? Ale powiedziała mi przecież, że to nic groźnego i szybko się z tego wyleczę.

— A Owidiusza czyta pani w oryginale, czy w tłumaczeniu?

— Teraz w ogóle nie czytam, bo jeszcze wakacje.

Odpowiedź rozsądna i szybka. Nawet nie zdążyła się zarumienić. Ciekawe, czy będzie jeszcze politykować, czy też uziemiłem ją tym Owidiuszem?

— Powiem panu prawdę. Łatwiej nam będzie wtedy ze sobą rozmawiać. Ale z tą polonistyką to wiele nie zbujałam. Naprawdę bardzo lubię książki i chciałam ją studiować.

— Rozumiem.

— Ale mi nie wyszło i jestem technikiem budowlanym. Dwa lata temu skończyłam technikum. Wcześnie straciłam rodziców i...

— Dajmy już rodzicom spokój — wtrąciłem.

— Jak pan uważa — zgodziła się szybko. — Niech więc będzie tylko ojciec. To znaczy, że ojciec umarł.

Nie jest uparta. To dobrze. Bo przecież mogłaby się uprzeć przy obojgu rodziców.

— Ale po co my właściwie rozmawiamy tak smutno? Napije się pan kawy?

— Chętnie.

— Zaraz zmielemy świeżą.

Przebiegła przez pokój i pochyliła się nad najniższą szufladką. Wyglądała bardzo dziewczęco w tym krzątaniu się opalonymi nogami wokół swoich spraw.

— Ojej! Już nie ma?... Nie śmiem pana prosić, ale gdyby pan zechciał zejść na dół do sklepu...? W tym samym domu. Zaraz dam panu pieniążki.

— Niech pani ich nie szuka. Zaraz przyniosę.

Przyniosłem kawę, herbatę i trochę herbatników. I puszkę konserw na kolację. Pieczywo chyba na pewno ma w domu.

W ogóle pokój wygląda teraz przyjemniej. W międzyczasie zdążyła uprzątnąć to i owo. Zmieniła nawet bluzeczkę na inną. Z dekoltem w serek. Teraz istotnie wygląda na dziewiętnaście lat, bo przecież w rzeczywistości, to... Ma jednak więcej niż dwadzieścia dwa. No, może dwadzieścia siedem... Ale w takim razie chciałaby naprawdę wyjść za mąż. A ona nie chce. Więc może jednak rzeczywiście ma tylko dwadzieścia cztery? I trochę wolnego czasu przed sobą?

— Jest pan strasznie fajny. O wszystkim pan pomyślał.

A więc i ona o tym pomyślała. Zostawiła mi jednak dużo samodzielności w decyzji, co przynieść. Słusznie. Mężczyzn nie wolno wszystkiego pozbawiać.

Usiedliśmy do stołu. Właściwie koło stołu, bo wygodniej się przecież rozmawia siedząc na tapczanie niż wyprostowanym — na krzesełku.

— Co panią skłoniło, żeby tak wcześnie wychodzić za mąż?

— Wcale nie jestem pewna, czy rzeczywiście tego chcę. Ale skoro inaczej nie można...

— Czego nie można?

— Mieć przyjaciela, opiekuna, kogoś, na kogo można zawsze liczyć, poprosić o radę... Widzi pan, wolałabym mieć przy sobie bratnią duszę niż wiązać siebie i kogoś na całe zaraz życie. Spotykalibyśmy się od czasu do czasu, wyjeżdżali wspólnie na urlop, pomagali sobie wzajemnie...

— Nietrudno przecież w pani wieku znaleźć sobie równie młodego chłopca i...

— Nie, nie! Odpada. To nie może być ktoś zbyt młody. Nie lubię zresztą mężczyzn niewiele starszych od siebie. To musiałby być ktoś w pana wieku. Mężczyzna dorosły, a jednak — właśnie jak pan wciąż młody.

Wzruszyłem się. Ogromnie wdzięcznie przeprowadza swój niewdzięczny plan. Biedne dziewczę. Chce się wygodnie kształcić i brak jej pomocy naukowych. Kto wie, czy nawet nie powinienem w tym miejscu powiedzieć: „pójdź dziecię, ja cię uczyć każę". No, ale początki opanowała już dość dobrze i może da sobie sama radę? Jest przecież dość ładna.

— Całkowicie się zgadzam z pani poglądem na świat — powiedziałem zamiast tego, co powinienem, bo wydawało mi się, że zabrzmiałoby to jak fragment wiersza Konopnickiej. A dziewczyna nie stoi przecież przed sądem, tylko w przyjemny sposób siedzi na tapczanie nakrytym różowym pledem.

— Naprawdę!? — ucieszyła się?

— Oczywiście!

— I gdyby spotkał pan dziewczynę o podobnych poglądach, która by się panu podobała, to...?

— Właśnie spotkałem. Ale nie wiem, czy i ja się jej podobam.

— To się jeszcze okaże. — Cofnęła się nagle przezornie. — Wrócimy do tego tematu.

I słusznie. Rozsądnie uznała, że chociaż pierwsze i ostatnie lody zostały już przełamane, to jednak w środku pozostała luka, której nie da się zapełnić byle czym.

— Może nawet już jutro — dodała szybko, by nie odstraszyć zbyt długim terminem.

Nazajutrz, gdy znów przyszedłem, była chłodniejsza. Wczorajszy entuzjazm ustąpił miejsca łagodnemu przygnębieniu. Może dlatego, że padał deszcz. Albo, że nie padał?

Stanąłem obok niej przy oknie. I powoli bardzo powoli, zaczął się nastrój zmieniać. Tak jak powinien się nastrój zmieniać, żeby wszystko wyglądało naturalnie, ale rzeczowo. I w odpowiednim czasie.

Oparła mi włosy na ramieniu. Zupełnie bezwiednie przytuliłem ją lekko do siebie. Równie powoli podniosła głowę i spojrzała mi w duszę swymi rozszerzonymi, dziecinnymi oczami.

— Chciałam ci coś powiedzieć — łagodnie przeszła na ty.

— Słucham.

— Zresztą to nic ważnego i chyba w ogóle nie warto o tym mówić. Nie wiąże się to przecież z niczym.

Wiedziałem, że się wiąże, ale uspokoiłem ją natychmiast.

— To nie mów.

Żachnęła się.

— Dlaczego miałabym ci nie powiedzieć, skoro jesteś moim przyjacielem? Chcę, żebyś wszystko o mnie wiedział.

— Ależ oczywiście.

— Kiedy to naprawdę nic poważnego. Po prostu zmieniam pracę.

— Na lepszą?

— No pewnie. Znajomy dyrektor obiecał mi stanowisko kierownika budowy. Od pierwszego września.

— Minął już piętnasty — zauważyłem.

— Właśnie. Wymówiłam posadę w dawnym zakładzie z końcem sierpnia. Wykorzystałam urlop i...

— I...?

— W międzyczasie zmienił się dyrektor. I przyjął na to miejsce kogoś innego. Ale to drobiazg, prawda? Będę przynajmniej miała więcej czasu dla nas. Cieszysz się?

— No pewnie.

Zbyt to było jednak precyzyjne i prawdopodobne, aby mogło być prawdziwe. Jak wykuta na pamięć lekcja i powtarzana kilkakrotnie. A prawda na ogół ucieka od szablonów, komplikuje się w miejscach najmniej spodziewanych, potyka się na najbardziej równej drodze.

Uśmiechnęła się i posmutniała. Słusznie. W tym miejscu powinienem powiedzieć coś więcej niż „no pewnie". Jestem przecież — zgodnie z jej gustem — dorosły i czas żebym już wiedział, że dziewczyna nie składa się z samych tylko uciech. Że nie wystarcza tylko mi się cieszyć z jej wolnego czasu, który wspaniałomyślnie pragnie przeznaczyć „dla nas", ale należy zainteresować się jej losem. Pierwszego września nie otrzymała przecież pensji i może dlatego właśnie zabrakło kawy w szufladce?

Niestety, mężczyźni z reguły są mało domyślni. I jeszcze mniej praktyczni. Tworząc rzeczy wspaniałe nie rozumieją jednocześnie podstawowych mechanizmów rządzących światem. Trzeba więc im dać dziesięć minut do namysłu, a jeśli to nie pomoże, podpowiedzieć co należy.

Pogłaskałem ją po włosach. Stała się znów liryczna.

— Zarecytuję ci coś z „Oniegina" — zaproponowałem.

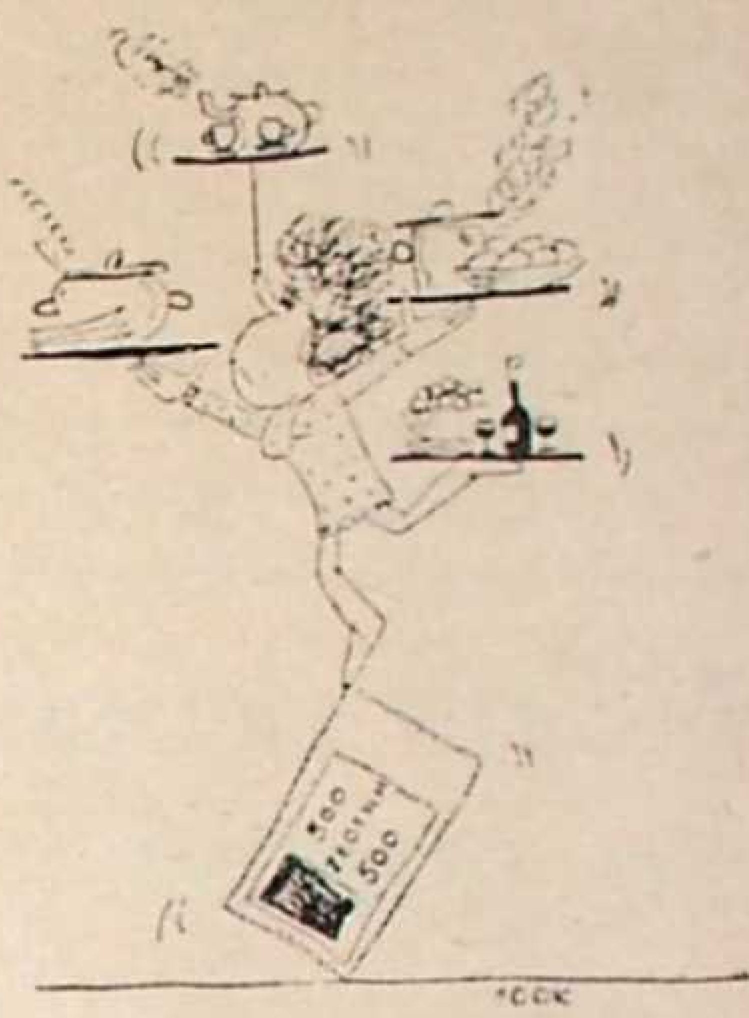

„Spróbuję pożyczyć te pięćset złotych"
Rys. A. Stok

Spojrzała na mnie jak na wariata, ale opanowała się jeszcze.

— Za chwilę. Muszę tylko zadzwonić. Bo potem nie złapię jej w domu.

Telefon... Rzeczywiście. Zapomniałem już o nim. Swoim kształtem uzupełnia braki w umeblowaniu, podnosi intelektualną wartość mieszkania, a przy tym — jaki praktyczny. Ile spraw można dzięki niemu załatwić!

Podniosła słuchawkę i wykręciła cztery cyfry. Zapomniała o piątej, ale widocznie nie była ona potrzebna, bo i tak połączyła się z właściwym odbiorcą.

— Irena...? To ja... Co...? Wyjeżdżasz już jutro...? Aha, wieczorem... Słuchaj, Ireno. Jeśli to możliwe, to ten dług oddam ci dopiero po twoim powrocie, dobrze?... Wiem, że ci potrzebne, ale... No dobrze, dobrze. Spróbuję jutro pójść do Kowalskich i pożyczyć te pięćset złotych...

Oparłem się o okno. Pięćset dla „Ireny", drugie pięćset na życie do końca miesiąca. W granicach przyzwoitości.

Podeszła do mnie i spojrzała mi w oczy. Zacząłem recytować „Oniegina".

Henryk Czarnecki

OD REDAKCJI. Przed rokiem, w numerze świątecznym wydrukowaliśmy pierwszą część „Ogłoszenia matrymonialnego". Obie części można też traktować jako oddzielne całości.

Jan Lohmann

Poezja

Stare Artystyczne Bibeloty Przyzwyczajenia
Malowanki Na Szkle Figurka z Saskiej
Porcelany z Urwaną Głową
Miasto O Porze Zapalania Latarń
Okrągłe Kolana Dziewcząt Dźwięk
Wschodzącego Światła
Brzęczący W Słońcu Sad
Wyrażanie Tego Co Nie Wyrażalne
Poezja

Ujarzmianie Twojej Woli
Powożenie Młodymi Końmi
— Odjazd
Gdziekolwiek

Poezja Obrazy Odnajdywane W Pamięci
Czytanie Książek Których Nikt Nie Czyta
Ocalałe Pośród Strat Słowo
Narodowy Język
Mów Wiersze Kiedy W Okół Stoi Wielka
Cisza
Mów Tak Zwyczajnie Jak Rano Śpiewa Ptak

Kraków

Wiesław Malicki

jeżeli tak bolą

jeżeli tak bolą, aż pachną
z dzieciństwa pamiętne czereśnie
biegnę między gwar
i śmiech
i pamięć nie zmęczoną jeszcze
miłować nowe twarze dawnych rówieśników
gdzie czoła gładkie

i rozumiem
oni nie będą zbierać z pól odłamków
a konwalie
czułe są dla nich bzy szorstkie
dla nich rosną nawet gwiazd morszczyny
w taki dzień wieczór się modli
za moje czereśnie
za fort mit dir
za trzcinowe na plecach pęcherze
za kłów napisy na łydkach
dziękując za moje
jestem

Opole

Stanisław Astanik

Objęcie

Przestrzeń wzrasta w szczelinach czasu
stąd jaśniej widzieć jak co żywe kruche
Z jednego —
jedno rozdzwonione na dwoje
mocniej od nic

Mocniej —
wchodząc którędy wyjście tym samym
powraca
i ponowo
dotknąć tę kruchość tak blisko
że bliżej bez oddechu —
na odległość krok utrwalany
Nie —
oboje w objęciu dalecy

Lublin

DEBIUT

Wincenty Zdzitowiecki

Nie constans

szatą bezwładności obcą obciągnięty
— jest w której się opieram
mowa na oślep i gest na głuchotę
szatą bezwładności obcą obciągnięty
— jest w której się rozpaszę
niestały sobie i wierszem swoim
szatą bezwładności obcą obciągnięty
— jest w której się oblekłem
materią na łokieć i duszy na ramię

Gorzów

Kamena str. 13

okolice sztuki

Mieszanie w tradycji

KIEDY w rozważaniach o plastyce zaczyna natrętnie pojawiać się słowo tradycja, można podejrzewać, że sztuka wchodzi w ostry zakręt, który skieruje ją na inną od dotychczasowej drogę. Można też przypuszczać, że współczesność zachwiała się nieco w swej wierze w absolutną słuszność przyjętych wcześniej koncepcji artystycznych, postaw ideowych, sposobów kreacji i niewzruszalnych do niedawna pojęć. Refleksje nad przeszłością stały się treścią codziennych kontaktów ludzi sztuki.

Najbardziej przecież wnikliwe i częste oglądanie się na tradycję, nie poparte materialnymi dowodami w postaci obrazów czy rzeźb, które ujawniłyby ślad owej retrospektywy w muzeum wyobraźni, lokalizowałyby się co najwyżej na płaszczyźnie przemijającej mody lub mniej czy bardziej błyskotliwego teoretyzowania. Tak jednak nie jest. Na wystawach krajowych coraz liczniej pojawiają się prace, szukające wsparcia w sztuce dość już odległego czasu.

Niezmordowanie szczodry dla współczesnych malarzy okazuje się stary ekspresjonizm figuralny i bliski mu symbolizm, konwencje z natury rzeczy dramatyczne w swej wymowie formalno-treściowej, odświeżane zawsze wtedy, kiedy wzmaga się społeczny niepokój, szukający zdecydowanego ujścia i oczyszczenia, albo potęgowany w wizji malarza do wymiaru groźnego ostrzeżenia. Nie jest przypadkiem powrót tych brutalnych w wyrazie i otwarcie formułujących swoje credo ideowe konwencji właśnie w naszej epoce.

Ekspresjonizm abstrakcyjny, nie tak dawno jeszcze zajmujący eksponowaną pozycję w sztuce światowej, okazał się narzędziem mało przydatnym do penetracji konkretnych problemów współczesności. Wielu malarzy doszło do wniosku, że niejako globalny krzyk protestu i rozpaczy prowadzi w najlepszym przypadku w grube mury muzeów, gdzie cichnie, stłumiony szelestem filcowych łapci i chłodnym spojrzeniem hiztoryków sztuki. Świadomość potrzeby społecznego i politycznego uczestnictwa zrodziła w Polsce „Grupę Realistów", krakowską grupę o wymownej nazwie „Wprost", zadecydowała o kształcie ideowym naszej grafiki, wydała nową figurację i amerykański pop-art, odwołujący się także do dadaizmu.

Wielu obserwatorów wiąże z tą sztuką — upraszczając zagadnienie — figuralną wielkie nadzieje. Oto, głoszą, powstała szansa społecznej integracji poprzez twórczość artystyczną, której specyfika sprowadza się m. in. do stosowania rejestru określonych symboli, znaków, wątków tematyczno-treściowych. Powtarzane w dziełach, mają wytworzyć nową, współczesną ikonografię plastyczną, czytelną dla wszystkich, a więc w jakiś sposób jednoczącą. Nie sprostała temu zadaniu uniwersalistyczna w założeniach semantycznych sztuka abstrakcyjna, bo nie uwzględniła ogromnego rozwarstwienia narodów i społeczeństw dzisiejszego świata, tych wszystkich różnic tradycji, umysłowości, psychologii, wiary i ideologii. Szansa natomiast po stronie tej nowej sztuki, włączonej w socjalno-polityczny krwiobieg narodów, cywilizacji, kontynentów — sztuki, jak to się popularnie określa, zaangażowanej.

Niełatwo dyskutować z tymi optymistycznymi proroctwami. Właściwie jest to niemożliwe, ponieważ przedmiot ewentualnego sporu nie wyłonił się jeszcze w całej swej postaci z wrzącej mieszanki współczesności artystycznej. Objawy ukierunkowanych przemian są dostrzegalne nawet nieuzbrojonym okiem dyletanta, to prawda. Ale za wcześnie definiować to, co sygnalizują. Można natomiast zwrócić uwagę na już uchwytne i niedojrzałe owoce wycieczek w tradycję sztuki.

Cóż stamtąd plastycy przynoszą? Oczywiście formę, przede wszystkim formę, bo powielanych niegdyś archetypów, np. starego człowieka czy matki rodzicielki, tasczyć nie ma potrzeby. W rezultacie powierzchownego kontaktu wylania się często groźne dla twórczości artystycznej monstrum o nazwie eklektyzm! Stąd trochę wartości, stamtąd kategorii, a z głębi duszy, zależnie od orientacji światopoglądowej czy skłonności psychicznych, strumień metafizycznego albo racjonalistycznego sosu i dzieło gotowe.

Niejedna indywidualność twórcza ominęła te gastronomiczne rewiry; czerpiąc tworzywo z tradycji, przetopiła je w rozpalonym tyglu współczesności artystycznej w dzieła autentyczne, co znaczy, wobec wyświechtania terminu, emocjonalnie prawdziwe i zbudowane jako struktury formalne nie nasuwające oczywistych analogii do popularnej produkcji plastycznej.

W Polsce ruch w stronę figuracji jest dziełem przede wszystkim młodych. Na pewno nie powstał w próżni. Chciałoby się wierzyć, że wyrósł z zasadniczych przesłanek ideowych, z głębokich przemyśleń i doświadczeń, zarówno wewnętrznych jak i społecznych. Jako próba opowiedzenia się za czymś, jako negacja czegoś. Jako rezultat wyczerpania się, być może, tendencji uznawanych jeszcze dziś za tzw. nowoczesne. Obserwując to młode środowisko, ten zaczyn przyszłej plastyki polskiej, nieraz spotykam się z faktami, które podważają jednak moje doń zaufanie: ci młodzi mają mocne gardła, lecz mało świadomości własnych poczynań. Wyjątki istnieją, jak zawsze, jak wszędzie. Oby ich nie zagłuszono. Nieodzowne więc jest szczególnie uważne spojrzenie krytyki. Aby uniknąć takich między innymi pomyłek: kilka miesięcy temu obwieszczono w Warszawie renesans secesji, na wszelki wypadek ze znakiem zapytania, podczas gdy jedyny autentyczny malarz — uczestnik tej wystawy miał tyle do sztuki fin de siecle'u, co twórcze korzystanie z tradycji do taniego eklektyzmu i koniunkturalnych piruetów.

(IJK)

ekran i widz

Wolna droga dla poetów

JEDNYM z pierwszych filmów radzieckich, jakie oglądałem po wojnie, była komedia „Zwariowane lotnisko". Nie przypominam już sobie dzisiaj nazwisk reżysera ani aktorów. Pamiętam tylko, że wraz z całą salą tarzałem się ze śmiechu na widok nieprawdopodobnych wyczynów żołnierza-fajtłapy, który przypadkowo został przydzielony do „jednostki lotniczej" rezydującej na fałszywym polowym aerodromie, na lotnisku-makiecie mającym za zadanie wprowadzać w błąd niemieckie bombowce polujące na zapleczu radzieckiego frontu na lotnicze bazy wypadowe. Bohater filmu wzbudzał nie tylko śmiech. Potrafił jednocześnie głęboko wzruszać. Był nieporadny i niezręczny, ale przy tym marzycielski, tkliwy, serdeczny. Kiedy zaistniała potrzeba, potrafił też zdobyć się na odwagę. Nie była to odwaga książkowa, gazetowa, ale prawdziwa, ludzka. Na ekranie jawił się widzom bohater bliski im samym. Był człowiekiem z krwi i kości. „Prawdziwi" bohaterowie w tym filmie patrzyli na niego jeśli nie ze wzgardą to w każdym razie z lekceważeniem. Ale to właśnie oni, potężni wąsale pobrzękujący medalami wydawali się płascy i papierowi. Oni bez przerwy mieli na ustach wielkie słowa, on mówił o życiu i miłości. I chyba właśnie dlatego jemu, „chaplinowskiemu bohaterowi" udało się zdobyć serce pięknej telefonistki. Ze równocześnie, niemal przypadkiem, wyprowadził w pole a potem wziął do niewoli cały sztab niemiecki to jeszcze... przydawało mu autentyczności. Ten Grisza czy Kola był pierwszym w oglądanych u nas po wojnie filmach bohaterem lirycznym, po raz pierwszy na ekranie doszła do głosu poezja. Inne filmy, jak „Ona broni ojczyzny" czy „Sekretarz Rejkomu", odwoływały się do najgłębszych uczuć patriotycznych, budziły grozę albo nienawiść wobec wroga. Jeszcze inne, jak „O szóstej wieczorem po wojnie", mówiły o miłości wojennej, o przyszłym szczęściu. Ale nierzadko teza ich była wykładana w sposób uproszczony, melodramatyczny. Zresztą nie można im z tego czynić zarzutu. Były przygotowywane w warunkach niemal polowych, na gorąco, bez bawienia się w tricki formalne, skomplikowane przenośnie, szersze uogólnienia. Miały konsolidować naród do walki z najeźdźcą i zadanie to spełniły w sposób doskonały. Szkoda tylko, że później, w latach powojennych, zdecydowany podział na czarne i białe postaci, charaktery i sytuacje utrzymał się w radzieckim filmie zbyt długo. Miało upłynąć kilkanaście lat zanim do głosu doszli Kałatozow, Czuchraj, Twardowski czy Romm. A przecież właśnie już w latach czterdziestych zostało zapoczątkowane inne spojrzenie na problem: „wojna i człowiek". Właśnie w „Zwariowanym lotnisku" i, zgoda, w bardzo specyficzny sposób.

Do takich oto wspomnień i refleksji skłonił mnie film radziecki „Żenia, Żenieczka i Katiusza", który niedawno wszedł na polskie ekrany. Szedłem nań z dużą rezerwą, opuściłem salę — oczarowany. I tym razem na ekranie rozgrywał się dramat wojenny, ale i emanowała zeń poezja. Realizatorzy nie zawahali się pokazać wojny w całym jej okrucieństwie, lecz też udało im się ukazać ją z mądrym uśmiechem i z liryczną zadumą. Kanwą scenariusza stała się książka Bułata Okudżawy „Jeszcze pożyjesz", oddająca zdarzenia wojenne, frontowe życie poprzez pryzmat doznań młodego chłopca, nie mężczyzny jeszcze, ale właśnie wyrostka wierzącego w moc poezji, a więc w człowieka, w piękno życia. Komediodramat ten zrobiony został przez ludzi młodych, którzy więcej doznali w życiu dobra niż zła. Może dlatego łatwiej im było wyzwolić się z „typowej" wojennej konwencji, niż starym, dojrzałym reżyserom, którzy sposób, w jaki giną na wojnie ludzie, znają z autopsji. Jak by to jednak zgadzało się z lirycznym nastrojem starego „Zwariowanego lotniska"? Może po prostu do filmu wrócili prawdziwi poeci? Oczywiście, dawniej ich nazwiska także migały nieraz w czołówkach filmowych: Jewtuszenko, Achmadulina, Pożenin, Olga Berholc. Przecież jednak dopiero Okudżawa zyskał pełne zwycięstwo. Nie usuwając w cień reżysera potrafił zwyciężyć publiczność. Słusznie napisał jeden z radzieckich krytyków o filmie reżysera Władimira Motyla i scenarzysty Bułata Okudżawy: „Jest to film poety, wyposażony w specyficzną, właściwą tylko temu poecie tonację, specyficzny wyraz plastyczny, specyficzną dramaturgię. Choć może się to wydawać dziwne — tym razem kino nie zbuntowało się przeciw poezji. Bez sprzeciwu przyjęło zaproponowaną mu formę. Widocznie zdarzył się ten szczęśliwy przypadek, że reżyser nie usiłował przezwyciężać autora, lecz pracował z nim kierowany tą samą ideą. To zdaje się świadczyć, że i wśród reżyserów zdarzają się poeci...".

Tak, to prawda. Szkoda tylko, że powyższego stwierdzenia nie można odnieść do sytuacji we współczesnym filmie polskim. Co nie przeszkadza spodziewać się i wierzyć, że kiedyś i do naszego filmu trafi więcej artystów nie tylko z dyplomem w kieszeni, ale z prawdziwego zdarzenia.

(M. D.)

z bocznej trybuny

Gra w ciemno

BOZIA nie poskąpiła wzrostu Waldemarowi Kozakowi i stąd cała wrzawa. Gdyby był drobny, średni, a nawet przeciętnie wysoki — robiłby co chciał, jeździł z Lublina do Warszawy, z Warszawy na Śląsk, a ze Śląska na Wybrzeże i pies z kulawą nogą by się tym nie zainteresował. Lecz Kozak jest dwumetrowcem, a takich cenią sobie bardzo trenerzy drużyn koszykówki. Kozak gra więc w ligowej „Lubliniance" (czy raczej grał). Który zaś prawdziwy sportowiec — amator gra dziś tylko dla samej przyjemności? Mamona rządzi światem!

Kozak otrzymał więc z rodziną 4-pokojowe mieszkanie (M-6) z puli dla osób niezbędnych Lublinowi. W roku 1967 przyjęto go na studia w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Lublinie, co może nie byłoby niczym nadzwyczajnym, bo studiuje przecież tylu młodych chłopców, gdyby nie to, że: a) dzięki staraniom klubu, PKOl i PZKosz zezwolono mu na dodatkowy egzamin wstępny, b) dopuszczono go do tych egzaminów bez świadectwa maturalnego, które miał uzyskać później, c) rozłożono mu I rok studiów na 2 lata. W dodatku klub sportowy przyznał mu stypendium fundowane. Nic, tylko żyć i studiować — no i oczywiście uprawiać koszykówkę.

Aliści naszemu sportowcowi nie na długo wystarczyło to szczęście, bo oto nagle, bez powiadamiania klubu i kolegów, pojechał do Wrocławia, skąd nadesłał 24 września pismo do „Lublinianki", zawiadamiające, iż jest już studentem „upragnionego Wydziału Inżynieryjno-Ekonomicznego WSE we Wrocławiu". Znaczy się, na mnie panowie nie liczcie, z gry w Waszym Szanownym Klubie nici, urządzam się nad Odrą.

Bomba pękła. „Sztandar Ludu" z 25 listopada przynosi długie pismo zarządu „Lublinianki", datowane 13 listopada, a wystosowane do różnych władz sportowych. Dowiadujemy się zeń właśnie jak to Kozak był przez ten klub hołubiony, ile mu zawdzięczał i jak się odpłacił czarną polewką. Pismo zawiadamia, iż klub zdyskwalifikował Kozaka na 2 lata, oraz stawia mu 10 zarzutów, z których trzy dotyczą rozsiewania różnych fałszywych plotek, dwa — oszukiwania władz sportowych na temat swoich studiów, jeden — „oszukania władz partyjnych i administracyjnych Lublina w przedmiocie uzyskania mieszkania z puli dla zasłużonych i niezbędnych dla miasta Lublina". (Pismo nie wyjaśnia jednak, jak liczną rodzinę miał sportowiec i czy oszukanie polegało na wyłudzeniu od władz za dużego mieszkania, czy też na wmówieniu w te władze, że jest człowiekiem niezbędnym i zasłużonym w Lublinie).

Wydaje się jednak, że istotne są tylko dwa punkty: pierwszy, zarzucający Kozakowi wyjazd do Wrocławia i ostatni, iż bezzasadnie zerwał umowę o stypendium fundowane. Gdyby tego nie zrobił, gdyby nadal grał w Lublinie, wątpliwe, czy „Lublinianka" wystąpiłaby publicznie przeciwko jednemu z filarów swej drużyny i czy chwaliłaby się przywilejami mieszkaniowymi i akademickimi, jakie dla niego uzyskała. A przecież, jeśliby nawet porachunki sportowe załatwiono we własnym, klubowym gronie, to faktu oszukania władz w przedmiocie uzyskania mieszkania już nie można — rzecz wymaga zawiadomienia prokuratury.

Czy Kozak był sportowcem o wyjątkowym szczęściu? Wątpię. Nie wątpię natomiast, że z nieuzasadnionych przywilejów różnego rodzaju, prawnie nie dających się usprawiedliwić, korzysta wielu sportowców, we wszystkich znanych klubach. W razie potrzeby służę przykładami. Zresztą wiedzą o tym nie tylko dziennikarze, ale i liczni kibice. Wiadomo jednak również, iż wielki wyczyn sportowy pochłania dziś tyle czasu i energii, że niewielu sportowców zdobywa się przy tym na solidną pracę zawodową lub pilne studia. Sport to zdrowie, ale nie zawsze wielki wyczyn sportowy służy zdrowiu — bywa też nieraz odwrotnie. Mało jest dziś sportowców — czystych amatorów. Większość żąda ekwiwalentu materialnego za swój wysiłek i wyrzeczenia; ba! — bez tego ekwiwalentu nie byliby w stanie dojść do odpowiedniego poziomu. Nikt myślący realnie nie będzie protestował przeciwko pomocy materialnej dla czołowych zawodników — byle utrzymana ona była w przyzwoitych granicach, nie budzących sprzeciwu opinii publicznej.

Sprawa Kozaka nie jest ani pierwsza, ani ostatnia tego typu. W Lublinie i gdzie indziej. Mamona rządzi sportem. Wszyscy o tym wiedzą, tylko, że nikt nie wie oficjalnie. Kto daje pieniądze zawodnikom, kto je dostaje i ile? Gra się w ciemno, co może być dopuszczalne przy pokerze, a jest karygodne w finansach. Atmosfera wymaga przewietrzenia, bo inaczej się udusimy. Sportowi potrzebne są nowe, wyraźne, ogólne i szczegółowe przepisy, jasno sprecyzowane, komu, ile i w jakiej formie można płacić, za ile odstępować zawodnika, i co mu dać za przeniesienie się do nowego klubu. Muszą to być przepisy oparte o realną rzeczywistość. Wtedy nie będzie skandali, nie będzie złej krwi, tylko jawne, legalne zabiegi jednego klubu o zawodnika z drugiego. Powie ktoś, że rzecz miałaby wtedy znamiona zawodowstwa. Niech ma. Nawet całkowite zawodowstwo nie stoi w kolizji z zasadami socjalizmu. Natomiast sprzeczne z nimi są jakiekolwiek machlojki. Wybitnych sportowców, olimpijczyków, mistrzów świata i Europy łączy z chłopcami grającymi na łąkach w piłkę czy panami podbijającymi ją na plaży dla przyjemności to samo, co łączyłoby Marię Callas czy Kiepurę z wiejskim pastuszkiem kwilącym sobie na fujarce. To są ludzie z dwóch różnych biegunów. I jedni i drudzy nie mogą się czuć dobrze we wspólnym worku.

(R. W.)

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste-Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste-Restante honorarium nie płacimy.

Drodzy Czytelnicy i Korespondenci! Nareszcie! Mamy to, na co z utęsknieniem oczekiwaliśmy. Mamy filozoficzną refleksję nad przypadłościami świata tego, dodatkowo wzbogaconą o elementy obyczajowej satyry. Oto tekst p. A. Z. z Lublina:

DZIEWCZYNA W XX WIEKU

Dziwne jest życie na tej ziemi,
Ludzie tu chodzą zasmuceni,
Jakieś zmartwienia ciągle mają,
Starzy i młodzi, wciąż narzekają.

Braknie dziś szczęścia pod gwiazdami.
Młodzi się smucą, chociaż są sami,
Czas mija i pozostaje w pamięci,
A ziemia z tym samym się kręci.

Wciąż narzekania różnych pań,
Że ich okłamał już setny drań.
Panowie, znowu odmienne zdanie,
To wszystko, winne są nasze panie.

(Autor widocznie świetnie zna ludowe powiedzonko: „on nie winny, ona winna..." — dop. red.).

Maksyma pani, mini ubiorek,
Czerwone nogi, niby potworek.
Każdy ogląda, co za strach.
Nagle ją poznał, to ona. Ach!

Nasi korespondenci pracują nie tylko na niwie poetyckiej, choćby tak szlachetnej, jak powyższa. Nasi korespondenci pracują również na niwie kinematograficznej. Oto list p. L. W. z Lublina: „Napisałem tekst, jest on zmyślony, ale gdyby nagrać według niego film, na pewno byłby bardzo ładny. Nie ma w nim szczegółów, są np. takie zadania jak: „Podbiega obezwładnia go", „Umawiają się na przejażdżkę samochodem". Nie jest napisane w jaki sposób się umawiają, np. przy nagrywaniu filmu, trzeba to dołożyć, ale jest podana myśl główna filmu i jego przebieg. Nie podaje treści mojego tekstu, lecz proszę o radę, czy może być pisane ręcznie, czy też drukiem? I czy można wysłać ten tekst właśnie do Państwa? czy gdzie indziej?" Raczej nie do nas, ale chętnie byśmy obejrzeli ten film i podumali nad nim, a nuż nowy talent narodził się nam, i to nie na kamieniu. Obiecujemy Panu natomiast druk w Poste Restante Pańskiego patriotycznego wierszyka.

Listy do KAMENY

„CZY STUDENT LUBI BRAHMSA?"

W „Kamenie" z dnia 29.IX. br (nr 26) ukazał się artykuł Ireneusza Kamińskiego pt. „Czy student lubi Brahmsa?". Jeden z akapitów podejmował ocenę działalności kina studyjnego „Chatka Żaka" na podstawie obserwacji z okresu ostatniego roku. Po przeczytaniu wne akapitu nasuwa się przede wszystkim pytanie: jakie źródło spowodowało tak daleko idącą dezinformację autora artykułu, Ob. I. Kamiński nie konfrontował bowiem posiadanych wiadomości ani z Woj. Zarządem Kin, ani z Woj. Radą Artystyczną Kin Studyjnych. W rezultacie na łamach pisma znalazł się materiał emitujący błędne, niepełne informacje.

W odpowiedzi na zamieszczone kolejne zatrzuty informujemy:

Do dnia 29.IX. br. na liście S (pula specjalna) znajdowało się 6 filmów, z czego tylko dwa (w tym jeden na wniosek Rady Artystycznej) nie były wyświetlane w kinie studyjnym. Jest to ilość znikoma wobec faktu, że kino dysponuje tylko 24 seansami w okresie miesiąca. Jest to zbyt mało, aby zrealizować wszystkie postulaty, jak też zamierzenia WZK. Ponadto należy dodać, że głosy studenckiej widowni stoją w opozycji ze stwierdzeniem, iż filmy z listy S — to „obrazy najambitniejsze", natomiast na interwencje publiczności wyświetlane były filmy bardzo popularne, np.: „Na pomoc!", „Żywot Mateusza", „Pociągi pod specjalnym nadzorem". Fakt, że filmy te były później wyświetlane również w kinach normalnego rozpowszechniania, nie umniejsza bynajmniej ich wartości treściowo-formalnych. Wręcz przeciwnie: analiza porównawcza wyników frekwencji utwierdza nas w przekonaniu, że dobór repertuaru w danym wypadku był jak najbardziej uzasadniony.

W odpowiedzi na propozycje widzów, WZK podjęło staranie w CAF w Warszawie celem zorganizowania przeglądu filmów Bergmana, Buñuela lub Kurosawy. Niestety CAF mógł oferować jedynie pozycje z okresu ostatnich dwu lat. Na tego typu imprezę powtórkową WZK nie może zezwolić z uwagi na bardzo ograniczony czas projekcji w „Chatce Żaka".

W lutym br. na skutek trudności z transportem zmuszeni byliśmy po uprzednim wyjaśnieniu i przeproszeniu publiczności do wyświetlania innego filmu niż ten, który był podany do wiadomości. Ten sporadyczny wypadek nie powinien służyć do formułowania ogólnych uwag.

moje LEKTURY

W OSTATNICH latach dokonało się zjawisko, które można określić jako powrót Brzękowskiego. Nazwisko świetnego poety awangardowego przez wiele lat było nieobecne w naszym życiu literackim i najwyżej wspomniane czasem w jakimś historycznoliterackim szkicu. Była to krzywda nie tylko dla Brzękowskiego. Cierpiał na tym powojenny czytelnik, który został pozbawiony pełnego obrazu rzeczywistości poetyckiej międzywojennego dwudziestolecia. A Brzękowski należał do indywidualności w awangardzie najciekawszych i jako poeta, i jako teoretyk.

„Na katodzie", „W drugiej osobie", „Zaciśnięte dookoła ust" — te tomy ugruntowały jego pozycję jako poety, natomiast Brzękowski teoretyk najpełniej wypowiedział się w książce „Poezja integralna" oraz w cyklu szkiców w „Pionie", w których rozwijał koncepcje liryki metarealnej. Prace Brzękowskiego należą do najpoważniejszych w dorobku teoretycznym awangardy. Toteż dobrze się stało, że w latach poprzednich ukazały się poezje wybrane, a następnie tom szkiców „Wyobraźnia wyzwolona", do którego weszła także „Poezja integralna", jako wprowadzenie do poezji awangardowej jeszcze dziś dająca pożytki i zachowująca wiele swoich wartości.

Nowa książka Jana Brzękowskiego, chociaż stanowi zdanie sprawy z całego życia pisarza, poświęcona jest przede wszystkim okresowi międzywojennemu, przedstawia ludzi i sprawy, które w pisarskiej biografii Brzękowskiego zajęły ważne miejsce i pozostały do dziś bliskie. Jest to książka wyjątkowo cenna. Autor jej przez wiele lat znajdował się w samym centrum ruchu poetyckiego i artystycznego lat międzywojennych. Wprawdzie w czasie, gdy Brzękowski przybył do Paryża, bohaterski okres nadrealizmu był już zamknięty, ale przecież jego uczestnicy podejmowali coraz to nowe działania. Brzękowski wobec nadrealizmu zachował jednak duży krytycyzm i dystans. Opisany incydent z Bretonem, którego Brzękowski zapraszał do współpracy z „L'Art Contemporaine", ilustruje to dosyć dobrze. „Nie miałem zamiaru — pisze autor — powiększać brygady cudzoziemskich ciurów ciągnących za nadrealistami".

Jeśli więc w poezji Brzękowskiego znajdują się rzeczy, które dzieli z nadrealistami, to jest to raczej wynik ogólnych nastawień, klimatu i wspólnych inspiracji działających w tamtym czasie (np. wpływy psychoanalizy). Od tej strony interesujący jest np. oniryczny charakter liryki Brzękowskiego. Ale z książki jego wynika, że przeciwstawiał się on nadrealizmowi raczej, niż szedł z nim w parze. Pisaniu automatycznemu przeciwstawiał Brzękowski dyscyplinę poetycką, a proces tworzenia pozostawał u niego pod ścisłą kontrolą. Zachowywał wierność wobec konstruktywizmu awangardy i jej wstydu uczuć i wzruszeń, które zaznaczały się nie tylko w praktyce poetyckiej, ale — jak świadczy Brzękowski — obejmowały także sferę osobistych stosunków awangardowych poetów.

Brzękowski jako poeta wyrastał więc na innym gruncie niż pozostali poeci awangardy. Poza Peiperem. Wiadomo, jak znajomość z pierwszej ręki poezji hiszpańskiej określiła niektóre późniejsze przemyślenia autora „Nowych ust". Poezję Brzękowskiego określiło w pewnym stopniu malarstwo kubistów i nadrealistów, mniej nowa poezja francuska. Pewne zbieżności z nadrealizmem zaistniały w poezji Brzękowskiego właśnie za pośrednictwem malarstwa. Krąg przyjaźni poety tak się ułożył, że — wyliczony i opisany — staje się jednym z głównych rozdziałów historii sztuki nowoczesnej. Picasso, Léger, Arp, Ernst, Marcoussis, Mondrian, Ozenfant — to krąg malarzy. Przedstawia także autor szczegółowo nowatorską poezję francuską — od Apollinaire'a przez Tzarę, Eluarda i Bretona do Henri Michaux.

Przez książkę Brzękowskiego przepływają właściwie dwa nurty, oba zaznaczone w podtytule: wspomnienia i szkice. Każda bowiem postać, zjawisko artystyczne czy fakt otrzymują zobiektywizowany opis, na który dopiero nakłada się własne wspomnienie autora. Ma to wiele zalet. Czytelnik otrzymuje dużo ciekawych informacji o różnych indywidualnościach twórczych, znajduje ich wnikliwe charakterystyki, niemal szkice analityczne, a do tego autor dodaje wspomnienia własne, przytoczy czasem anegdotę, ukazuje oblicze nie tylko artysty, ale żywego człowieka. To dodaje książce rumieńców i pewnych uroków. Te uroki zawierają się także w liryzmie książki. Towarzyszy on zwłaszcza rozdziałom pierwszym — wspomnieniom młodości i pisarskich początków oraz rozdziałom ostatnim — powrotom w przeszłość. Powraca tam zresztą nie po to, pisze autor, by zostać, ale by zapomnieć. Ma więc dla niego ta książka wartość terapeutyczną: zamyka ostatecznie pewne rozdziały życia.

Ostatnie rozdziały przynoszą wiele refleksji nad swoją pozycją poety, którego droga twórcza prowadziła prawie cały czas przez obce obszary. A to niosło dodatkowe problemy: pokusa dwujęzyczności, możliwość pozostania wyłącznie przy francuskim, brak — przez długi okres powojenny — warunków do pracy pisarskiej, nieobecność odbiorcy i trudność w kontakcie z czytelnikiem. Toteż odnowienie po roku 1956 łączności z krajem pozwoliło odrodzić się w jakimś stopniu pisarstwu Brzękowskiego; książka zresztą i tę sprawę dokumentuje.

Po odmiennych w swoich założeniach książkach Przybosia i Kurka mamy więc pracę trzeciego z głównej trójki dawnej awangardy krakowskiej. Mówi częściowo o tych samych sprawach, wzbogacając naszą ich znajomość. A że „W Krakowie i w Paryżu" jest bogato zilustrowana licznymi fotografiami poetów i malarzy, o których Brzękowski opowiada w swojej książce, jej wartość nabiera jeszcze większych wymiarów.

Tadeusz Kłak

Jan Brzękowski: W Krakowie i w Paryżu. Wspomnienia i szkice. Warszawa 1968. PIW.

od BIEBRZY *po* BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

* Teatr im. Al. Węgierki zorganizował estradę poetycką. Pierwszy program, reżyserowany przez dyrektora Bronisława Orlicza, zatytułowany „Wiersze i piosenki", zawiera utwory Bułata Okudżawy.

* Społeczne Ognisko Muzyczne Nr 1 w Białymstoku obchodziło jubileusz 15-lecia. Spośród 283 absolwentów Ogniska — 86 podjęło dalszą naukę w szkołach muzycznych, a 12 jest już nauczycielami muzyki. Z okazji jubileuszu odbyło się uroczyste posiedzenie Zarządu Wojewódzkiego Białostockiego Towarzystwa Muzycznego oraz koncert w wykonaniu uczniów Ogniska i orkiestry symfonicznej Państwowej Szkoły Muzycznej w Białymstoku.

* W tegorocznym konkursie literackim, organizowanym przez rozgłośnię Polskiego Radia, Białostockie Towarzystwo Kultury, Wydział Kultury PWRN i WKZZ nagrody otrzymali: Wiesław Andrzejewski ze Szczecina, Jan Dziuba z Białegostoku i Edward Kopczyński z Łodzi. Nagrodę specjalną za najlepsze opowiadanie o tematyce regionalnej przyznano Zbigniewowi Strzałkowskiemu z Lublina.

KIELCE

* W Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy odbyła się uroczysta akademia z okazji 40-lecia „Wici". O działalności tej postępowej organizacji młodzieży wiejskiej mówili Maria Leśkiewicz-Wójcikowa, Józef Trutkowski i Stanisław Maszielarz.

* Staraniem Głównej Kwatery ZHP, Wydawnictwa Harcerskiego i Komendy Chorągwi ZHP w Kielcach, zorganizowano w tym mieście ogólnopolskie seminarium, poświęcone roli książki społeczno-politycznej w wychowaniu dzieci i młodzieży.

* Zarząd Wojewódzki ZMW, Wydział Kultury PWRN i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w Kielcach organizują konkurs na reportaż o wsi kieleckiej. Konkurs obejmuje reportaże publikowane na łamach prasy krajowej od dnia 1 sierpnia 1968 do 31 stycznia 1969 r. Termin nadsyłania prac mija 15 lutego 1969 r. Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w połowie kwietnia 1969 r. Nagrody: I — 8 tys. zł dwie II po 5 tys. zł, trzy III po 3 tys. zł oraz liczne wyróżnienia.

* W Połańcu znaleziono skarb monet antycznych. Skarb składający się ze 147 denarów z pierwszych lat cesarstwa rzymskiego znajduje się w dziale archeologii Muzeum Świętokrzyskiego.

LUBLIN

* Teatr akademicki UMCS „Gong-2" odniósł kolejny sukces. W ogólnopolskim festiwalu teatrów studenckich w Gdańsku — „Przetarg 68" otrzymał główną nagrodę — puchar przechodni rektora Politechniki Gdańskiej za program „Testament" według Franciszka Villona. Nagrody indywidualne przyznano Andrzejowi Rozhinowi za tekst sceniczny, inscenizację i rolę Franciszka Villona i Jackowi Popiołkowi za muzykę przygotowaną do „Testamentu".

* Na festiwalu zespołów amatorskich w Płocku teatrzyk „Temafor" FSC w Lublinie otrzymał I nagrodę ministra kultury i sztuki za program kabaretowy pt. „Jerzy" oparty na tekstach J. Jurandota. Również zespół wokalno-muzyczny FSC i solistki: Elżbieta Igras i Barbara Kowalska zajęły I miejsce.

* Na Wydziale Mat.-Fiz.-Chem. UMCS odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów magisterskich pierwszym absolwentom studiów zaocznych — fizyki i matematyki. Dyplomy otrzymało 7 magistrów fizyki i 14 magistrów matematyki.

RZESZÓW

* W ZDK w Mielcu zorganizowano interesującą imprezę folklorystyczną — Rzeszowski Jarmark Pieśni i Tańca — potraktowaną jako wojewódzki festiwal amatorskich zespołów artystycznych. Oprócz przeglądu dorobku zespołów artystycznych festiwal objął sesję popularnonaukową na temat kultury ludowej i amatorskiego ruchu artystycznego.

* Staraniem kierownictwa WDK i dyrekcji Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego, w Rzeszowie powstał Klub Miłośników Muzyki.

* Wspólna sesja MRN i Miejskiej Komisji Związków Zawodowych, poświęcona sprawom rozwoju i upowszechniania kultury, obradowała w Rzeszowie. W uchwale, którą podjęto na zakończenie obrad, zawarte są wytyczne w zakresie treści i form pracy k.o., a także w sprawie zapewnienia odpowiedniej bazy materialnej dla rzeszowskiej kultury.

»Człowiek, świat, polityka«

NIEDAWNA dekada książki politycznej przebiegała w szczególnej atmosferze, ukształtowanej poprzedzającym ją V Zjazdem Partii i obfitującym w inne ważne wydarzenia rozwojem sytuacji międzynarodowej. Stąd zapewne duże i autentyczne zainteresowanie społeczeństwa tą krajową imprezą, zorganizowaną już po raz drugi. Wystawy książki politycznej, spotkania z autorami oraz tysiące, bez przesady, prelekcji w przeróżnych klubach, domach kultury i zakładach pracy — cieszyły się takim powodzeniem, że trudno wiązać je wyłącznie z bogatą oprawą i sprawną organizacją wszelakich imprez. Miernikiem popularności problematyki może też być na Lubelszczyźnie liczny udział czytelników w konkursach zorganizowanych przez biblioteki („Poznajmy postępowe tradycje Lubelszczyzny") oraz Towarzystwo Wiedzy Powszechnej i Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych („Moja wiedza o Polsce Ludowej").

Wyjątkowe okoliczności towarzyszące tegorocznej dekadzie także nie tłumaczą sprawy do końca. Najprawdopodobniej mamy do czynienia z rzeczywistą potrzebą społeczną literatury politycznej, w gruncie rzeczy niezależną od wahań temperatury politycznej w kraju i na świecie. Minęły czasy kojącego nerwy izolowania się od mniej lub bardziej zasadniczych zjawisk i faktów z życia zbiorowości. Nasz wiek coraz zdecydowanej profiluje typ człowieka politycznego, bez względu na to, czy jest on członkiem jakiejś partii lub stronnictwa, czy też nie. Rozwój nowoczesnej techniki, w tym militarnej, oraz skomplikowane związki łączące państwa naszego globu sprawiły, że zaściankowe porzekadło „byle Polska wieś spokojna" nie tylko straciło aktualność, ale stało się — przy ewentualnej żywotności praktycznej — po prostu groźne dla narodowej racji stanu. To, co dzieje się w odległej Afryce czy na Kubie jest prawie tak samo ważne, jak sytuacja u sąsiada za graniczną miedzą.

Środki masowego przekazu w błyskawicznym tempie informują o sprawach światowej polityki. Codzienna dawka faktów, serwowana przez prasę, radio i telewizję, nierzadko oszałamia, nie pozwala na chłodną, rzeczową ich analizę i interpretację, a komentarz publicystyczny albo grzeszy doraźnością spojrzenia, albo powierzchownością. I tu właśnie ujawnia się przydatność książki politycznej, porządkującej z dystansu czasu wydarzenia i wyjaśniającej je do końca. Książka taka orientuje w labiryncie współczesności i pozwala głębiej zrozumieć decyzje polityczne, które, bez znajomości ich uwarunkowań, mogą wydawać się niejasne, a czasami wątpliwe.

Bez względu na to, co się wcześniej powiedziało na temat wzrastających potrzeb czytelniczych w zakresie literatury politycznej, co nie ulega wątpliwości, książki takie spotykają się z nierównomiernym zainteresowaniem poszczególnych grup społecznych czy generacji. Trzeba przyznać, że zbyt jeszcze rzadko sięga po te publikacje młodzież zarówno starszych klas szkół średnich jak i nawet studencka. Nasuwa się pytanie, dlaczego frapująca przecież, ważna, czasami wręcz sensacyjna problematyka polityczna, w ujęciu książkowym jakoś nie trafia do osiemnasto- czy dwudziestolatków i zalega wiejskie biblioteki?

Jedną z istotnych przyczyn takiego stanu rzeczy jest na pewno dość trudna, nierzadko stosująca pewien żargon i frazeologię stylistyka pokaźnej części książek politycznych. Zbyt mało jeszcze spotyka się pozycji przejrzystych myślowo i napisanych potoczystym, lekkim językiem. A przecież główną funkcją książki politycznej powinna być szeroka popularyzacja faktów i zjawisk, co nie musi wcale prowadzić do dewaluacji jej naukowych założeń metodologicznych. Ponadto przyjęło się w Polsce utożsamiać tego typu wydawnictwa wyłącznie niemal z publicystyką. Kto jednak wie, czy skuteczniej nie działa na czytelnika powieść i reportaż polityczny w formie książkowej? Po lekturze „Smutnej Wenecji" — Kubackiego jestem właściwie przekonany, że tak.

Oczywiście, literatura polityczna to nie tylko wymienione gatunki pisarskie, to także prace naukowe z zakresu ideologii, filozofii czy historii — odległej i najnowszej. Ze zrozumiałych względów wydawnictwa te trafiają do węższego kręgu odbiorców, bez organizowanej zachęty. Wydaje się przy tym, że popularna produkcja piśmiennicza o takiej problematyce jest u nas w dalszym ciągu zbyt szczupła, choć ostatnio obserwujemy istotny wzrost nakładów i tytułów z tego kręgu tematycznego. W dalszym ciągu oczekujemy przecież na Załuskich.

Tak czy inaczej potrzeba wiedzy politycznej o kraju i świecie wzrasta. Imprezy w rodzaju minionej dekady jeszcze spotęgują apetyty. To zobowiązuje autorów, wydawnictwa, drukarnie.

T. G.

KSIĄŻKI NADESŁANE

WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW

Tadeusz Gajcy — Utwory wybrane, Wiersze — Poematy — Proza, Kraków 1968;

Bohdan Drozdowski — Utwory dramatyczne — Kraków 1968;

Stefan Otwinowski — Pamiątki i herezje, Kraków 1968;

Jolanta Dworzecka — Wycieczka na wyspę Rab — Kraków 1968.

Odnośnie zastrzeżenia dotyczącego zbyt częstych wizyt red. Leona Bukowieckiego z Warszawy wyjaśnić należy, iż jest on od dawna stałym współpracownikiem WZK z uwagi na fakt, iż wyłącznie on jeden tak często przyjmuje nasze zaproszenie przyjazdu do Lublina. W tym miejscu zaznaczyć należy, że w uwzględnionym okresie (1 I — 29 IX 68 r.) red. Bukowiecki odwiedził „Chatkę Żaka" cztery razy. W tym czasie prelekcje w kinie studyjnym wygłosiło siedmiu innych prelegentów. Okres wakacyjny jest traktowany na innych warunkach, niż pozostała część roku; WZK wychodząc z założenia, iż gros stałej publiczności (czyli studenci) opuszcza nasze miasto, zrezygnował z angażowania prelegentów. W dniach od 7.VII do 1.VIII br. nie było prelekcji. Przez następne półtora miesiąca działalność kina studyjnego została zawieszona z uwagi na przeprowadzony przez władze administracyjne UMCS remont urządzeń co w sali kina.

Jeśli chodzi o sprowadzanie aktorów i realizatorów przy okazji realizacji imprez w oparciu o filmy polskie, informujemy, iż zawsze podejmujemy te starania zarówno drogą służbową, za pośrednictwem Ośrodka Usług Filmowych, jak też bezpośrednio dzięki osobistym kontaktom. Niestety, na trzy wypadki tego typu, tylko raz otrzymaliśmy pozytywną odpowiedź.

Istotą i celem naczelnym działalności studyjnej nie jest organizowanie klubów dyskusyjnych. WZK gwarantuje natomiast możliwość spotkania prelegenta z widzami, którzy chcieliby porozmawiać o filmie, raz w miesiącu nawet ponosząc koszta takiej imprezy. Część organizacyjna jednakże należy do zainteresowanych, w tym wypadku do Rad Uczelnianych, czy RO ZSP. Zdajemy sobie sprawę, że „szansa kształtowania estetycznej wrażliwości i intelektualnej dociekliwości studentów" i pozostałych bywalców kina studyjnego nie jest jeszcze w pełni wykorzystana. Traktujemy ją jednak jak linię horyzontu, która w momencie jej osiągania znów się pojawia. Kino studyjne jest formą otwartą, jeśli ponadto zlokalizowane jest w środowisku studenckim, w którym występuje zjawisko rotacji, programując działalność studyjną uwzględniać należy raczej poziom realizowanych założeń, nie zaś metodyczny kurs szkoleniowy.

Dyrektor
Wojewódzkiego Zarządu Kin
w Lublinie
R. Krzyżanowski

Do wiadomości:
Naczelny Zarząd Kinematografii
Zespół Programu
i Rozpowszechniania Filmów

* * *

Z dużą przyjemnością przeczytałem w „Kamenie" artykuł Ireneusza Kamińskiego omawiający m. in. działalność kina studyjnego „Chatka Żaka". Jako przewodniczący Wojewódzkiej Rady Artystycznej Kin Studyjnych — całkowicie zgadzam się z autorem, tylko... zarzuty, uważam, należałoby traktować jako postulaty. I wówczas bylibyśmy tego samego zdania. Autor jednak nie zasięgnął widocznie opinii ludzi kompetentnych, stąd to drobne, ale krzywdzące kierownictwo i Radę Artystyczną uchybienie.

Zbigniew Stępek

Celem mojego artykułu było uchwycenie mechanizmów określonych zjawisk kulturalnych, zachodzących w środowisku studenckim Lublina. Wymagało to uwzględnienia działalności pewnych instytucji kształtujących postawy, nazwijmy to tak, kulturalne studentów, ale wykluczało wyczerpującą analizę wspomnianych w artykule placówek na rzecz szkicowej oceny ich działalności, jej profilu, sensu i skuteczności. Rzecz więc w stwierdzeniu, że sklep (czytaj: kino studyjne), jest źle zaopatrzony w towary pierwszej potrzeby, a nie w tym, dlaczego tak się dzieje. To osobny problem, wymagający uważnego oglądu i pragnę zapewnić dyr. R. Krzyżanowskiego, że cała struktura działalności kin studyjnych doczeka się rzeczowej analizy na łamach „Kameny".

Pragnę powtórzyć, że kino studyjne w „Chatce Żaka" posiada „szansę kształtowania estetycznej wrażliwości i intelektualnej dociekliwości studentów. Ale szansy tej, jak dotychczas, w pełni nie potrafiło wykorzystać". Nie jestem w tej opinii odosobniony: kino to nie cieszy się pochlebną opinią wśród aktywu studenckiego, znane są wypadki prasowych kontrowersji wokół jego działalności, wiadomo mi, że również władze uczelni (właścicielki budynku) nie są zachwycone jego profilem.

Owszem, wskazałem też w artykule na konkretne, choć niepełne przyczyny chwiejnej, moim zdaniem, działalności kina. Odpowiedź WZK kilku z nich nie komentuje, ani im nie zaprzecza. Stara to, wypróbowana w polemikach metoda selekcji pod kątem własnego interesu. Niektóre fakty odpowiedź ta jednak potwierdza! Uznałem, że za mało wyświetlano w kinie filmów z puli S, a WZK jest podobnego zdania i nawet nad tym ubolewa. Powtórzę, że i w tym przypadku nie chodziło mi o wyłapywanie i analizę przyczyn. Niewątpliwie cenne wyjaśnienia dyrekcji pozwalają zrozumieć i częściowo wytłumaczyć taką a nie inną politykę kina studyjnego i jej braki. Nasuwają też przypuszczenie, że model kin studyjnych w kraju wymaga pewnej reformy, co już nie zależy od decyzji terenowej delegatury. Ale to już osobna sprawa.

W dwuznaczny natomiast sposób przedstawiono przyczyny częstego korzystania z usług jednego krytyka — „bo jest on od dawna stałym współpracownikiem WZK z uwagi na fakt, iż wyłącznie on jeden tak często przyjmuje nasze zaproszenia do przyjazdu do Lublina". Komentarze zbyteczne. Przy okazji jeszcze jedno wyjaśnienie: mnie chodziło o krytyków, a nie o prelegentów! Dyrekcja WZK dowodnie wykazuje, że zarzucany przeze mnie monopol warszawskiego krytyka, nazywanego w tejże odpowiedzi prelegentem, sprowadził się raptem do 4 wystąpień, a poza nim słowo poprzedzające filmy wygłosiło jeszcze siedem osób. Otóż to!

To właśnie, co pominąłem w swoich impresjach i stwierdzeniach: niektóre z tych osób nie powinny w ogóle wygłaszać prelekcji — w kinie studyjnym, obliczonym na specyficznego odbiorcę! Bo takie informacje, które oni serwowali (i dalej serwują) można przeczytać w gazecie czy czasopiśmie. A nie jest chyba celem kin studyjnych powielanie informacji elementarnych — co, gdzie, kiedy — ale wprowadzenie w problematykę autorskiego warsztatu i kształtujących film założeń ideowych.

Kontynuować tej polemiki z polemiką nie ma chyba sensu. Nie chodzi przecież ani mnie, ani — mam nadzieję — dyrekcji WZK o wyszukiwanie wzajemnych potknięć w tej dyskusji, aczkolwiek uściślenie i umotywowanie stanowisk jest na pewno pożyteczne dla społecznego dobra.

Celem podtrzymania owocnego kontaktu z tą instytucją, tylko mimochodem wspominam, że źródłem, które „spowodowało tak daleko idącą dezinformację autora artykułu" były jego własne obserwacje — słowo daję, chadzam do kina studyjnego! — rozmowy ze studentami-widzami oraz... z trzema członkami rady artystycznej kin studyjnych! WZK twierdzi, że nie konfrontowałem posiadanych wiadomości z tym ciałem. Prawda, święta prawda, nie konfrontowałem, ale sporo informacji od członków rady otrzymałem. Próbowałem także kilkakrotnie skontaktować się z obywatelką z WZK, która z tytułu swojej funkcji sprawuje pieczę nad kinem studyjnym: niestety, osoba ta okazała się nieuchwytna. A wyjaśniam to wszystko niejako na marginesie, bo problem tkwi gdzie indziej, a ogólna ocena działalności kina nie została wydumana przy biurku.

Z red. Z. Stępkiem polemizować nie muszę, ponieważ wystarczy mi jego uwaga: „Jako przewodniczący Wojewódzkiej Rady Artystycznej Kin Studyjnych — całkowicie zgadzam się z autorem, tylko... zarzuty, uważam, należałoby traktować jako postulaty".

Ireneusz J. Kamiński

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA. Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-53, sekretarz redakcji i dział publicystyki 272-33

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 2773 23.XI.68 C-4.

Z ŻYCIA WZIĘTE

W co się bawić?

WOJCIECH Młynarski śpiewa piosenkę, która niezwykle trafnie oddaje sytuację, istniejącą od pewnego czasu w wielu dziedzinach naszej rodzimej rozrywki. W co się bawić, w co się bawić... kiedy brak pomysłu, inwencji, dowcipu.

Filmowcy bawią się w ekranizowanie polskiej klasyki. Zabawa świetna, dobrze płatna, ubaw po pachy. Założenie jest bardzo proste. Bierze się „Historię literatury polskiej", otwiera na byle jakiej stronie i jak w Totolotku wskazującym palcem, z zamkniętymi oczami mierzy się w tekst. Co znajdzie się pod palcem, to się przeznacza do ekranizacji. Jeden trafi na Kraszewskiego, inny na Sienkiewicza, trzeciemu los wyznaczy Prusa. Złośliwi twierdzą, że to nieprawda. Podobno niektórzy reżyserzy rezerwowali sobie całą twórczość poszczególnych pisarzy traktując polską literaturę jak bezpańskie pole, z którego można wykrawać sobie działki pod ekranizacyjne eksperymenty. Jak jest naprawdę, trudno dociec, publiczność bowiem dopuszczona jest do zabawy dopiero na końcu i na własny koszt. Efekty tej zabawy przechodzą najśmielsze oczekiwania. W „Hrabinie Cosel" mogliśmy zobaczyć Polskę, o jakiej nie śniło się Kraszewskiemu w najstraszniejszych nawet snach. Jeśli idzie o „Lalkę" Prusa, zabawa dała jeszcze lepsze efekty. Poza tytułem i nazwiskiem autora książki, a także nazwiskami bohaterów dramatu z dzieła Prusa niewiele więcej zostało. Byłem kiedyś na „Rękopisie znalezionym w Saragossie". Oglądając „Lalkę" miałem cały czas wrażenie, że autorzy filmu zmienili tylko aktorów, przenieśli parę scen do wnętrz i nakręcili po raz drugi „Rękopis", ale tym razem na kolorowej taśmie.

Teraz czekamy na „Pana Wołodyjowskiego". Nie chcę być złym prorokiem, ale wszystko zapowiada jeszcze jedną dobrą zabawę. Niedawno telewizja pokazała fragmenty pracy nad filmem i przeprowadziła parę rozmów z odtwórcami głównych ról. Okazało się, że kręci się dwa filmy o małym rycerzu: jeden na ekrany kin, drugi — na potrzeby telewizji. Któryś z bohaterów zwierzył się, że mu sprawia trochę trudności występowanie w obu wersjach, gdyż różnią się one dość znacznie od siebie. Jak by chodziło o dwie różne powieści i dwóch różnych autorów. Nie wiadomo, co nasi filmowcy mają jeszcze w zanadrzu. Polska literatura klasyczna jest tak bogata, że można bawić się w nieskończoność.

W gorszej sytuacji znajdują się inni nasi twórcy i odtwórcy. Na przykład ci, którzy muszą robić zabawę w telewizji. Problem w co się bawić rozwiązał — jak dotąd najlepiej — zespół twórców „Małżeństwa doskonałego". Oni bawią się kosztem wszystkiego i wszystkich. Niedawno współzawodnictwo między małżeństwami w takich dziedzinach, jak zjadanie leguminy, czy rozpoznawanie przemalowanych mężów zostało wzbogacone nie tylko stałymi występami Łazuki, do którego dzięki temu można się było w końcu przyzwyczaić, ale i wstawkami filmowymi, które mają już swoją niesławną tradycję. Ostatnio (autor, autor!) zaprezentowano nam film, pokazujący ludzi wrzucających listy do mówiącej skrzynki pocztowej. Sceny wzbudzały huragany śmiechu. Poważni ludzie reagowali na głupie pouczenia i ostrzeżenia wydobywające się ze skrzynki, głaskali i klepali ją, prosząc, by list doszedł na miejsce nie uszkodzony, pukali w jej ściankę i kłaniali się jej, wystawiając sobie świadectwo ubóstwa. Nie, nie sobie. Autorom tej wstawki, którzy zapomnieli przed przystąpieniem do kręcenia filmu puknąć siebie w głowę. Wyszła niesmaczna historia, obrażająca ludzi i przekraczająca granicę tego, co się nazywa przyzwoitością, honorowaniem prawa każdego człowieka do tego, aby nie robiono z niego balona, nie wystawiano go na publiczne pośmiewisko.

W co się bawić, w co się bawić... Najłatwiej w Polsce bawić się za nieswoje pieniądze i na cudze konto.

BAR

— Tylko to mi przywiozłeś z Meksyku?

Rys. W. Fuglewicz

MINUTA MYŚLENIA

Trochę o Robinsonach

WŚRÓD wierszy Tuwima istnieje jeden, który zrobił karierę powyżej swej wartości. Ostatecznie „Straszni mieszczanie" nie posiadają na tyle poezji, ani publicystyki, by cytat z nich miał rację stać się obiegowym powiedzonkiem. Poza tym dlaczego cechą mieszczanina ma być, że widzi wszystko „oddzielnie"? Ale powiedzonko zostało i ma nawet chronologiczne pierwszeństwo przed „ocalaniem od zapomnienia" i „miejscem na ziemi".

Właśnie ta oddzielność przychodzi na myśl, kiedy patrzę na to środowisko Lublina, które się obejmuje mianem tworzącego kulturę. Przypuszczam zresztą, że na miejsce wymienionego miasta można podstawić wiele innych, a rzecz nie utraci aktualności. Istnieją wprawdzie organizacje profesjonalne, istnieją instytucje mające scalać poszczególne wysiłki, ale tak naprawdę na plan pierwszy wychodzi ta poszczególność. Skazanie na indywidualizm.

Powie kto: przecież najistotniejsze wartości kulturalne, te mianowicie, które mają związek z twórczością, z natury rzeczy powstawać muszą w warunkach indywidualnych poczynań; istnieje pracownia malarza, nie ma pracowni malarzy, jak hala produkcyjna obejmującej poszczególne stanowiska; takoż nie można wymagać, by na jednym długopisie gromadził się uchwyt kilku dłoni, choćby ze względu na rozmiar tego tak często psującego się narzędzia.

Słusznie, ale możliwość współpracy w tej dziedzinie raczej nie dotyczy dzieła będącego już w trakcie realizacji, lecz zakresu pojęć, zamierzeń, przekonań, składających się na całą atmosferę środowiska. I tej nie ma. Nie ma przede wszystkim wzajemnej inspiracji wynikającej z kontaktu poszczególnych indywidualności. Rzecz dokonana nie ma środowiskowego kontekstu, istnieje właśnie jak widzenie tuwimowskiego mieszczanina — oddzielnie. Wyobraźmy sobie płaszczyznę wody, na której po wrzuceniu kamienia nie wytwarza się fala.

Można by tego nie wypominać, gdyby w poszczególnych (znów: „oddzielnie" wziętych) świadomościach nie nurtowało przekonanie, że — do licha — na więcej nas stać. Prawda, ale jeśli na więcej, to skąd wziąć tę energię przyrostu? Z dopingu tego i owego malarza, aktora, autora wierszy? To skutkuje w sporcie, ale zawodzi w działalności artystycznej. Więc powstaje właśnie cała nie wykorzystana rezerwa zespołowości, jak atut drużyny piłkarskiej, która zgraniem, organizacją potrafi nawet pokonać przeciwnika składającego się z samych solistów. Narzekamy: w Lublinie ten i ów (padają konkretne przykłady) przez tyle lat nie dorobił się pozycji, a wystarczył roczek Warszawy i oto co za persona; gdzie indziej umieją doceniać! Owszem, ale weźmy pod uwagę, że w tej Warszawie, czy gdzieś, wymieniony ów również i podrósł w swych kwalifikacjach, bo tak poskutkowało ciśnienie środowiska, a więc rzecz polega nie tylko na zmianie kryteriów. Inwestycje? Są dziedziny, które od pieniądza zależą minimalnie, ale i tam nie da się zauważyć ruchu, jeżeli ten ma wynikać z konfrontacji, napięć, dyskusji.

Dalipies, jakiś diabeł mąci tu ogonem! Ileż bo razy na przykład mówiło się o potrzebie towarzyskich choćby kontaktów i ileż razy wydawaliśmy westchnienie ulgi, kiedy z kolejnymi organizacyjnymi reformami klubu „Nora" sprawa zdawała się wkraczać na właściwą drogę. Tymczasem warto by kiedyś — ot, w przekroju jednego wieczoru — stwierdzić, ilu z obecnych w klubie pracowników kultury rzeczywiście do pracowników kultury się zalicza? Wyjdzie niewielki odsetek. W czym rzecz? Czy pracownicy kultury nie mają ochoty korzystać z tej instytucji, więc trzeba ją zapełniać przedstawicielami innych zajęć, czy wytworzył się jakiś galimatiasik w realizowaniu przyjętej kiedyś zasady, na skutek czego ci pierwsi nie bardzo się czują tam pożądani?

Niechby ta sprawa stanęła jakoś inaczej. Istnieje ta kiepsko oświetlona sala przy ulicy Krakowskie Przedmieście pod numerem 22, a muzycy, aktorzy, malarze, literaci lubelscy w dalszym ciągu narzekają, że nie mają się gdzie spotykać. Kto ma rację?

Warto temu poświęcić trochę uwagi choćby w warunkach tej integracji, ku której okazją będzie niedaleki już przedświąteczny śledzik.

Ijon

BIG-BEAT

1 drobiazg?

PANIE Redaktorze! Blisko redakcji „Kameny", na początku ulicy Narutowicza, mieści się sklep, w którym można nabyć różne artykuły gospodarstwa domowego. Niby nic nadzwyczajnego, podobne sklepy można spotkać hodaj w każdym mieście. Zwykle pyszni się jednak nad nimi napis: „Sklep 1001 drobiazgów". Człowiek zachodzi do wnętrza, ogląda i kinie w żywy kamień, bo szklanki właśnie „wyszły", a termosów „nie dowieźli". Z zapowiedzianych 1001 drobiazgów jeśli aktualnie można dostać 100, należy to uznać za duże szczęście.

Kierownik (kierowniczka?) lubelskiego sklepu jest bardziej pomysłowy. W oknie wystawił planszę, która wszem i wobec głosi: „1 drobiazg". We wnętrzu znajdziemy 10 drobiazgów i już gotowi jesteśmy piać z zachwytu, mamy bowiem więcej niż nam obiecano.

Wydaje mi się, że handel znalazł bardzo prostą receptę na swoje wszelkie dolegliwości. Dyr. Wójcik z Domu Książki nakaże księgarniom wywiesić napis „1 książka" i nikt nie będzie sarkał, jeśli znajdzie w nich tylko dziełko o racjonalnym żywieniu drobiu. Dyr. Sobala wyda rozporządzenie, aby na kioskach „Ruchu" pojawiła się plansza „1 lalka" i nikt się nie popłacze gdy nie kupi ostatniego numeru „Forum". Na sklepach piekarniczych będziemy czytać: „1 bochenek chleba", na sklepach papierniczych: „1 zeszyt", w aptekach: „1 aspiryna", na sklepach meblowych: „1 tapczan", na sklepach mięsnych: „1 kg podgardlanki", w zakładach zbiorowego żywienia: „1 schabowy", w kawiarniach: „1 mała lura", w zakładach pogrzebowych: „1 trumna". W tym ostatnim przypadku napis będzie jak najbardziej na miejscu, jako że nikt dla siebie dwóch trumien nie potrzebuje i do takiej transakcji nikomu się zbytnio nie spieszy.

W szkołach średnich zbliża się tradycyjny okres „studniówek". Ponieważ studniówkę można obchodzić tylko jeden raz w życiu (o studniówce alkoholowej nie słyszałem), komitet rodzicielski pewnej lubelskiej szkoły ustalił, że składka wyniesie 400—500 zł. Stała czytelniczka „Sztandaru Ludu", p. Zofia M., napisała w związku z tym list do redakcji, w którym stwierdza z goryczą: „Czy wszystkich rodziców stać na taki jednorazowy wydatek? Moje osobiste zarobki, jako urzędniczki, nie są zbyt duże, bo około 2000 zł. Mąż przeszedł na emeryturę, a na wychowaniu mam jeszcze dwóch synów i córkę. Czy stać mnie na wydanie takiej sumy bez uszczerbku dla rodziny? Lepiej sytuowani ludzie mogą sobie pozwolić na wydanie takiej kwoty. Ale większość rodzin ma przeciętne warunki materialne. Wyrażenie swojej opinii o zbyt wysokim koszcie studniówki może wywołać znaczące uwagi wśród hierarchii klasowej trójki. Większość rodziców akceptuje taką sumę, bo wstydzi się odmawiać, ale w głębi duszy klnie tych naciągaczy... Wielki zysk ciągnie z tego Komitet Rodzicielski. Wyzyskuje nadarzającą się okazję do zdarcia pieniędzy z ludzi..."

Chciałem podowcipkować, ale nie mogę. Rzecz jest więcej niż skandaliczna. Za 400 złotych nawet w luksusowej „Europie" można się schlać na amen, a młodzież z klas jedenastych chyba alkoholu nie pija? Biorąc pod uwagę fakt, że na studniówkę zwykle przychodzi się z partnerem (czy z partnerką) wypada 200—250 złotych na osobę. Znam takich, którzy tyle wydają na jedzenie w ciągu tygodnia, a nawet i dwóch!

Nie wiem, jak na wspomniany list zareagowało lubelskie Kuratorium Szkolne. Spodziewam się, że dokładnie zbadało całą sprawę i podjęło odpowiednie kroki.

Bo i po maturze trzeba mieć trochę rozsądku.

Jacek

NOTY i notki

ZAWSZE Z PRZYJEMNOŚCIĄ czytam felietony Władysława Kopalińskiego w „Życiu Warszawy". Ale ostatni zdumiał mnie dwukrotnie. Najpierw stwierdzeniem, że zawód włamywacza stał się nieopłacalny. Ciekawe w takim razie, dlaczego tylu ludzi go uprawia. Zdumiałem się zaś jeszcze bardziej czytając dalej aż w 30 wierszach dokładny opis, jak arkusikiem twardego plastiku można otworzyć każde drzwi z zamkiem typu „Yale". Czyżby „Życie Warszawy" naśladowało przedwojennego „Tajnego detektywa"

TEATR IM. W. HORZYCY w Toruniu wystawił „Przedwiośnie" — za co mu chwała. Ale okazuje się, że to wcale nie „Przedwiośnie", albowiem adaptatorzy wyrzucili z tekstu wszystko, co dotyczyło miłości Wandzi do Baryki, wstawili natomiast sceny z przedwojennego procesu politycznego w Brześciu. Jeszcze trochę a „Noc listopadową" przeniesiemy w czasy rzucenia bomby atomowej na Hiroszimę. Kto wreszcie ukróci te praktyki?

NIEZWYKŁĄ RZECZ przeczytałem w „Trybunie Ludu" (nr 330). Oto okazuje się, że wysoko opłacany trener Jaworski opiekuje się tylko jedną zawodniczką — własną żoną, podobnie trener Nowak — także tylko własną żoną. Całe szczęście, że pan Szewiński jest inżynierem. I teraz rozumiem, dlaczego w ostatnich latach nasza kobieca lekka atletyka tak podupadła.

„KAŻDE DROBNE", powszednie zdarzenie, każdy okruch życia mogę potrakować dosłownie bądź przenośnie" — wyznaje z rozbrajającą szczerością B. Sztajnert w nr 48 łódzkich „Odgłosów". I aby jakoś wyjaśnić kapitalną odkrywczość swego niezwykłego umysłu, dodaje: „To nawyk budowania przenośni z cichej i szarej substancji każdego dnia — maniera zawodowa człowieka piszącego książki, nic ostatecznie ważnego ani istotnego". Święta prawda w ostatnich słowach, grozę budzi tylko fakt, że w taki sposób — w pojęciu autora — powstają książki. Na szczęście zjawisko jest chyba wyjątkowe.

BYŁEM DOTYCHCZAS święcie przekonany, że język polski jest nie tylko piękny, ale posiada i bogaty zasób słów, przy pomocy których można chwalić, uwielbiać, dyskutować, ganić, użerać się itd itd. I oto w nr 23 „Pomorze-Magazyn" przeczytałem takie cudo, upiększone przez Zbigniewa Suchora pod tytułem „Prolegomena do hipertrofii ekspresji" (nie zmieniam także znaków pisarskich): „Otóż CZAD po skonsumowaniu pewnego czytelnika z Brodnicy który zna tylko jednego docenta w odróżnieniu od CZAD-a cieszącego się koneksjami z gościem legitymującym się dwoma docentami oraz po pryncypialnym rozprawieniu się z wytwórcami klusek — przy pomocy znanego od pokoleń dowcipu o proporcjach wiktuałowych makaron czterojajeczny?" — „cztery jajka, tona mąki!", ha, „pasztet z zająca?" — „jeden zając jeden koń!", he, he) — był tak hojny i zaprezentował „disjecta membra" mojej kroniki plastycznej z łamów „Pomorza". — Myślę, że przede wszystkim należy zawiadomić prokuraturę w Brodnicy o kanibalstwie, Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego jaką śmiercią giną tak potrzebni państwu docenci oraz dziewięcioosobowy zespół redakcyjny i kolegium „Pomorza", aby ktoś wreszcie czytał teksty przed ich wydrukowaniem.

JAK WIADOMO co drugi Polak uważa się za lekarza. Tym drugim chce koniecznie zostać Smakosz z „Nowin Rzeszowskich". W nr 289 stwierdza, że chorzy mają czasem dziwaczne pomysły — chcą zjeść coś, co jest jednocześnie i słodkie i kwaśne. Więc radzi mus z jabłek, ew. z dodatkiem piany lub śmietanki. No i wtedy chory — zdaniem Smakosza — „ozdrowieje błyskawicznie z samego zachwytu, że spełniło się marzenie jego podniebienia". No to budujmy przetwórnie owocowo-warzywne zamiast akademii medycznych.

JOD

Wiesław Trzaskalski

Myśli podpatrzone

Traci cnotę — kto dopuszcza się gwałtu.

Robakowi można wmówić, że jest wspólnikiem rybaka

Żeby stawić komuś czoła — trzeba mieć plecy.

Trudno poznać, że coś kuleje, jeśli kuleje na obie nogi.

Chwiać się na szczycie — niebezpiecznie.

Pozostawieni samym sobie, zawsze trafiają w niewłaściwe ręce.

Bałwochwalcy. Wierzą w siebie.

Skąd u niektórych te wysokie tony? Z niskich pobudek.

Ateiści! Nie traćcie wiary!

Likwidacja własności prywatnej nie powinna obejmować czyjegoś własnego zdania.

Czasami trzeba kluczyć, żeby nie zejść z prostej drogi.

W następnym numerze „Ziemia i Pieśń"

Odpowiedzi redakcji

W. M. w Opolu. Pan już sam wie, czego szukać w poezji i jak być, a przynajmniej bywać, poetą. Nie ośmielamy się więc nic radzić, poza koniecznością kilkunastu publikacji czasopiśmienniczych przed staraniami o tomik w którymś z wydawnictw. Ma pan naszą życzliwość oraz zapewnienie o publikacji Pańskich tekstów.

N. S. w Krakowie. Kwalifikujemy do druku **„Szukam mojego ptaka"**. Między kwalifikacją do druku a samym drukiem może nieraz upłynąć sporo czasu, o czym informujemy zarówno Panią, jak i innych autorów. Trzeba więc być cierpliwym. Nasz wybór powinien Pani uświadomić, iż w talencie Pani cenimy głównie ową kobiecą, liryczną intymność, a nie „filozofujące" wzloty. To sugestia z naszej strony, jeśli idzie o kierunek przyszłych Pani poetyckich poszukiwań.

J. K. w Baranowie. Rzadko bywa, iż otrzymujemy ten typ tekstów, toteż odpowiadamy skwapliwie, bo może i inni autorzy, skrywający podobne teksty, znajdą tu coś dla siebie. Mimo Pańskich wątpliwości przede wszystkim wygląda to jednak na pamiętnik, którego kontynuację odradzamy, jeśli pisze Pan z myślą o publikacji w takiej formie, jaka jest. Pamiętniki (nie mylić z dziennikami) — jako autentyczny i mało uporządkowany materiał wspomnieniowy — najczęściej wtedy są interesujące, gdy piszą ludzie całkiem już dojrzali, nawet starcy, bogaci w doświadczenia i szerszą refleksję. Bywają też pamiętniki młodzieżowe, autorów, którzy są b. pewni świata i własnych sądów. Oczywiście pewność ma się tylko, będąc albo bardzo starym, albo bardzo młodym. Tyle, że pewność młodzieńcza to mniej niż niewiele. Pański tekst pośrodkuje między tymi biegunami — na młodzieńczy za dobry, na dojrzały za słaby. Można co najwyżej potraktować go jako wstępne notatki do prozy fabularnej i tak też go traktujemy. Widząc natomiast u Pana pewną liryczną wrażliwość i zadatek talentu narracyjnego, radzimy wybrać jakieś jedno czy drugie zdarzenie oraz spróbować je przetworzyć w literaturę sensu stricto. Nie trzeba przy tym rezygnować z literackiego trybu wypowiedzi, jaki Pan przyjął (monolog liryczny). Trzeba tylko przystać jakieś zwarte i dopracowane całości, a nie luźny potok literackich notatek.

P. Z. w Gdyni. **„Miejsce dla kobiety"** i **„Idź sobie"**, częściowo także **„Sprzątanie miasta"**, to ubrane w marynarskie fabuły dość powszechne w młodej prozie dzisiejszej sprawy młodych chłopców — jak to mówią — „wchodzących" w twardą rzeczywistość. Niewiele już da się wycisnąć z tego tematu, jak również z kwestii obojętności wielkiej cywilizacji wobec pojedynczego człowieka („Sprzątanie miasta"). Jest jednak rzeczą uczciwości, że pisze Pan o sprawach, o ile się orientujemy, znanych Panu z autopsji i osobiście przeżytych. Jak na początek, to dużo — ta osobista odpowiedzialność za słowo, a że sprawność narracyjna tych tekstów nie przedstawia wiele do życzenia, więc rokujemy nadzieje. Nie może Pan rezygnować z pisania, choć czasem będzie trudno, a może nawet coraz trudniej. Za rok — powiedzmy — mógłby Pan nam coś przysłać, wtedy zobaczymy.

F. R. w Borowcu. Dziękujemy za pozdrowienia. Publikujemy jedno Pańskie „przysłowie" ku przestrodze — jak pisać nie należy: **„W Kielcach ulica jest taka/ nie nowa, stara, Zamkowa"**. Stanowczo wolimy autentyczne przysłowia ludowe i namawiamy Pana do ich zbierania. Trud to może większy, ale efekty znacznie ciekawsze.

Arnaldo Orient w Lublinie. Sam pseudonim kwalifikuje Pana do Poste-Restante. Wiersz natomiast zupełnie bez wyrazistego oblicza. Trochę zaszyfrowanego sentymentalizmu. Ot i wszystko. Do poezji b. daleko. Myli się Pan, że łamy „Kameny" są otwarte „dla wszystkich". Są bowiem otwarte dla Poezji, Prozy i Publicystyki, a nie dla miałkiej poetyczności, prozaiczności i publicystyczności, co nieustannie i bezskutecznie przypominamy naszym korespondentom. Nie „pójdzie" więc dobrze z Pańskim wierszem, bo nie „leży w rękach" naszych faworyzowanie nijakości. Z tego musi się Pan sam wyzwolić!

Rysunki: A. Stok